JAKUB MACIEJEWSKI:
PIEKŁO FRONTU NA UKRAINIE WIDZIANE Z BLISKA

JAN ROKITA NAZYWA RZECZ PO IMIENIU:
BLOKADA KPO TO W ISTOCIE SANKCJE BEZPRAWNIE NAŁOŻONE NA POLSKĘ

DARIUSZ MATUSZAK:
CO BY BYŁO, GDYBY ŁUKASZENCE UDAŁO SIĘ PRZEŁAMAĆ POLSKĄ GRANICĘ?
SCENARIUSZ ALTERNATYWNY

KONRAD KOŁODZIEJSKI O „PRAWICOWYCH" PRZYSTAWKACH PO

SIECI

NAJWIĘKSZY KONSERWATYWNY TYGODNIK OPINII W POLSCE

Nr 35 (509) 2022
29 sierpnia – 4 września 2022
CENA: 7,90 zł
(w tym 8% VAT)

UJAWNIAMY KLUCZOWY DOWÓD

POLSKA NIE ZRZEKŁA SIĘ REPARACJI OD NIEMIEC

ROZKAZ Z MOSKWY BYŁ JASNY: PRL MA ZREZYGNOWAĆ Z ODSZKODOWAŃ ZA STRATY WOJENNE. ALE DOKUMENT ŻĄDANY PRZEZ SOWIETÓW

NIGDY NIE ZOSTAŁ PODPISANY

INDEKS 287393 ISSN 2544-2694

5 urodziny telewizji

W POLSCE PL

Oglądaj we wtorek

30 sierpnia o godz. 19:00

na www.wPolsce.pl

Sprawdź, kogo nagrodzimy statuetkami **Złotych Kamer telewizji wPolsce.pl**

PARTNER ZŁOTY

ORLEN

PARTNERZY GŁÓWNI

Grupa Azoty

Lasy Państwowe

PGNiG

PKO Bank Polski

PZU

PARTNERZY

Bank Pekao

BGK Bank Gospodarstwa Krajowego

KGHM Polska Miedź

Totalizator Sportowy

PARTNER WSPIERAJĄCY

arp

eprasa.pl 89c74f1c09

Hejterzy idą w las, a sygnał daje Tusk

Gdy w czerwcu pojawiły się pierwsze egzemplarze podręcznika do przedmiotu historia i teraźniejszość autorstwa prof. Wojciecha Roszkowskiego, w mediach lewicowo-liberalnych pojawiło się wiele krytycznych opinii, ale prawdziwa fala nienawiści rozpoczęła się po zakłamanym wystąpieniu Donalda Tuska.

To właśnie po 11 sierpnia do wydawnictwa zaczęli dzwonić ludzie, grożąc spaleniem domu, a w środku nocy do drzwi budynku dobijali się obcy ludzie. Na adres e-mailowy autora posypały się groźby. To ciekawe, że wcześniejsi recenzenci i dziennikarze nie skojarzyli fragmentu o „hodowli dzieci" z in vitro. To normalne, bo nie o to chodziło prof. Roszkowskiemu, ale o nieco futurologiczny dyskurs na temat prokreacji – jak w książce Aldousa Huxleya „Nowy wspaniały świat" z 1932 r. Zachód więc debatuje o tym od 100 lat, a u nas nie wolno?

Poza tym książka Wojciecha Roszkowskiego była jedynie propozycją, podręcznikiem do wyboru, a nie obowiązkiem. Jednak presja, tak obficie podlana Tuskową manipulacją, wywołała falę nienawiści do twórców pracy.

Bo oto jednego dnia rozpętuje się w mediach wielka kampania znieważająca zasłużonego historyka. Sygnał do ataku dał Donald Tusk podczas spotkania ze swoimi wyborcami, gdy powiedział: „Czarnek wymyślił taki podręcznik, który ma uczyć nasze dzieci historii i teraźniejszości. Tam jest wiele różnych bardzo dziwnych, czasami strasznych tez. Ja dzisiaj odkryłem taki maluteńki rozdział o dzieciach z in vitro. W tym podręczniku Czarnek i jego współpracownicy zamieścili takie słowa, że dzieci z in vitro to jest hodowla ludzi, kto będzie kochał takie dzieci. [...] I to dziecko dostanie do ręki podręcznik i przeczyta w tym podręczniku, że jest dzieckiem z hodowli, którego nikt nie kocha".

Chwilę później tę rozbieżną z tekstem podręcznika wersję przyjęły media. Szybko budzi się „Gazeta Wyborcza": „Dzieci z in vitro są »hodowane«". TVN24 stara się subtelniej, ale również z tym samym przekazem: „Kontrowersyjny cytat, w którym upatruje się nawiązania do procedury in vitro, spotkał się z licznymi komentarzami". „Newsweek" promuje tezę w wywiadach: „Prof. Anna Landau-Czajka: Nie tylko kwestia in vitro w podręczniku prof. Roszkowskiego mnie poruszyła" – ciągną na łamach pisma. Onet także nie ustępuje w zakłamanej narracji: „Padło nawet pytanie o to, kto pokocha wyprodukowane »w ten sposób« dzieci. Nietrudno się tutaj domyślić, że chodzi o osoby, które przyszły na świat dzięki metodzie in vitro".

Podkreślmy to jeszcze raz – do wystąpienia Tuska mainstream nie oceniał fragmentu dotyczącego przemian postrzegania seksu i prokreacji na Zachodzie jako dyskusji o in vitro. To Tusk spuścił ogary ze smyczy, po czym zaczęła się kampania nienawiści, w którą wpisały się także realne groźby wobec twórców książki.

Wszystko wskazuje na to, że Tusk odgrywa rolę dyrygenta dyskursu antypisowskiego w Polsce. To on rzuca hasła o rtęci, to on kwestionuje wybór prezesa Glapińskiego, a później prezydenta Dudy na najwyższe urzędy. On pierwszy wskazuje jednym palcem kierunek nagonki, a drugim spuszcza ze smyczy medialnych ujadaczy, rusza więc sfora polityków w mediach społecznościowych i dziennikarzy w tradycyjnych mediach. To nie dziennikarze wynaleźli rzekome in vitro w książce – tylko Tusk, a raczej jego niejawni doradcy, może eksperci od PR czy stratedzy medialni przysłani do wymiany władzy w Polsce. Środowisko medialne nie sprawdziło nawet cytatu, przyjęło jego wersję o in vitro na wiarę, bo przecież Tuskowi muszą wierzyć.

Dobrze z tym obrazem szefa PO koresponduje incydent z Agatą Adamek na antenie TVN24. Większość komentatorów skoncentrowała się na słowach Tuska, któremu powrót na Wiejską w roli posła kojarzy się z upiornością – mało kto zwrócił uwagę na serwilizm dziennikarki. Jakżeż ona współczuła mistrzowi, jakżeż pochylała się nad jego cierpieniem, jakim potulnym głosikiem zapewniała go o swoim zrozumieniu.

Tyle ich, prywatnych i „wolnych" mediów, a wszyscy pomieścili się na kilku smyczach Tuska i jego ferajny.

Jakub Augustyn Maciejewski

O podręczniku „Historia i teraźniejszość" pisze również Grzegorz Górny na str. 40.

Autopromocja

eprasa.pl 89c74f1c09

SIECI spis treści

42 *Życie bez granic*
Dorota Łosiewicz

48 Zamach, czyli wielopiętrowa intryga
Marek Budzisz

56 Lany poniedziałek
Wojciech Lada

NA POCZĄTEK

6 **SYGNALISTA NADAJE**
Nieoficjalny przegląd tygodnia

8 **SKAZANY NA WIEJSKĄ**
Krzysztof Feusette

9 **NARODZINY GWIAZDY**
Dorota Łosiewicz

10 **UPIORNY TUSK I SZAMBELANI**
Jan Pietrzak

10 **PRAWDA NIGDY NIE LEŻY POŚRODKU**
Dominik Zdort

11 **POLEXIT, CZYLI POMIDOR**
Bronisław Wildstein

12 **WALIZKA KASI PTASIŃSKIEJ**
Michał Korsun

14 **OGNIEM NA WPROST**
Andrzej Rafał Potocki

15 **BOHATERKI**
Marta Kaczyńska-Zielińska

16 **ZA DUŻO PRZYPADKÓW**
Samuel Pereira

TEMAT TYGODNIA

18 **NIEMCY WCIĄŻ NA DEBECIE**
Marek Pyza, Marcin Wikło

KRAJ

24 **SANKCJE I ODWET**
Jan Rokita

27 **CO BY BYŁO, GDYBY UDAŁA SIĘ OPERACJA ŚLUZA**
Dariusz Matuszak

30 **Z RYSZARDEM CZARNECKIM**
rozmawia Michał Karnowski

34 **STRACH PRZED WIELKĄ KOALICJĄ**
Stanisław Janecki

37 **CISI SOJUSZNICY**
Konrad Kołodziejski

40 **PROFESOR W OKU CYKLONU**
Grzegorz Górny

42 **ŻYCIE BEZ GRANIC**
Dorota Łosiewicz

46 **WYCHODZĄ Z MROKU NIEPAMIĘCI**
Jaromir Kwiatkowski

ŚWIAT

48 **ZAMACH, CZYLI WIELOPIĘTROWA INTRYGA**
Marek Budzisz

52 **JAK NAPRAWDĘ JEST NA FRONCIE**
Jakub Augustyn Maciejewski

OPINIE

54 **SPÓR O MEDJUGORJE**
Goran Andrijanić

HISTORIA

56 **LANY PONIEDZIAŁEK**
Wojciech Lada

SIECI KULTURY

59 **POLSKI AMERICAN DREAM**
Jolanta Gajda-Zadworna

61 **ZAREMBA PRZED TELEWIZOREM**
Piotr Zaremba

62 **POLSKI WIRTUOZ W EDYNBURGU**
Adam Ciesielski

66 **UŚMIECHNIĘTA ROZPACZ**
Robert Tekieli

67 **WOJNA CYWILIZACJI**
Robert Tekieli

68 **CZYTANIE JAKO SPORT EKSTREMALNY**
Wojciech Stanisławski

GOSPODARKA

75 **Z ZYGMUNTEM BERDYCHOWSKIM**
rozmawiają Maciej Wośko i Stanisław Koczot

ZDROWIE

80 **Z PROF. LESZKIEM CZUPRYNIAKIEM**
rozmawia Anna Niczyperowicz

KUCHNIA

82 **MOJE SMAKI: ANDRZEJ GRABARCZYK**
Jolanta Gajda-Zadworna

83 **SŁODKO-SŁONY/WILCZYM OKIEM**
Anna Monicka, Przemysław Barszcz

NA KONIEC

84 **PRAWO DO ŻYCIA, CZYLI OŚĆ W FEMINISTYCZNYM GARDLE**
Hanna Karp

86 **POLSKI WRZESIEŃ 1939 r.**
Alina Czerniakowska

87 **OPÓŹNIENI W ROZWOJU**
Piotr Cywiński

88 **WSTYDLIWY POLSKI**
Wiktor Świetlik

88 **ZAUFANIE**
Lech Makowiecki

89 **PAMIĄTKA NA ODJEZDNE**
Leszek Długosz

90 **SĄD MA PRZECZYĆ WIEDZY NAUKOWEJ?**
Andrzej Zybertowicz

Reklama | 43/0822/F

eprasa.pl 89c74f1c09

68%

POLAKÓW

POPIERA BUDOWĘ

CPK

ŹRÓDŁO: *BADANIE OPINII PUBLICZNEJ ZREALIZOWANE NA ZLECENIE CENTRALNEGO PORTU KOMUNIKACYJNEGO W OKRESIE PAŹDZIERNIK-LISTOPAD 2021 (N=1048, REPREZENTATYWNA PRÓBA OGÓLNOPOLSKA).*

eprasa.pl 89c74f1c09

Sygnalista nadaje

Na okładce tygodnika „Polityka" tytuł „Ściek kłamstw" i zachęta do lektury: „W zatrutej Odrze przegląda się państwo PiS". Po kolei: ścieki były w Wiśle przez niekompetencje ekipy ***Rafała Trzaskowskiego***, w Odrze zawiniły złote algi. Wskutek upału i niskich stanów wody śnięte ryby są niestety znajdowane masowo w całej Europie. „Państwo PiS" zareagowało zdecydowanie, choć – trzymając się tego języka – „państwo Tuska" w 2009 r. nawet nie zauważyło podobnej sytuacji na Bugu. Kto się zatem w czym przegląda?

Warto pamiętać o osi kłamstwa, która objawiła się nam po raz kolejny. Manipulacja wychodzi ze źródeł niemieckich (tym razem publiczna rozgłośnia Deutsche Welle, która pierwsza wrzuciła temat rzekomej rtęci), następnie została natychmiast podjęta przez polską opozycję (Donalda Tuska, Elżbietę Polak), by na końcu posłużyć moskiewskiej i mińskiej propagandzie. Z analizy serwisu FakeHunter wynika, że rosyjskie i białoruskie media snują narrację o „szkodliwości państwa polskiego dla przyrody". Wcześniej podobnie opisywano tam budowę zapory na granicy polsko-białoruskiej. W tym tonie uzasadniano wszystkie kolejne zabory. Polacy sobie nie radzą, trzeba zaprowadzić tam porządek. Upiorne.

Choć pewnie nie dla wszystkich. Dla ***Donalda Tuska*** upiorna okazała się wizja pracy w polskim parlamencie, co wyjawił w przyjacielskiej pogawędce z dziennikarką stacji TVN24. Dla ludzi z dobrą pamięcią, nic nowego. W 1987 r. w ankiecie „Znaku" wyjawił, że dla niego „polskość to nienormalność", „niechciany temat", który kojarzy mu się z „przegraną, z pechem, wywołuje niezmiennie odruch buntu". Z kolei w 2005 r. mówił pismu Michnika: „Główną motywacją mojej aktywności publicznej była potrzeba władzy i żądza popularności. Ta druga była nawet silniejsza od pierwszej, bo chyba jestem bardziej próżny niż spragniony władzy. Nawet na pewno". Może powinien założyć kabaret? W dzisiejszych czasach popularność gwarantowana, a biedna nasza ojczyzna by odetchnęła.

Dziennikarz Wirtualnej Polski Patryk Michalski też urządził kabarecik. Ogłosił w mediach społecznościowych potępienie Polski Press, określając ten koncern gazet regionalnych odkupionych z rąk niemieckich jako „gazetę przejętą przez Daniela Obajtka" i zarzucając jej „poziom seksizmu i pornodziadostwa ponad skalę". Powód? Bo o uczestniczkach lekkoatletycznych mistrzostw Europy napisano: „Polki olśniły Monachium. Najseksowniejsze ozdoby czempionatu". Pech chciał, że w tym samym czasie na stronach WP ukazał się artykuł, w którym zachwycono się panią Schmidt. „Niemkę okrzykniętą najseksowniejszą sportsmenką świata. Czy chodzi o to, że tylko Polki nie mogą być seksowne, czy w ogóle nie można być seksownym? A może po prostu tak wygląda szukanie w praktyce kija na prezesa Obajtka?

Wśród osób stale będących na celowniku systemu jest też prezes TVP Jacek Kurski. Jego imię na łamach pisma Michnika może pojawić się wyłącznie w złym kontekście. A co się dzieje, kiedy sukces jest ewidentny jak

eprasa.pl 89c74f1c09

w przypadku wypromowanej przez TVP Sary James? Wtedy stosuje się gumkowanie. W artykule na ten temat czytamy, że Sara James „doczekała należnego jej uznania w Los Angeles, wystąpiła w półfinale konkursu słynnego amerykańskiego »Mam talent!« i porwała publiczność". W opisie jej historii jest wszystko, co trzeba, z wyjątkiem wspomnienia o TVP i prezesie Jacku Kurskim. Nawet przywołując nadawany program „The Voice Kids", redakcja pomija nazwę polskiego nadawcy publicznego. Jest za to cytat ze skierowanej do wokalistki wypowiedzi internauty: „Rozwaliłaś system". Sama rozwaliła?

System chciałby rozbić także poseł koła Polskie Sprawy Zbigniew Girzyński. Oświadczył, że zakłada partię, która ma zostać powołana wiosną przyszłego roku i która ma samodzielnie startować w wyborach, by stać się „alternatywą dla jałowego sporu między PO a PiS". Zadanie to uważamy, szczerze mówiąc, za jałowe, bo spór między obozem propolskim a totalną opozycją nie jest wydumany. Jest starciem dwóch całkowicie odmiennych wizji Polski, a także krańcowo różnych jakości rządzenia. No i nie przyjęlibyśmy zakładu, że nie skończy się to w ramionach Tuska. Tam wszak lub w okolicach wylądowali wszyscy domagający się lepszej prawicy i rzekomo zmęczeni „jałowym sporem".

Tę różnicę dobrze widać choćby w stosunku wobec Rosji. Antyputinizm polskiej opozycji jest bowiem na krótkiej, niemieckiej smyczy. Ani Radosław Sikorski, ani Donald Tusk nie byli dotąd na Ukrainie. „Gdyby politycy niemieccy tam jeździli, to politycy PO albo by im towarzyszyli, albo sami wybieraliby się do Kijowa, by dorównać kolegom z Berlina. Tymczasem Niemcy są gorzej niż neutralni. W związku z tym widać też brak aktywności po stronie polityków Platformy. To jest łatwe do wytłumaczenia" – skomentował były szef MSZ Witold Waszczykowski. Na tym tle wypowiedź Tuska, że „poszedłby nawet do piekła, żeby uratować Polskę przed bałaganem", należy czytać ostrożnie. Bo jest jasne, że poszedłby, o ile Niemcy by pozwolili.

Słowa o piekle były próbą wybrnięcia ze słów, które lider Platformy wypowiedział przed występem w zaprzyjaźnionej stacji – TVN24. W przyjaznej pogawędce z dziennikarką wyjawił, że „to jest tak upiorna myśl, że ja będę tam z powrotem siedział na tej Wiejskiej". I tak zrobiła nam się piękna pętla z 1987 r., kiedy młody wówczas Donald Tusk ogłosił, iż polskość to nienormalność, nieznośny ciężar, kojarzący mu się wyłącznie z pechem. Wszystko, co polskie, każda nasza narodowa instytucja, jest dla niego obrzydliwa. Biorąc to pod uwagę, uznajemy, że misja, z którą przysłali go tu Niemcy, jest faktycznie niemożliwa do wykonania. Jak wygrać wybory w kraju, którego się nie znosi?

Niemcy to nie amatorzy i tę trudność rozumieją. Dlatego założyli dźwignie wspomagające (przez Brukselę) w postaci szantaży i prób zagłodzenia Polaków. W wywiadzie dla wPolityce.pl prof. Ryszard Legutko odniósł się do tego tematu. „Nie widzę na razie żadnych sygnałów ze strony instytucji europejskich, które pokazywałyby, że stanowisko zostało złagodzone. A te ostatnie zagrywki, czyli stawianie jakichś nowych zaporowych warunków, nawet pokazują coś odwrotnego. Są to warunki nie do przyjęcia, bo żaden rząd nie może sobie pozwolić na to, żeby wprowadzić kompletny chaos prawny w kraju" – powiedział europoseł PiS. Jego słowa skomentował Dariusz Rosati: „Rząd PiS albo środki z KPO. Co wolicie?" – czytamy w jego wpisie. To, że możemy woleć suwerenność, w pewnych głowach się nie mieści.

W ogóle poziom umysłowy części elit opozycyjnych i wspierających ich artystów budzi niepokój i zatroskanie. Muzyk Maciej Maleńczuk jest np. przekonany, że w sprawie Odry „rządzący doskonale wiedzą, kto zatruł Odrę i to jest jeden z nich, [...] we władzach tych wszystkich państwowych molochów najzwyczajniej w świecie siedzą pisiory i któryś z nich jest winien". Jakoś tam Maleńczuka rozumiemy. Gdyby zderzył się z faktami, coś tam chciał się dowiedzieć, mógłby wypaść z tego towarzystwa. Odstawałby za bardzo.

A zwykli ludzie szukają przecież w kontakcie z elitami mądrości, wiedzy, prawdy. Z takimi oczekiwaniami przychodzą też na spotkania w ramach Tour de Konstytucja. Rozgrzany emocjami politycznymi sędzia ***Waldemar Żurek*** raczy ich tam swoimi przemyśleniami. W Jarosławiu ogłosił, że Jezus był „uchodźcą, który uciekał na osiołku", a Chrystus sam miał być „obcokrajowcem". Ominąć w najczęściej chyba czytanym fragmencie Ewangelii zdanie o spisie ludności, na który „udał się także Józef z Galilei, z miasta Nazaret, do Judei, do miasta Dawidowego, zwanego Betlejem, ponieważ pochodził z domu i rodu Dawida, żeby się dać zapisać z poślubioną sobie Maryją, która była brzemienna", to duża sztuka.

Dlatego popieramy postulat prof. Radosława Markowskiego, socjologa z SWPS, który w rozmowie z „Gazetą Wyborczą" podkreślił, że jeśli opozycja wygra, to PiS będzie trzeba wygumkować z historii, a wyborców tej partii poddać reedukacji. Wykłady z historii i Biblii powinien w ramach tej reedukacji koniecznie poprowadzić sędzia Żurek.

Fot. Andrzej Skwarczyński, Andrzej Wiktor x2

eprasa.pl 89c74f1c09

Skazany na Wiejską

KRZYSZTOF FEUSETTE

Aj hew e drim, miałem koszmar. Ten ciemny naród wybrał mnie na posła. Pytam się teściowej, bo zawsze tak robię, gdy dzieje się coś ważnego: „Co to może znaczyć?". A ona tylko w czapkę popatrzyła, którą jej z Peru przywiozłem, i mówi, że Budka z Siemoniakiem to są fajne chłopaki. To ja jej tłumaczę: „To już mi Mamusia pisała", a ona: „Poczekaj, wieczorem, będę więcej wiedziała". No i po „Faktach" dzwoni. „Ja cię, Donku, bardzo przepraszam, ale karty mówią, że będziesz siedział...". Dobrze, że siedziałem, bo chyba bym upadł. Pytam: „Gdzie?", a ona, że musi sprawdzić. W międzyczasie szczoteczkę spakowałem, piżamę z napisem „Konstytucja" i piłkę do nogi też. Już chcę stery w partii Leszczynie oddawać, a tu masz, okazuje się, że walet żołądź pod stołem się zapodział, i owszem będę siedzieć, ale w Warszawie. I nie na Rakowieckiej czy Białołęce, tylko na Wiejskiej. Z początku wielka radość, a potem skojarzyłem: przecież tam jest Sejm! To straszne miejsce, jak cyrk z horrorów, w którym szalona Jachira drze karteczki, Hartwich „koparę", Nitras szpera po cudzych szafkach, a Sienkiewicz zionie ogniem! Ludzie, hilfe! To ja bym wolał do piekła trafić, niż z tą bandą na jednej sali siedzieć, o jednym klubie poselskim nie wspominając. Dziękuję, postoję! To nie jest odpowiednie miejsce dla kogoś, kto samemu Junckerowi marynarkę wkładał i komu Angela takie rzeczy o stosunkach rosyjsko-niemieckich na ucho mówiła, że rura mała. Czy mi było źle w jądrze Europy? Czemu tak nie może być dożywotnio? Nie męczyliby bez przerwy: „Donek, wystartuj", „Donek, nie startuj", „Jesteś obciążeniem", „Jesteś wybawieniem"... A potem co? Czytam: „Kidawa-Błońska na prezydenta". Myślę: „Wesprę biedaczkę, to jej szybciej przejdzie". Ale że do czterech procent spadnie, to już było dla mnie zaskoczenie jeszcze większe niż to, że mój „teledysk" do „Hej, Jude" będzie 7 mln kosztował. Dzwonię do tych geniuszy i mówię: „Wymieńcie Małgosię, bo pod progiem szuracie", to wzięli Trzaskowskiego. A teraz kozaczy. Ile razy można chłopakowi tłumaczyć, że nawet gdybyśmy wtedy materac dmuchany wystawili, też by zebrał ponad 10 mln? A on, że nieprawda i że chce jeszcze raz. „Dobrze – mówię – zaproś na ten swój młodzieżowy ferienlager przewodniczącego największej partii opozycyjnej, żeby nie pomyślał, że z Mściwym i Beksą kręcisz na boku, to pogadamy o nominacjach".

To wziął i napisał, smarkacz, że przybędzie „jeden z liderów opozycji". Będzie miał wybory prezydenckie. Jak Sikorski.

A więc ja mam dla takich ludzi rzucać wszystko i się na weryfikację demokratyczną narażać? To ma być ta nowoczesna Europa, że człowieka z takim doświadczeniem ciąga się po spotkaniach wyborczych? Że na płotach wisi jak dywanik jakiś? Dla nich jeżdżę i rtęci po całej Polsce szukam? Niech mi ktoś powie: po jakiego Frasyniuka my teraz ludzi autokarami zwozimy, żeby miejscowych udawali, a z prawdziwych miejscowych tylko działacze klaszczą – skoro to wszystko trzeba będzie jeszcze raz odegrać przed wyborami? Przecież ja wróciłem na 100 proc., ale w czterodniowym tygodniu! Teraz to już bez kozery powiem: dwa. Dwa dni robota, reszta odpoczynek, relaks i walka z inflacją, w sensie paragony grozy na grillu. Mogą być sobota i niedziela. Nawet fajnie, bo odwrotnie niż za PiS, a przy okazji ludzie do kościoła nie zdążą. Tyle że nawet przy dwóch dniach trzeba będzie się poświęcić i startować w jakichś – pożal się, kanclerzu – wyborach! A co, ja mandatu nie mam? Kto w zabudowanym szalał jak na autostradzie?

No, ale, jak się powiedziało „A", czyli „Für Deutschland", to trzeba powiedzieć „B", czyli „Jawohl, nuturliś". Obiecałem, że podejmę wszelkie działania dla ostatecznego rozwiązania kwestii pisowskiej, to podejmę. Już ich i do rtęci porównałem, i do trucizny, i brudu, który trzeba usunąć. Opowiadam to wszystko teściowej, a ona mnie pociesza, że jednak lepiej siedzieć w ławach niż na ławie, a może być i tak, że gdy się nie trafi do tych pierwszych, to się zasiądzie na drugiej. Ogólnie bardzo dobra rozmowa, zwłaszcza że ja w przewidywaniu nie jestem za dobry. Jakbym wiedział, że mnie TVN zarejestruje, kiedy szczerze coś mówię, tobym w ogóle nie poszedł. A teraz weź, człowieku, wciskaj wszystkim, że chodziło ci nie o to, że ci się nie chce, ale o poziom parlamentaryzmu. To niech im teraz marszałek Grodzki tłumaczy, jak nisko upadły standardy choćby w Senacie. Oni w izbie refleksji na pewno mają pomysły, co zrobić, by społeczeństwo nie brało polityków za skorumpowanych i bezkarnych.

A na koniec ją zapytałem: „Co będzie dalej? Jak już zostanę tym posłem z ramienia przewodniczącego partii, to co? Kogo wezmę do rządu?". Długo milczała. „Zadzwoń wieczorem, to w kulę szklaną spojrzę". Nie wytrzymałem, piszę esemesa: „Niech mi Mamusia powie, bo ludzie już dzwonią i pytają...". To mi odpisała, że skoro nawet ja sam nie wierzę, iż Sejm po wyborach będzie wyglądać inaczej, to ona mnie informuje, że rząd tworzy kandydat na premiera z partii zwycięskiej i to nie będzie nikt z naszych. Ale że szefostwo klubu mam prawie pewne.

Więc teraz mi powiedzcie, wielce oburzeni moją prywatną wypowiedzią: czy trafienie do Sejmu na kolejną kadencję rządów PiS nie jest wizją wystarczająco upiorną, by dzielić się nią z bliskimi? Być Słońcem Peru, królem Europy na terenie Polski, laureatem niemieckich laurów i „naszym człowiekiem w Warszawie" dla rosyjskich mediów, a potem zostać następcą Budki?

eprasa.pl 89c74f1c09

Narodziny gwiazdy

Otóż większość mediów, które relacjonują niewątpliwy sukces młodziutkiej Polki, całkowicie pomijają jej związek z Telewizją Polską

Tego jeszcze nie było! Historia Polki Sary James to materiał na gotowy scenariusz filmowy. Urodzona w Słubicach 14-latka, której mama jest Polką, a tata Nigeryjczykiem, za nieco ponad dwa tygodnie powalczy w finale amerykańskiego „Mam talent!" o milion dolarów oraz kontrakt na rezydenturę w Las Vegas Strip – miejscu, w którym koncertowały wcześniej takie gwiazdy, jak Britney Spears, Mariah Carey, Céline Dion czy Cher.

Wielkich emocji polskiej widowni dostarczył już sam udział Sary w castingach do 17. sezonu amerykańskiego talent show. Podczas przesłuchań Polka wprawiła jury w osłupienie wykonaniem piosenki Billie Eilish. Przewodniczący jury Simon Cowell docenił 14-latkę, wciskając złoty przycisk, a dziewczynka nie była w stanie ukryć łez wzruszenia. Złote konfetti, które posypało się na jej głowę, znaczyło, że Sara mogła ominąć kolejne etapy konkursu i od razu awansowała do półfinałów na żywo. Te odbyły się w ubiegłym tygodniu w nocy z wtorku na środę na antenie NBC. Sara James zaśpiewała piosenkę Eltona Johna, czym wywołała wybuch euforii publiczności i jurorów. Kolejnej nocy (takie są zasady głosowania w amerykańskim show), czyli ze środy na czwartek, poznaliśmy wyniki głosowania Amerykanów. Okazało się, że widzowie poznali się na talencie nastolatki, która dostała się do finału „America's Got Talent".

Jurorzy nie mogli się nachwalić młodziutkiej Polki: „Wybór piosenki był genialny tak w ogóle. Absolutnie genialny. Sprawiłaś, że ten utwór brzmiał, jakby był twój. Myślę, że tym razem to Elton John udostępni twój występ" – powiedział przewodniczący jury Simon Cowell. „To był naprawdę zwycięski występ, masz wygląd, postawę i talent supergwiazdy" – komentowała Howie Mandel. „To było niesamowite, ty jesteś niesamowita" – nie kryła zachwytu Heidi Klum. Podczas wywiadu dla „Dzień dobry TVN" Simon Cowell nie krył entuzjazmu: „Cześć, Polsko! Przede wszystkim chciałbym wam podziękować za Sarę James. To wasz skarb narodowy. [...] Teraz już wiem na pewno, że Polska ma talent! Sam jestem częściowo Polakiem" – mówił juror.

Finał 17. edycji programu jest zaplanowany na wtorek 13 września. Niestety, podobnie jak na etapie półfinałów na wyniki głosowania telewidzów trzeba będzie poczekać do następnego dnia. Transmisję będzie można oglądać na oficjalnej stronie stacji NBC.

Jak zaczęła się kariera Sary James? Nastolatka zdobyła popularność po tym, jak wygrała czwartą edycję programu „The Voice Kids" w Telewizji Polskiej. We wrześniu 2021 r. wzięła udział w programie TVP „Szansa na sukces", wyłaniającym reprezentanta Polski w 19. Konkursie Piosenki Eurowizji dla Dzieci. W Eurowizji Junior, transmitowanym przez TVP, zajęła drugie miejsce. W lutym 2022 r. wystąpiła jako gość specjalny w widowisku TVP „Tu bije serce Europy!". I tu jest łyżka dziegciu.

Otóż większość mediów, które relacjonują niewątpliwy sukces młodziutkiej Polki, całkowicie pomijają jej związek z Telewizją Polską, który przecież pomógł jej w drodze do Stanów Zjednoczonych. I tak np. „Gazeta Wyborcza", opisując spektakularny sukces 14-latki słowami: „Doczekała należnego jej uznania w Los Angeles, wystąpiła w półfinale konkursu słynnego amerykańskiego »Mam talent!« i porwała publiczność", zupełnie wygumkowała z CV młodej gwiazdy jej współpracę z telewizją publiczną. Nawet podając tytuł programu, w którym wystąpiła: „The Voice Kids", pominięto już informację, kto tę audycję nadaje.

I w tym miejscu nachodzi mnie taka smutna refleksja, że to przykre, że w Polsce nawet talent musi być sprowadzony do polityki i politycznych sympatii lub antypatii. Bez wątpienia jednak obserwujemy spektakularne narodziny gwiazdy i obyśmy wszyscy tak samo potrafili się cieszyć z sukcesu młodej Polki. Saro, dasz radę! Wygraj to!

Dorota Łosiewicz

Jan Pietrzak

I ŚMIESZNO, I STRASZNO

Upiorny Tusk i szambelani

Wypsnęło się niejakiemu Tuskowi kilka słów prawdy na temat własnych emocji psychicznych. Otóż dręczy go demotywacja. Jest najwyraźniej wzburzony poleceniem służbowym, by kandydować do polskiego Sejmu. Nie chce, ale musi. Jest na musiku, jak mawiają karciarze. Ma zadanie powrotu do „tego syfu, tego planktonu", jak elegancko opisywał jego środowisko polityczne podwładny Graś. Ewentualny ponowny pobyt na Wiejskiej byłby dla niego, „dużego misia", czymś upiornym, oświadczył lekko zdziwionej dziennikarce. „Sam tego chciałeś, Grzegorzu Dyndało" – mawiał bohater sztuki Moliera.

To przecież Tuskowi parteigenossen od lat niszczą świadomie parlamentarne obyczaje w Sejmie. Robią durne pucze, wyją i kwiczą, zamiast debatować, warczą, zamiast przedstawiać argumenty, kłamią z mównicy w każdej sprawie. Nie szanują państwa polskiego, nie akceptują wyborczej decyzji Polaków. Świetnie się czują na ulicach i placach, wrzeszcząc „wyp...!". Demokracja parlamentarna jest dla nich za trudna. Są totalnie przeciwni niepodległym rządom, chcą oddać się we władanie błogo sławionym Niemcom. Chcą Polakami zarządzać w cudzym imieniu, nie lubią suwerenności. Dobitnym wyrazem takiej postawy był kuriozalny „hołd berliński" Sikorskiego.

Pewien dziennikarz po zaskakującej wypowiedzi Tuska, zadał pytanie: dlaczego elity III RP są ojkofobiczne? Wyjaśniam: bo to nie są elity, to są celebryty, zadaniowane na ogół! Od początku III RP lansowaniem niby-nowych elit zarządzała michnikowszczyzna. No i są efekty. Bezmyślni intelektualiści, falsy artystyczne, sprzedajni politycy, przygłupy profesorskie, sędziowskie kasty, bezkarne Durczoki, Kraśki, Lisy, pisarze „nie dla idiotów", teatry nie dla publiczności, seriale nie do wytrzymania, elita według Kiepskich...

Oczywiście prawdziwa polska elita istnieje, dlatego istnieje państwo polskie. A szmatława podróbka hajlajfu z wściekłości i nienawiści robi takie głupoty, że pogrąża się w swoim szambie. Można rzec: szambelani Jego Tuskowej Mości najbardziej demotywują ukochanego przywódcę.

Dominik Zdort

PRAWDA NIGDY NIE LEŻY POŚRODKU

Wyglądają tak, jak powinni

Od wielu miesięcy dziennikarze zwracają uwagę na różnice w tym, jak pokazują się Władimir Putin i Wołodymyr Zełenski. Pierwszy zawsze w garniturze, za monstrualnie długim stołem, rozsiadający się – w swoim niepowtarzalnie ordynarnym stylu – w fotelu ze złotymi ramami, przechodzący przez wielkie drzwi w otoczeniu salutujących mu żołnierzy w historycznych mundurach.

Drugi za biureczkiem lub przy niewielkim stoliku w towarzystwie dowódców i współpracowników, obowiązkowo w wojskowej bluzie lub zielonkawym T-shircie, często nieogolony. „Na tle Zełenskiego Putin wyglądał jak tchórz i słabeusz" – napisał kilka dni temu jeden z komentatorów.

Otóż nic głupszego stwierdzić nie można. Ktoś, kto pisze takie zdanie, pokazuje, że nie rozumie Rosji i na jej temat pisać nie powinien, bo wprowadza czytelników w błąd. Oceniając autoprezentację obu prezydentów, trzeba bowiem przede wszystkim odpowiedzieć na pytanie, do kogo ma zaapelować ich wizerunek.

Niektórzy twierdzą, że po wybuchu wojny Zełenski zdjął garnitur polityka i włożył... aktorski kostium. Przebrał się za żołnierza. To nie zarzut. W sytuacji, gdy część kraju jest ogarnięta wojną, gdy bomby spadają na ukraińskie miasta, przywódca nie może paradować w odprasowanej koszuli. Musi w demonstracyjny sposób być blisko rodaków. Rozumieć i wyrażać ich uczucia.

Zełenski pozwala sobie więc w wystąpieniach na odrobinę histerii. Ale to nie tylko emocje, a jeśli nawet, to emocje kontrolowane. Celem jest pokazanie, że sytuacja jest poważna i skłonienie świata do pomocy militarnej.

Dla odmiany Putin to „siła spokoju", bo nie ma powodu do nerwów, skoro to nie wojna, ale tylko operacja specjalna przeciw grupkom faszystów na zachodnich kresach.

Zachowanie prezydenta Rosji ma trafić do jego rodaków, na świecie zachodnim mu nie zależy, bo to z nim – w sensie polityczno-ideowym, choć już nie tylko – toczy wojnę.

Ludzi Zachodu może razić bizantyjski styl, dla Rosjan wielkie sale ze złoceniami są symbolem państwa odzyskującego należny mu status imperium. Posadzenie rozmówcy Putina na końcu długiego stołu potwierdza potęgę władzy, bo – wiadomo – do cara zbliżać się nie należy, a tym bardziej spoufalać się z nim nie wolno.

Niemądre jest więc stwierdzenie, że prezydent Rosji na tle prezydenta Ukrainy wygląda jak słabeusz czy tchórz. Obaj – na potrzeby swoich odbiorców – wyglądają tak, jak powinni.

Autor jest szefem portalu tygodnik.tvp.pl

eprasa.pl 89c74f1c09

BRONISŁAW WILDSTEIN

Polexit, czyli pomidor

Gra w pomidora polega na odpowiedzi na każde pytanie „pomidor". Opozycja mówi nie – PiS. Na każdą próbę refleksji na temat UE, na najdelikatniejszy sygnał odejścia od statusu nadzorowanej przez brukselskich urzędników prowincji rozdziera szaty, wykrzykując: „polexit!".

UE dziś to zarządzane głównie z Berlina z coraz mniejszymi udziałami Paryża neoimperium, w którym centralną rolę odgrywa zideologizowana i kierująca się swoim interesem oligarchia. Socjologiczne ankiety mówią, że blisko 80 proc. Polaków chce, byśmy bez względu na wszystko trwali w tym układzie. Czy na pewno? Demoskopia jest nauką, ale interpretacja sondaży – sztuką.

Publiczną rozmowę o UE utrudnia, jeśli nie uniemożliwia, przemożna indoktrynacja, którą demonstrują ośrodki formalnie powołane do jej analizy, a zamienione w tuby propagandowe. Ich tezy powtarzają media i centra opiniotwórcze. Od ogłoszeń przy drogach i obiektach użyteczności publicznej zawiadamiających, że powstały one dzięki unijnym funduszom, po wypowiedzi „ekspertów" informujących o dobrodziejstwach płynących dla nas z Brukseli. Jesteśmy poddani regularnemu praniu mózgów, którego celem jest wykrzewienie z nas wszelkich wątpliwości co do sensu i sposobu działania obecnej Unii. Mamy bezrefleksyjnie przyjąć, że jest ona wyrazem dziejowego postępu, który przezwycięża niebezpieczne narodowe partykularyzmy i tworzy wspólnotę w takt „Ody do radości" prowadzącą nas do świetlanej jutrzenki pod okiem nowej arystokracji ducha (i ciała) zajętej wyłącznie naszym dobrem.

Zmasowana agitacja niezwykle utrudnia dostrzeganie kolejnych kompromitacji europejskiego układu, który – teoretycznie mając wszelkie możliwości lepszego działania niż narodowe państwa – w sprawie pandemii czy obecnej wojny zawiódł na całej linii. W obu przypadkach okazał się instrumentem realizacji krótkowzrocznego interesu silniejszych, czyli Niemiec i po części Francji, tudzież przykładem niekompetencji, a może i korupcji brukselskich urzędników. Ale fakty na ten temat z niezwykłym trudem przeciskają się do opinii publicznej, a jeśli do niej trafiają, to opatrzone znanym skądinąd sloganem, że lekarstwem na problemy Unii jest więcej Unii. Refleksja, że realizacja tego postulatu doprowadziłaby do jeszcze większego podporządkowania Europy interesowi niemieckiego hegemona, nie przeciska się przez nagłośnienie muzyki zdumionego Beethovena. W efekcie ci, którzy wskazują, że pomocy Ukrainie realnie dostarcza układ atlantycki, czyli Stany Zjednoczone, Wielka Brytania i państwa Europy Środkowo-Wschodniej z Polską na czele i że to te kraje organizują sankcje przeciw Rosji, które są blokowane przez UE, są oskarżani o sprzyjanie Putinowi.

Czy Polacy wierzą w tę politgramotę? Myślę, że poza znaczącą, choć nie tak dużą grupą wychowaną przez pedagogikę wstydu – nie do końca. Nawet ta zbiorowość jest kierowana głównie antynarodowym resentymentem. Bardziej chodzi im o odrzucenie polskiej tożsamości niż wiarę w dobrego pasterza z Brukseli, który wypasał ich będzie na europejskich łąkach.

Z kolei ogół, prounijnie agitowany przez obie strony politycznego sporu, nie widzi żadnej alternatywy dla obecnego *status quo*. Ci od Tuska głoszą, że rozwijamy się wyłącznie dzięki unijnej pomocy, ci od Kaczyńskiego twierdzą jedynie, że lepiej ją wykorzystają. Politycy rządzącej od siedmiu lat prawicy, spętani lękiem przed sondażami i propagandą totalnych, którzy groźbą polexitu chcą uniemożliwić jakąkolwiek debatę, są zajęci powtarzaniem, że nigdy świętokradcza myśl o zakwestionowaniu brukselskiego układu przez myśl im nie przeszła. Potwierdzają więc, że jesteśmy skazani na to, co jest, i nie tylko inna opcja, ale nawet przestrzeń gry politycznej dla nas nie istnieje. Skoro wszystkie siły polityczne faktycznie mówią mniej więcej to samo – poza Konfederacją, która zachowuje się tak, jakby jej ośrodek decyzyjny mieścił się w Moskwie – to co mają myśleć obywatele i co odpowiadać na pytanie o przynależność Polski do UE?

Stan świadomości społecznej nie jest czymś stałym. Kiedy premier Wielkiej Brytanii David Cameron ogłosił referendum w sprawie brexitu, chciał spacyfikować narastającą antyunijną kontestację w swojej partii i był pewny, że większość Anglików opowie się za pozostaniem w UE. Demonstrowały to wszystkie badania. Rok walki propagandowej, a także dyskusji na ten temat zmienił narodowy ogląd. Lęk przed odbijanym w sondażach stanem ducha większości paraliżuje realną debatę, a więc i politykę. Owszem, kompleksy Polaków podsycane przez siły III RP są faktem, ale i one ulegają zmianie. Inaczej prawica nie mogłaby wygrać.

Opozycja gra w pomidora, zastępując go polexitem. Dopóki będziemy akceptować reguły tej gry, dopóty ani myśleć, ani uprawiać polityki nie będziemy w stanie.

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl 89c74f1c09

Walizka Kasi Ptasińskiej

aktorki, antropolożki, historyczki

Śmiało można powiedzieć, że żyję na walizkach. Jako aktorka zaangażowana w projekty wyjazdowe, takie jak spektakl „Goło i wesoło" w reżyserii Tomasza Sapryka z Teatru Gudejko, często przemierzam Polskę wzdłuż i wszerz, odkrywając przeróżne, mniejsze i większe, mniej lub bardziej znane miasta i miasteczka. Zawsze staram się zwiedzić miejscowość, w której gramy. Niejednokrotnie zdarzyło mi się doświadczyć pozytywnego zaskoczenia urodą miejsca, którego dotąd nie znałam, lub tego, o którym słyszałam negatywne opinie. Śmiało mogę więc powiedzieć, że Polska jest przepiękna!

Ponadto uwielbiamy wraz z Mężem, a często również z przyjaciółmi podróżować w wolnym czasie. Wierzę, że wszelakie eskapady kształcą. Dla przyjemności i odpoczynku wybieramy głównie zagraniczne kierunki, do których docieramy samochodem. Uwielbiam prowadzić, w bagażniku zmieści się nieograniczonej wielkości walizka i rowery, a ponadto auto daje nam poczucie niezależności i możliwość dotarcia wszędzie, gdzie tylko mamy ochotę.

Standardem jest, że wszędzie zabieram z sobą ogromną walizkę, moi bliscy pieszczotliwie nazywają ją lodówką. Chłopcy z zespołu żartują, że pewnie wożę w niej swojego Męża, bo spokojnie by się do niej zmieścił. Choć wielkość mojego bagażu zaskakuje, zwykle okazuje się, że wszystko, co zabrałam, przydaje się mnie bądź współtowarzyszom moich wyjazdów.

A co takiego stanowi dla mnie niezbędny ekwipunek?

UKULELE

Sięgnęłam po ten instrument podczas pandemii, gdy poszukiwałam czegoś, co zaprzątnie moją głowę w okresie oczekiwania na powrót do ukochanej pracy. Grać na ukulele nauczyłam się sama, korzystając z tutoriali na YouTubie, zdecydowanie nie jestem ukulelowym wymiataczem, niemniej potrafię zagrać ulubione piosenki lub zaakompaniować do śpiewu. Dźwięki tego instrumentu dają mi ukojenie.

ROWERY

Mój jest biały, a Męża czarny. Składają się do niewielkich rozmiarów i rozkładają w 20 sekund. Uwielbiamy nimi jeździć, szybciej przemieszczając się z miejsca na miejsce, co pozwala nam na efektywniejsze zwiedzanie.

eprasa.pl 89c74f1c09

„GOŁO I WESOŁO"

...czyli sześciu wspaniałych aktorów i ja jako rodzyneczka jeździmy po całym kraju. Czasami są to wyjazdy jednodniowe, czasami dwudniowe... a czasami siedmiodniowe. Jest nam z sobą dobrze w trasie i na scenie, czego efektem są owacje na stojąco.

„NA WSPÓLNEJ"

To serial, z którym się bardzo mocno identyfikuję. Mam tam całą grupę przyjaciół i tam czuję się jak w domu. Hale produkcyjną mamy w Sękocinie, ale zdarza się też, że zdjęcia kręcimy w Warszawie, Konstancinie i innych urokliwych miejscach Mazowsza.

BADMINTON

To moja pasja. Nieważne, czy gramy na plaży, czy na rodzinnej działce – wszędzie wygrywam.

LEKTURA

Obecnie czytam „Stulecie chirurgów" Jürgena Thorwalda. Uwielbiam popularnonaukową literaturę z dziedziny medycyny.

OCHRONA PRZECIWSŁONECZNA

W mojej walizce nie może zabraknąć kapelusza ani kremu z filtrem. Bardzo dbam o to, żeby opalać się zdrowo i nie dostać udaru słonecznego. Notabene jestem ambasadorką akcji Akademia Czerniaka.

GRY

Gdy nie dopisuje pogoda, rozkładamy scrabble albo gramy w tysiąca. Fantastycznie ćwiczą i rozwijają umysł, a ja jestem mistrzynią tych gier.

OKULARY

Nie wyobrażam sobie jazdy samochodem bez okularów przeciwsłonecznych. Przewinęło się ich od groma i ciut, ciut, ponieważ często je gubię, zarysowuję lub niechcący zaklejam gumą do żucia.

„PREZENT URODZINOWY"

Scenariusz do spektaklu, który zaczęliśmy grać w Capitolu. Wożę go wszędzie, bo lubię do niego sięgnąć, żeby znaleźć nowe smaczki w postaci mojej bohaterki, czegoś się uczepić, wymyślić coś nowego.

UBRANIA

Jest ich wiele i są kolorowe, bo moda jest moją pasją i uwielbiam łączyć style, np. elegancki ze sportowym czy formalny z ekstrawaganckim. Nie jestem typem turystki w traperach. Lubię się wyróżniać.

„O CO BIEGA?"

W tej komedii mam rolę służącej Idy na plebanii w kościele anglikańskim. Jest to osoba zwariowana, spontaniczna, ubierającą się kolorowo jak papuga, czyli jak mówi mój Mąż – cała ja. Oprócz mnie jest cała ekipa fantastycznych aktorów, z którymi gra to zaszczyt.

Wysłuchał
Michał Korsun

Fot. Andrzej Wiktor, Shutterstock, materiały prasowe Danon

eprasa.pl 89c74f1c09

OGNIEM NA WPROST

Duginówna i papież

W Odincowie pod Moskwą odbył się „patriotyczny" festiwal, na którym gościła Daria Duginówna wraz ze swoim tatusiem. I nie było by w tym nic dziwnego (jedno i drugie prawiło tam swoje kocopoły o ruskim mirze na Ukrainie i strasznym Zachodzie), gdyby nie to, że chwilę po wyjeździe z imprezy toyota land cruiser córuni wyleciała w powietrze razem z zawartością. FSB raz dwa namierzyło sprawcę. Była nim rzekomo Ukrainka – Natalia Wowk z małym dzieckiem [sic!], która jakoby miała wynająć mieszkanie w kamienicy Duginów, a po detonacji bomby uciec do Estonii. W pośpiechu „zostawiła" w lokum swoją legitymację znienawidzonego przez Moskali pułku Azow ze zdjęciem i danymi personalnymi. Zbyt piękne, żeby było prawdziwe, ale dla niezbyt rozgarniętej głubinki (ruska prowincja) to absolutnie powinno wystarczyć. Zaraz po zamachu rozległ się niebywały jazgot rosyjskich szowinistów i propagandystów, w tym Konstantina Małofiejewa, który chce uczcić pamięć Duginówny w Kijowie. „Najlepszym wspomnieniem dla Daszy będzie ulica Darii Duginy w Kijowie. I na pewno nazwiemy tę ulicę jej imieniem. I w tym celu musimy najpierw odbudować Kijów, wszystkie inne miasta Ukrainy, przyszłą Wielką Rosję" – zapowiada. Kolejny podobny dziennikarz, Andriej Samochin, obwinił za śmierć kobiety premiera Mateusza Morawickiego. „To pies Zachodu, który wysforował się do przodu i wyszczekuje jego centralną ideę: zniszczyć odradzającą się rosyjską imperialną samoświadomość" – uważa moskiewski żurnalista spod ciemnej gwiazdy. Rodzinka Duginów w oficjalnych wystąpieniach potrafiła używać o Ukraińcach sformułowania: „zabijać, zabijać, zabijać". Tatuś twierdził również, że prawdziwy Rosjanin powinien być gotowy na poświęcenie na ołtarzu ojczyzny życia swojego dziecka. I jak się teraz czujesz, tatusiu z brodą Rasputina? Co do ulicy Darii Dugin w stolicy Ukrainy to najpierw trzeba Kijów zdobyć. Jak na razie druga armia świata zwiewała stamtąd po dokonaniu odrażających mordów na ludności cywilnej w Buczy i Irpieniu z podkulonymi ogonami i do tej pory nie widać, żeby wracali.

A papieżowi w kwestiach ukraińskich już od samego początku konfliktu mieszało się w głowie. Franciszek do dziś nie może dojść do ładu, jak moralnie traktować agresję Moskwy na Ukrainę. „Myślę o tej biednej dziewczynie, wysadzonej w powietrze z powodu bomby pod siedzeniem samochodu" – powiedział o zamachu na Duginównę. Biskup Rzymu zdaje się nie dostrzegać, kim była zabita (najprawdopodobniej przez swoich znajomków z tajnych służb Moskwy). Otóż Duginówna była znana z mocnych wypowiedzi na temat Ukraińców, odmawiała im człowieczeństwa, a w każdym mieście już okupowanym przez Rosjan proponowała ustanawiać trybunały i wszystkich skazywać na śmierć. Wraz z tatusiem podszczuwała Moskali, wzbudzając wraz z propagandystami tamtejszych mediów szczerą nienawiść do narodu ukraińskiego. Reakcję Franciszka trafnie skomentował ambasador Ukrainy przy Stolicy Apostolskiej Andrij Jurasz: „Dzisiejsze przemówienie papieża było rozczarowujące i skłoniło mnie do myślenia o wielu rzeczach: nie mogę mówić w takich samych kategoriach o agresorze i ofierze, gwałcicielu i zgwałconym. Jak można wymienić ideologów imperializmu rosyjskiego jako niewinne ofiary?". Problem z Franciszkiem polega chyba na tym, że nie ogarnia ani historii, ani teraźniejszości zawiłych stosunków panujących w Europie. Nie ma również takiej intelektualnej podbudowy, którą dysponowali jego poprzednicy – zarówno Jan Paweł II, jak i Benedykt XVI. Ale jak się nie ma, co się lubi, to się lubi, co się ma.

Przyczynek do moralnej oceny wojny na Ukrainie papieża Franciszka. W okupowanym Melitopolu na ulicy Bohaterów Ukrainy szła sobie dziewczyna. Nieletnia. Przypadkiem spotkała żołnierza kacapa. Ten, starym ruskim zwyczajem, rzucił się na nią, chcąc ją zgwałcić. Ale tym razem miał pecha. Za rogiem czaili się ukraińscy partyzanci. Ci nie zastanawiali się długo, w jak trudnej sytuacji znalazł się okupant. Prawdopodobnie pojechał na wojenkę, bo dostał taki rozkaz, a gdzieś w dalekiej Rosji czekała na niego z utęsknieniem matka. Poza tym wojna jest straszna i cierpi z jej powodu zarówno moskiewski żołnierz, jak i przypadkowa ofiara, która Bogu ducha winna szła sobie ulicą okupowanego miasta. Dla przedstawicieli ukraińskiego ruchu oporu sytuacja była zerojedynkowa. Ratując przed gwałtem rodaczkę, zarżnęli na miejscu gwałciciela, a trupa zostawili na ulicy. O akcji partyzantów poinformował oficjalny (ukraiński) burmistrz Melitopola Iwan Fedorow. Ciekaw jestem, czy w Watykanie już rozpoczęło się myślenie o tym „biednym" chłopaku, który próbę gwałtu na małoletniej dziewczynie przypłacił życiem?

Andrzej Rafał Potocki

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl 89c74f1c09

Bohaterki

Marta Kaczyńska-Zielińska

W czasie II wojny światowej niemieccy okupanci postrzegali Polki jako „najniebezpieczniejszy typ kobiety europejskiej w zakresie szpiegostwa, konspiracji i jej narodowego fanatyzmu". Polki działały w konspiracji wojskowej, w tajnym nauczaniu, w konspiracyjnym życiu kulturalnym, a także w administracji cywilnej podziemnego państwa oraz w polityce. Zajmowały się łącznością, której stanowiły główny filar, prowadziły pracę biurową komend, uczestniczyły w dywersji, w pracy propagandowej, wywiadowczej i kontrwywiadowczej. Szkoliły się z pomocy medycznej, intendentury, służby wartowniczej, transportowej. Żeńskie oddziały dywersyjno-sabotażowe AK specjalizowały się w wysadzaniu torów kolejowych, pozyskiwaniu dokumentów, a nawet w wykonywaniu wyroków śmierci.

Na początku 1940 r. komendant ZWZ Stefan Rowecki „Grot" zdecydował, aby służba kobiet żołnierzy była określana kryptonimem WSK, Wojskowa Służba Kobiet. W tym samym roku powierzono dowództwo tej organizacji Zofii Franio „Doktór" – lekarce i instruktorce PWK w stopniu porucznika. Dwa lata później w maju 1942 r. w strukturach Biura Informacji i Propagandy powołano Pomoc Żołnierzowi (PŻ), w której skład wchodziły wyłącznie kobiety. Powołano także Kobiece Patrole Minerskie oraz oddział dywersji i dabotażu kobiet Dysk. W 1943 r. został przeprowadzony pierwszy zamach polskiego podziemia, do którego wykonania skierowano tylko kobiety. Pierwszą Polką w historii Wojska Polskiego, która została mianowana na stopień generała, była Maria Wittek, która w 1939 r. była komendantką Kobiecych Batalionów Pomocniczej Służby Wojskowej. W latach 1939–1945 stała na czele Wojskowej Służby Kobiet. Walczyła także w powstaniu warszawskim.

Z kolei Elżbieta Zawacka „Zo" to kurierka Komendy Głównej AK. Podróżowała z pocztą między Warszawą i Berlinem, zorganizowała siatkę kurierów transportujących korespondencję do Londynu. Przedostała się do stolicy Wielkiej Brytanii, skąd powróciła do Polski jako jedyna kobieta, która wykonała skok ze spadochronem wraz z cichociemnymi. Po wojnie została aresztowana przez UB, a następnie skazana na 10 lat więzienia. Po kilku latach została zwolniona. Pracowała naukowo, zajmując się pedagogiką, i gromadziła także materiały upamiętniające służbę żołnierzy AK. Była drugą w historii Polką, która została awansowana na stopień generała brygady. Dokonał tego prezydent Lech Kaczyński w 2006 r.

Inka, czyli Danuta Siedzikówna, w 1943 r. wstąpiła do AK po tym, jak Niemcy zamordowali jej matkę. W 1945 r. aresztowało ją UB/NKWD. Zdołano ją jednak uwolnić. Po czym Inka powróciła do walki w zbrojnym ruchu oporu jako sanitariuszka. Ponownie pojmana przez UB, została osadzona w Gdańsku jako więzień specjalny, a następnie rozstrzelana. W 2006 r. została pośmiertnie odznaczona przez prezydenta Lecha Kaczyńskiego za wybitne zasługi dla niepodległości Rzeczypospolitej Polskiej. Do 2014 r. miejsce pochówku Siedzikówny było nieznane. Odnaleziono je w wyniku prac IPN. W 2016 r. odbył się w Gdańsku państwowy pogrzeb Inki.

Maria Stella Mardosewicz i 10 sióstr zakonnych poniosły śmierć męczeńską z rąk Niemców. Zakonnice oddały życie za 120 aresztowanych mieszkańców Nowogródka. W 2000 r. papież Jan Paweł II ogłosił siostry błogosławionymi.

Jadwiga Apostoł po wybuchu wojny wraz z matką prowadziła punkt przerzutowy, dzięki któremu w latach 1939–1940 nielegalnie przeprowadzono przez górską granicę kilkadziesiąt osób. Następnie współtworzyła Konfederację Tatrzańską, której głównym zadaniem była walka z germanizacją Podhala. Została aresztowana przez Niemców i osadzona w Auschwitz i Malchow. Po wojnie skazano ją na pięć lat więzienia.

Podobnych polskich bohaterek jest wiele. Wszystkie zasługują na upamiętnienie i pielęgnowanie o nich wspomnień. Serial TVP „Wojenne dziewczyny" bije rekordy popularności nie tylko wśród widzów średniego i starszego pokolenia, ale także wśród nastolatek. Okazuje się, że dla najmłodszych odpowiednio przedstawiona historia nie musi pozostawać zamknięta w podręcznikach. Pozostaje czekać na kolejne produkcje, które przybliżą losy prawdziwie pięknych postaci – kobiet bohaterek.

REKLAMA

53/0722/F

eprasa.pl 89c74f1c09

Za dużo przypadków

Samuel Pereira

Czas skończyć z naiwnością w polityce międzynarodowej, szczególnie w Polsce. Za dużo kosztowała nas prorosyjska polityka lat 2008–2015, gdy w imię emocjonalnych deklaracji o przyjaźni i przemianie Rosji postawiono wszystko na głowie. Gdy 29 sierpnia 2006 r. Gazprom oraz niemieckie firmy E.ON Ruhrgas i BASF podpisały w Moskwie porozumienie w sprawie budowy Gazociągu Północnego i utworzenia konsorcjum Nord Stream, a następnie 10 czerwca 2008 r. do konsorcjum dołączyła holenderska firma Nederlandse Gasunie – było jasne, że bracia Kaczyńscy nie mogą w tym przymierzu z Rosją przeszkadzać. Nawet jeśli miałaby na tym dealu finansowo i w sferze bezpieczeństwa Polska stracić.

Teraz, przy kręceniu afery w sprawie Odry, padły niezauważone, a wymowne słowa przedstawiciela PO i bliskiego doradcy Donalda Tuska, Bartłomieja Sienkiewicza. „W sytuacji klęski braku wody, wysychającego Renu, Padu myślicie o żeglownej Odrze? Jak bardzo się trzeba trzymać absurdów, żeby wobec takiej katastrofy chcieć, zamiast pomóc się tej rzece oczyścić, tę rzekę zabić". Innymi słowy: korzystne dla Polski, ale niepodobające się Niemcom działania na rzecz pogłębienia Odry są szkodliwe dla środowiska. Podobnie zresztą jak projekt CPK, budowa muru na granicy z Białorusią, portu kontenerowego w Świnoujściu czy przekop Mierzei Wiślanej. Po prostu wszystko, co jest dobre dla interesów Polski, a niedobre dla Berlina i Kremla – jest złe dla planety. Cóż za przypadek. Nie tak dawno, bo w czerwcu, niemieccy ekolodzy i land Brandenburgia zaskarżyli rozbudowę Odry i co zrobił sąd w Warszawie? Przyznał im rację i nakazał Polsce wstrzymanie prac.

Kolejny przypadek. Jakoś tak jest, że każda niekorzystna dla Niemiec inwestycja jest przez Platformę Obywatelską krytykowana. W przeciwieństwie do rosyjsko-niemieckiego gazociągu, którego budowę – na szczycie państw Morza Bałtyckiego w 2012 r. – premier Tusk poparł w imię... „szacunku dla narodowej specyfiki planów dotyczących bezpieczeństwa energetycznego", po czym niemieckie media pisały, że jest szykowany dla niego stołek w Brukseli. Przypadeczek.

Autor jest szefem portalu tvp.info

Najważniejszy jest zespół

Z aktorem Marcinem Urbankem rozmawia Jolanta Gajda-Zadworna

Na dobre... wpadł pan w życie Leśnej Góry?

Marcin Urbanke: Parę projektów jeszcze się pojawiło, ale rzeczywiście „Na dobre i na złe" dało mi pierwszą dużą rolę. I nadal się nią cieszę, bo dużo się w Leśnej Górze dzieje. I w sferze medycznej, i prywatnej mojego bohatera. Jest też wspaniała ekipa.

Serialowy szpital przyniósł popularność wielu aktorom.

Coś w tym jest. Ja sam oglądałem odcinki z Małgorzatą Foremniak, Arturem Żmijewskim i Krzysztofem Pieczyńskim. Ze starszej (celowo nie mówię „starej") gwardii został już chyba tylko Piotr Garlicki, ale przewinęła się przez Leśną Górę aktorska plejada, a w niej m.in. Tomasz Kot czy Marian i Bartosz Opaniowie. Dołączenie do takiego grona to dla mnie nobilitacja, ale też motywacja, by to, co robię, robić dobrze.

Fot. TVP

Zawodowy staż Tadeusza Boruckiego jest pełen intrygujących medycznych przypadków?

O tak. Staramy się więc robić wszystko tak, jak mówią nam konsultanci. I dobrze, że ich mamy, bo niektóre przypadki ocierają się o międzynarodowe wyżyny medycyny. Mieliśmy w serialu robota da Vinci, skomplikowane przeszczepy skóry, transplantacje najwyższego ryzyka... Ale chyba najważniejszy, nie tylko przy stole chirurgicznym, okazywał się zawsze zespół.

Zdjęcia do serialu powstawały również w niełatwym, covidowym czasie.

I pozwoliły jeszcze bardziej docenić medyków oraz ich pracę, która nierzadko odbywa się kosztem prywatnego życia. Misja i powołanie. W tym zawodzie mają szczególne znaczenie.

eprasa.pl 69c7411c09

Rysują ***Mr Donk & dr Fish***

SIECI

ISSN 2544-2694

www.wSIECIprawdy.pl

REDAKTOR NACZELNY: JACEK KARNOWSKI

ZASTĘPCY REDAKTORA NACZELNEGO: DOROTA ŁOSIEWICZ, TOMASZ OZDOWY, MAREK PYZA, MARCIN WIKŁO

E-MAIL: REDAKCJA@FRATRIA.PL; TEL. (22) 616 36 00, (22) 255 93 32; UL. FINLANDZKA 10, 03-903 WARSZAWA

AUTORZY: ŁUKASZ ADAMSKI, GORAN ANDRIJANIĆ, PRZEMYSŁAW BARSZCZ, MAREK BUDZISZ, ADAM CIESIELSKI, PIOTR CYWIŃSKI, LESZEK DŁUGOSZ, KRZYSZTOF FEUSETTE, JOLANTA GAJDA-ZADWORNA, GRZEGORZ GÓRNY, JERZY JACHOWICZ, STANISŁAW JANECKI, MARTA KACZYŃSKA-ZIELIŃSKA, MICHAŁ KARNOWSKI, KONRAD KOŁODZIEJSKI, CEZARY KOWALSKI, ANDRZEJ KRAUZE, JAROMIR KWIATKOWSKI, JAKUB MACIEJEWSKI, RYSZARD MAKOWSKI, MAJA NARBUTT, MARZENA NYKIEL, SAMUEL PEREIRA, JAN PIETRZAK, JAN POSPIESZALSKI, ANDRZEJ RAFAŁ POTOCKI, WOJCIECH RESZCZYŃSKI, JAN ROKITA, ALEKSANDRA RYBIŃSKA, WOJCIECH STANISŁAWSKI, WIKTOR ŚWIETLIK, ROBERT TEKIELI, BRONISŁAW WILDSTEIN, PIOTR ZAREMBA, DOMINIK ZDORT, ANDRZEJ ZYBERTOWICZ

WYDAWCA: FRATRIA SP. Z O.O.
PREZES: ROMUALD ORZEŁ
UL. LEGIONÓW 126-128, 81-472 GDYNIA
REDAKCJA@FRATRIA.PL, WWW.FRATRIA.PL

FRATRIA grupa medialna

DYREKTOR WYDAWNICZY: MACIEJ WOŚKO

PRODUKCJA I DYSTRYBUCJA: MARIOLA BARCIKOWSKA, MARIOLA.BARCIKOWSKA@FRATRIA.PL

DYREKTOR ARTYSTYCZNY: MICHAŁ KORSUN, MICHAL.KORSUN@FRATRIA.PL

STUDIO GRAFICZNE: ANDRZEJ SKWARCZYŃSKI (KIEROWNIK), ANDRZEJ.SKWARCZYNSKI@FRATRIA.PL, LIDIA SŁOWIKOWSKA-SMOLIŃSKA, KATARZYNA LASKOWSKA
PROJEKT GRAFICZNY: MICHAŁ KORSUN
FOTOEDYCJA: ANNA ŁABĘCKA, ANIA.LABECKA@FRATRIA.PL,
OBRÓBKA ZDJĘĆ: TOMASZ KIERAS

PRENUMERATA WYDANIA PAPIEROWEGO:
TEL. (22) 616 36 00 (GODZ. 9.00 – 17.00), (22) 255 93 32
PRENUMERATA@FRATRIA.PL
REGULAMIN ORAZ WARUNKI PRENUMERATY NA STRONIE WWW.WSIECIPRAWDY.PL

WPŁAT ZA PRENUMERATĘ PROSIMY DOKONYWAĆ NA KONTO:
91 1240 5354 1111 0010 7713 6290
FRATRIA SP. Z O.O., UL. LEGIONÓW 126-128, 81-472 GDYNIA,
W TYTULE WPŁATY WPISUJĄC PEŁNE DANE ADRESOWE DO WYSYŁKI ORAZ RODZAJ PRENUMERATY

PRENUMERATA REALIZOWANA PRZEZ RUCH S.A.:
ZAMÓWIENIA NA PRENUMERATĘ W WERSJI PAPIEROWEJ I NA E-WYDANIA MOŻNA SKŁADAĆ BEZPOŚREDNIO NA STRONIE WWW.PRENUMERATA.RUCH.COM.PL.

EWENTUALNE PYTANIA PROSIMY KIEROWAĆ NA ADRES E-MAIL: PRENUMERATA@RUCH.COM.PL LUB KONTAKTUJĄC SIĘ Z CENTRUM OBSŁUGI KLIENTA „RUCH" POD NUMERAMI: 22 693 70 00 LUB 801 800 803 – CZYNNE W DNI ROBOCZE W GODZINACH 7^{00} – 17^{00}.
KOSZT POŁĄCZENIA WG TARYFY OPERATORA.

DRUK: WALSTEAD KRAKÓW SP. Z O.O.

DYREKTOR DS. ROZWOJU BIZNESU:
KATARZYNA MARCHEWKA – KATARZYNA.MARCHEWKA@FRATRIA.PL

BIURO REKLAMY:
REKLAMA@FRATRIA.PL, TEL. (22) 463 49 93
PAULINA KĄKOL – PAULINA.KAKOL@FRATRIA.PL
MARCIN DĄBROWSKI – MARCIN.DABROWSKI@FRATRIA.PL

KOLPORTAŻ: KOLPORTAZ@FRATRIA.PL

REDAKCJA ZASTRZEGA SOBIE PRAWO DO REDAGOWANIA I SKRACANIA TEKSTÓW. COPYRIGHT © FRATRIA SP. Z O.O. WSZYSTKIE PRAWA ZASTRZEŻONE (WŁĄCZNIE Z TŁUMACZENIEM NA JĘZYKI OBCE). REDAKCJA NIE ZWRACA MATERIAŁÓW NIEZAMÓWIONYCH. OGŁOSZENIA I REKLAMY NIE STANOWIĄ MATERIAŁU POCHODZĄCEGO OD WYDAWCY. BEZUMOWNA SPRZEDAŻ NUMERÓW BIEŻĄCYCH I ARCHIWALNYCH PO CENIE NIŻSZEJ OD USTALONEJ PRZEZ WYDAWCĘ JEST ZABRONIONA, NIELEGALNA I GROZI ODPOWIEDZIALNOŚCIĄ KARNĄ.

FOT. NA OKŁADCE: JAKUB AUGUSTYN MACIEJEWSKI, LEONID SHCHEGLOV/AFP/EAST NEWS, AKG-IMAGES/EAST NEWS, MUZEUM NIEPODLEGŁOŚCI/EAST NEWS, MUZEUM POWSTANIA WARSZAWSKIEGO, SHUTTERSTOCK/EVERETT COLLECTION, WIOLA WADEREK, STEPHEN REES

pracownia **Social Changes** dla wPolityce.pl

nasz sondaż

Na które ugrupowanie polityczne oddałaby Pani/oddałby Pan głos, gdyby wybory do polskiego parlamentu odbywały się w najbliższą niedzielę? (bez niezdecydowanych)

Co Pani/Pana zdaniem powinna zrobić Ukraina?

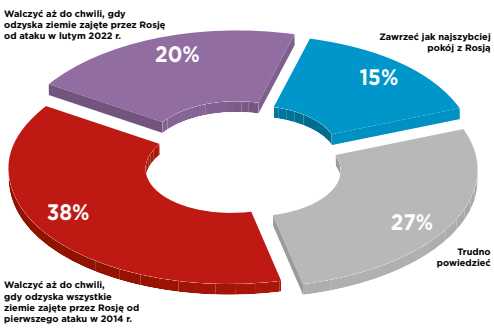

Czy politycy rozpowszechniający (rozsiewający) fałszywe informacje o przyczynach śmierci ryb w Odrze powinni ponieść konsekwencje i np. powinni podać się do dymisji?

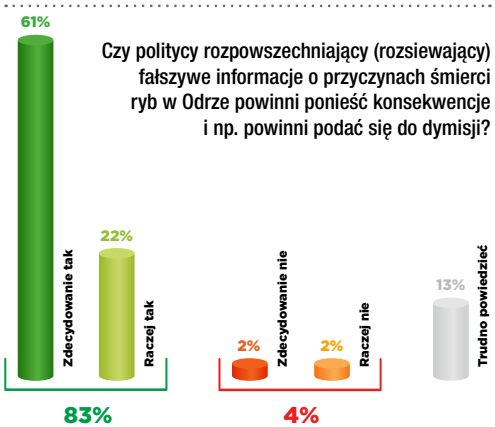

Czy według Pani/Pana Komisja Europejska postąpiła uczciwie wobec Polski w sprawie Krajowego Planu Odbudowy, najpierw zawierając kompromis, a później wycofując się z niego?

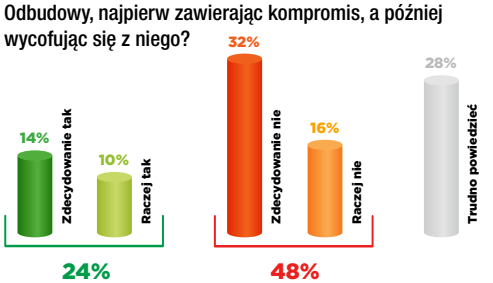

Badania zrealizowane metodą CAWI (Computer Assisted Web Interview) na panelu internetowym. Badania przeprowadzone na ogólnopolskiej, reprezentatywnej (pod względem: płci, wieku, wielkości miejsca zamieszkania) próbie Polaków. W badaniu wzięło udział N=1003.

Zakres czasowy badania 19–22 sierpnia 2022 r.

eprasa.pl 89c74f1c09

Niemcy wciąż na debecie

Ujawniamy sensacyjne dokumenty z moskiewskiego archiwum, które świadczą o tym, że pomysł, by Polska zrzekła się reparacji od Niemiec, powstał na Kremlu. Mimo to władze PRL nie dopełniły wymaganych przez Sowietów formalności, z roszczeń nigdy więc nie zrezygnowano

MAREK PYZA MARCIN WIKŁO

Aż trudno uwierzyć, że problem reparacji wojennych, z którym mierzymy się od lat, mógł rozstrzygać się latem 1953 r. w tempie filmu sensacyjnego. To wtedy, 18 sierpnia, powstała uchwała Rady Ministrów ZSRS, która nie pozostawia wątpliwości – władze PRL nie podjęły żadnej samodzielnej decyzji w sprawie reparacji.

– Ten moskiewski dokument dotychczas nie był znany. Mogliśmy się tylko domyślać, że on istnieje. Że padła jakaś propozycja ze strony Sowietów. Dopiero dziś, mając materiał źródłowy, możemy zobaczyć, co proponowali towarzysze z Moskwy – mówi nam prof. Bogdan Musiał, były dyrektor Instytutu Strat Wojennych. Historyk przez lata starał

Fot. Domena Publiczna

eprasa.pl 89c74f1c09

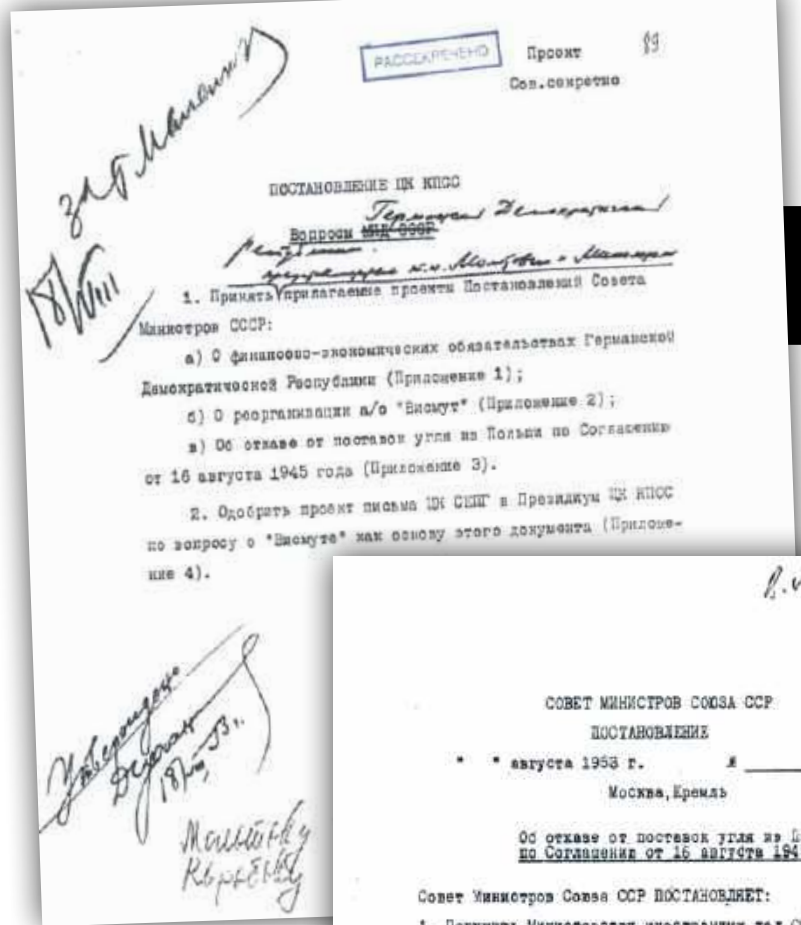

РАССЕКРЕЧЕНО

Проект

Сов.секретно

ПОСТАНОВЛЕНИЕ ЦК КПСС

Вопросы ~~МИД СССР~~

1. Принять прилагаемые проекты Постановлений Совета Министров СССР:

а) О финансово-экономических обязательствах Германской Демократической Республики (Приложение 1);

б) О реорганизации а/о "Висмут" (Приложение 2);

в) Об отказе от поставок угля из Польши по Соглашению от 16 августа 1945 года (Приложение 3).

2. Одобрить проект письма ЦК СЕПГ в Президиум ЦК КПСС по вопросу о "Висмуте" как основу этого документа (Приложение 4).

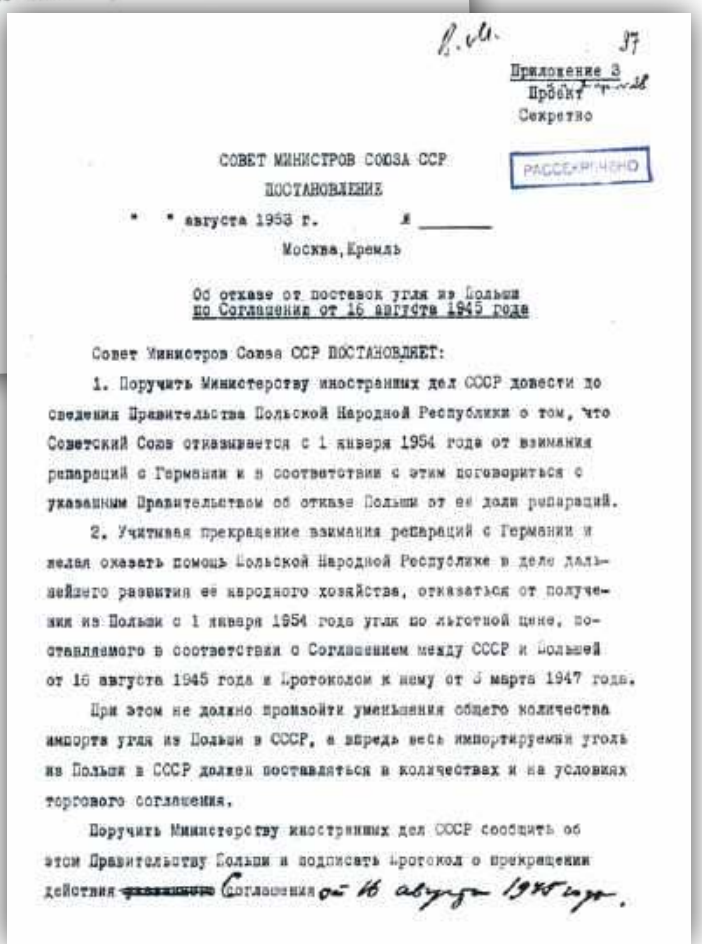

Приложение 3

Проект

Секретно

РАССЕКРЕЧЕНО

СОВЕТ МИНИСТРОВ СОЮЗА ССР

ПОСТАНОВЛЕНИЕ

" " августа 1953 г. № _____

Москва, Кремль

Об отказе от поставок угля из Польши по Соглашению от 16 августа 1945 года

Совет Министров Союза ССР ПОСТАНОВЛЯЕТ:

1. Поручить Министерству иностранных дел СССР довести до сведения Правительства Польской Народной Республики о том, что Советский Союз отказывается с 1 января 1954 года от взимания репараций с Германии и в соответствии с этим договориться с указанным Правительством об отказе Польши от ее доли репараций.

2. Учитывая прекращение взимания репараций с Германии и желая оказать помощь Польской Народной Республике в деле дальнейшего развития ее народного хозяйства, отказаться от получения из Польши с 1 января 1954 года угля по льготной цене, поставляемого в соответствии с Соглашением между СССР и Польшей от 16 августа 1945 года и Протоколом к нему от 3 марта 1947 года.

При этом не должно произойти уменьшения общего количества импорта угля из Польши в СССР, а впредь весь импортируемый уголь из Польши в СССР должен поставляться в количествах и на условиях торгового соглашения.

Поручить Министерству иностранных дел СССР сообщить об этом Правительству Польши и подписать Протокол о прекращении действия ~~[illegible]~~ Соглашения от 16 августа 1945 года.

Ten moskiewski dokument dotychczas nie był znany. Mogliśmy się tylko domyślać, że istnieje. Dopiero dziś możemy zobaczyć, co proponowali towarzysze z Moskwy – mówi nam prof. Bogdan Musiał

się dotrzeć do źródeł w Rosyjskim Państwowym Archiwum Historii Najnowszej.

To stamtąd pochodzi dokument, który publikujemy jako pierwsi. Jego oryginalna treść jest jeszcze ostrzejsza niż polskie tłumaczenie. Czytamy w nim, że Rada Ministrów ZSRS postanawia polecić MSZ, by ten powiadomił rząd PRL, iż Związek Sowiecki od dnia 1 stycznia 1954 r. zrezygnował z pobierania reparacji od Niemiec i od strony polskiej oczekuje tego samego, co ma zostać potwierdzone podpisaniem protokołu. Żadnych negocjacji czy propozycji, polecenie, a w zasadzie, biorąc pod uwagę realia – rozkaz do wykonania. Cała ta konstrukcja umowno-nakazowa była powiązana także z dostawami węgla z PRL do ZSRS, ale tę kwestię wyjaśnimy dalej.

Prof. Bogdan Musiał wraz z tym dokumentem odnalazł w moskiewskich archiwach jeszcze jeden – postanowienie Komitetu Centralnego KPZS (również z 18 sierpnia 1953 r.), które zatwierdza decyzję fasadowego rządu. – Z mojego doświadczenia wynika, że właśnie takie dokumenty są w przypadku ZSRS kluczowe, bo wszystkie ważne decyzje były zatwierdzane przez KC w Moskwie. I znów się to potwierdziło – dodaje prof. Musiał.

Zatwierdzony w KC rozkaz rozpoczyna błyskawiczny ciąg wydarzeń. Zapewne dokument został natychmiast wysłany depeszą do sowieckiej ambasady w Warszawie. Najprawdopodobniej następnego ranka (19 sierpnia 1953 r.) ambasador wezwał do siebie ówczesnego premiera Bolesława Bieruta i powiedział mu, co robić. W taki sposób sowieccy kolonizatorzy traktowali marionetkowe władze w podległych sobie państwach.

Być może prosto z al. Szucha (tam wówczas mieściła się warszawska placówka dyplomatyczna ZSRS) Bierut pojechał do siedziby rządu, dokąd przybyli również wicepremierzy oraz kilku innych wysokich urzędników. W tym momencie zaczęto realizować sowiecki rozkaz. Prezydium rządu nie musiało się długo głowić. Posiedzenie rozpoczęło się o 16.30, a zakończono je o 17.15 – w trzy kwadranse, podobno po dyskusji.

DOKLEJONY PROTOKÓŁ

Protokół z posiedzenia prezydium rządu PRL z 19 sierpnia 1953 r. ma numer – to ważne – 27a/53. Na oryginalnym dokumencie widać, że litera „a" jest dostawiona, a więc został on niejako wklejony między istniejące już zapisy zarejestrowane w ewidencji Urzędu Rady Ministrów. To świadczy o niesłychanym pośpiechu, w jakim toczyły się tamte wydarzenia.

Cóż mógł zawierać protokół wytworzony w PRL-owskim urzędzie po takich instrukcjach z Moskwy? „Po dyskusji" okazało się, że „rząd Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej przyłącza się całkowicie do stanowiska rządu ZSRS w sprawie zwolnienia NRD od zobowiązań reparacyjnych". To fragment uchwały, którą przyjęto jednomyślnie, bez sprzeciwu wyrażono też wdzięczność rządowi ZSRS za zwolnienie PRL z obowiązków wynikających z umowy węglowej z 1945 r.

eprasa.pl 89c74f1c09

I teraz najważniejsze. Całość sprawy, czyli rezygnacja PRL z reparacji od NRD w zamian za przejście na rynkowe ceny za węgiel wysyłany do ZSRS, miała się dokonać – podkreślmy to jeszcze raz – po podpisaniu protokołu (oczywiście w Moskwie). Czytamy o tym najpierw w punkcie drugim: „[...] rząd ZSRR proponuje podpisanie przez zainteresowane rządy odpowiednich protokołów", a potem w punkcie czwartym, gdzie ustalono „skład delegacji rządowej [PRL – przyp. red.] do podpisania protokołu w tej sprawie". Miał jej przewodniczyć wicepremier Tadeusz Gede, polityk urodzony w gruzińskim Tbilisi, który w latach 1949–1952 szefował resortowi handlu zagranicznego w rządach Cyrankiewicza i Bieruta.

Gdyby taki protokół między rządami PRL i ZSRS istniał, sprawa reparacji (nie patrząc na kwestię przymusu) mogłaby wyglądać zupełnie inaczej. – Ale nie ma śladu po takim dokumencie. Nikt nigdy go nie widział. A odbywały się bardzo szczegółowe kwerendy, w archiwach polskiego MSZ, Rady Ministrów, a także w sowieckich. Nie można powoływać się tylko na uchwałę rządu PRL, a machnąć ręką na protokół, którego nie ma – mówi stanowczo prof. Musiał.

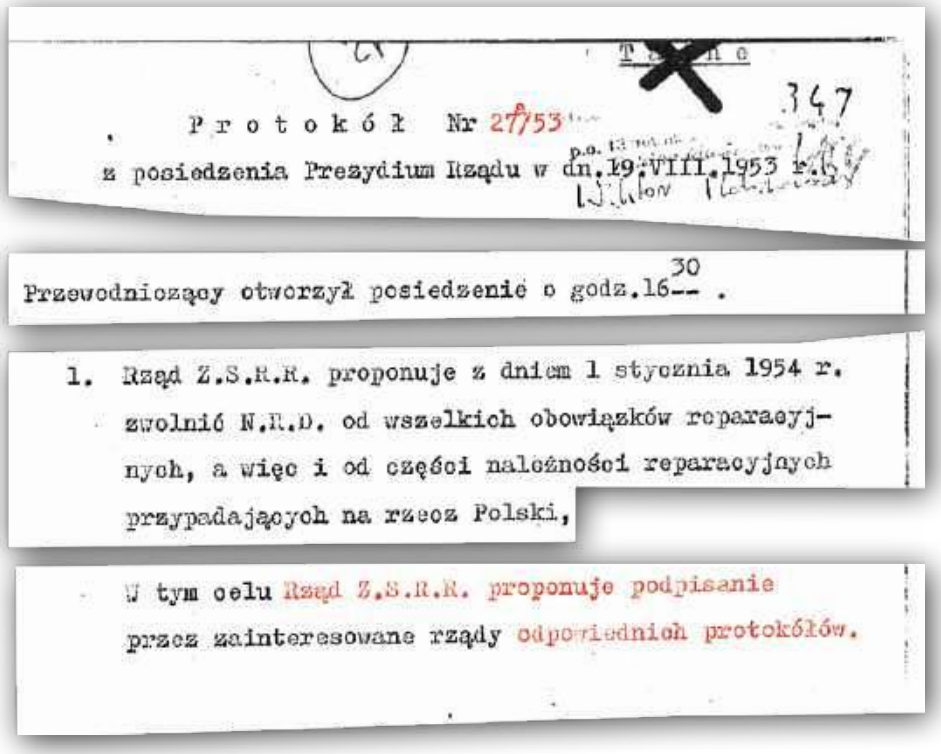

Protokół Nr 27/53

z posiedzenia Prezydium Rządu w dn. 19.VIII.1953 r.

Przewodniczący otworzył posiedzenie o godz. 16.30.

1. Rząd Z.S.R.R. proponuje z dniem 1 stycznia 1954 r. zwolnić N.R.D. od wszelkich obowiązków reparacyjnych, a więc i od części należności reparacyjnych przypadających na rzecz Polski,

W tym celu Rząd Z.S.R.R. proponuje podpisanie przez zainteresowane rządy odpowiednich protokółów.

WSZYSTKO ZA SZYBKO

Powstaje więc pytanie, dlaczego rząd PRL, tak skrupulatnie wykonujący przecież wszelkie polecenia Moskwy, nie dopełnił tej formalności. Być może winien jest pośpiech, o którym już wspominaliśmy. Tadeusz Gede otrzymał podpisane przez premiera Bieruta upoważnienie Rady Ministrów do przeprowadzenia rozmów w Moskwie i podpisania odpowiednich dokumentów dopiero 20 sierpnia 1953 r.

– Nawet w warunkach pełnej podległości PRL-owskich władz było to za mało czasu na stworzenie i przyjęcie skomplikowanych dokumentów, w których należało przecież zawrzeć m.in. kwestie związane z eksportem polskiego węgla – zwraca uwagę prof. Musiał.

Tym bardziej że już 22 sierpnia w sowieckiej stolicy ogłoszono porozumienie rządów ZSRS i NRD dotyczące reparacji oraz zobowiązań finansowo-gospodarczych. Jest w nim taki fragment: „Rząd Sowiecki, po uzgodnieniu z Rządem PRL (odnośnie do jej części reparacji) całkowicie przerywa z dniem 1 stycznia 1954 r. pobieranie od NRD reparacji zarówno w postaci dostaw towarowych, jak i w jakiejkolwiek innej postaci". Dokument, który zawiera także wiele zapisów dotyczących np. utrzymania w przyszłości sowieckich wojsk stacjonujących we wschodnich Niemczech, podpisali minister spraw zagranicznych ZSRS Wiaczesław Mołotow i premier NRD Otto Grotewohl.

Dzień później, 23 sierpnia 1953 r., w Warszawie zebrała się Rada Ministrów PRL. Przyjęto oświadczenie, w którym czytamy: „Rząd PRL wita z pełnym uznaniem decyzję Rządu ZSRR w sprawie niemieckiej. [...] powzięte decyzje w istotny sposób pomogą narodowi niemieckiemu nie tylko w umocnieniu jego gospodarki, lecz również w stworzeniu niezbędnych warunków dla odbudowy jego jedności [...], w czym naród polski jest żywotnie zainteresowany". To ten fragment był przez lata wskazywany jako dowód zrzeczenia się przez Polskę reparacji od Niemiec. Mało kto zauważał, że jest w nim jedno zdanie, które burzy piękny obraz tworzonej przez lata iluzji. Premier Bolesław Bierut, referując przemówienie sowieckiego premiera Gieorgija Malenkowa do delegatów z NRD, miał zaznaczyć, że również rząd PRL powinien ustosunkować się do sprawy odszkodowań niemieckich. To dziwna nieścisłość, bo przecież kilka dni wcześniej sprawę miał ostatecznie domknąć Tadeusz Gede.

Niezależnie od tego całość tego dokumentu kilka lat temu podważał Józef Menes, członek zespołu doradców prezydenta Warszawy prof. Lecha Kaczyńskiego, który jako pierwszy podjął temat należnych Polsce reparacji. „Warto także zwrócić przy tej okazji uwagę, że na protokole z posiedzenia Rady Ministrów z 23 sierpnia 1953 r. nie było żadnych podpisów" – powiedział Menes Polskiej Agencji Prasowej w 2017 r. Jak stwierdził, udało mu się dotrzeć do jedynej żyjącej podówczas osoby, której nazwisko [ale już nie podpis – przyp. red.] widnieje na protokole – Kazimierza Mijala, szefa Urzędu Rady Ministrów i sekretarza Bolesława Bieruta. „Dopytywany Mijal oznajmił, że nie brał udziału w takim posiedzeniu, że ono w ogóle nie miało miejsca" – powiedział Menes.

Musi to oznaczać jedno – upoważniony do podpisania protokołu z Sowietami wicepremier Gede swojej misji nie wykonał, a przedstawiciele ZSRS wprowadzili Niemców w błąd, twierdząc, że

eprasa.pl 89c74f1c09

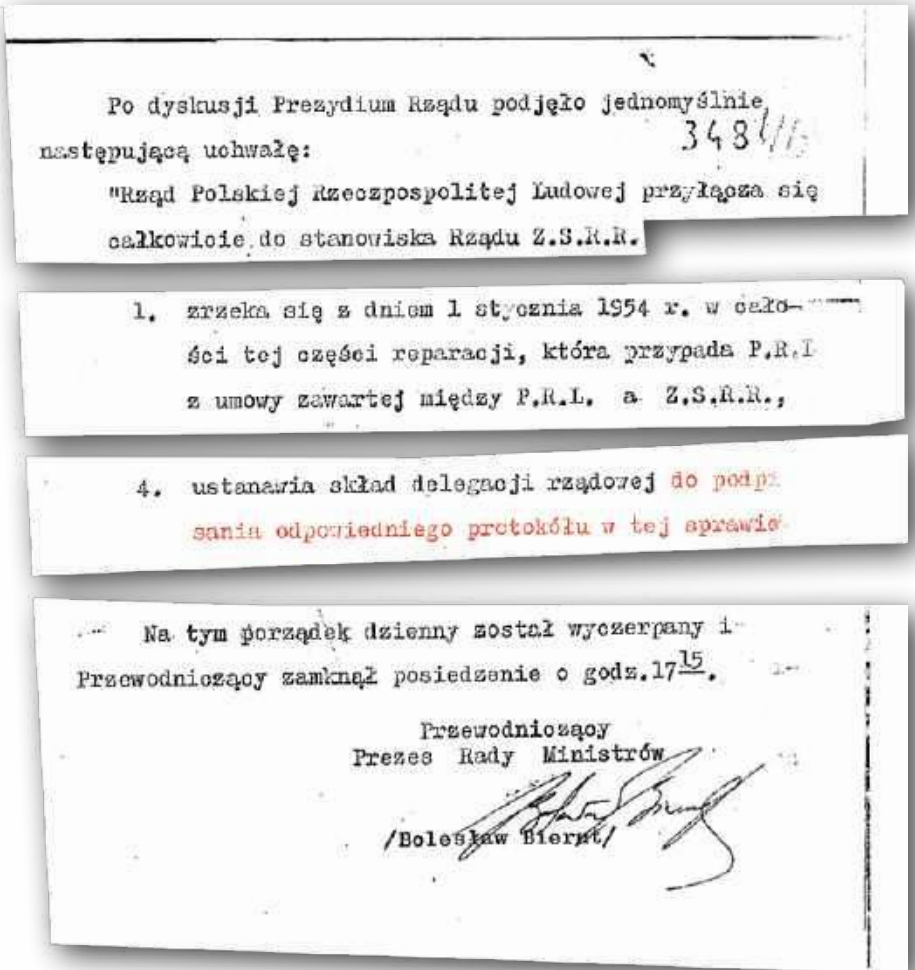

Po dyskusji Prezydium Rządu podjęło jednomyślnie następującą uchwałę: 348/II

"Rząd Polskiej Rzeczpospolitej Ludowej przyłącza się całkowicie do stanowiska Rządu Z.S.R.R.

1. zrzeka się z dniem 1 stycznia 1954 r. w całości tej części reparacji, która przypada P.R.L z umowy zawartej między P.R.L. a Z.S.R.R.,

4. ustanawia skład delegacji rządowej do podpisania odpowiedniego protokółu w tej sprawie

Na tym porządek dzienny został wyczerpany i Przewodniczący zamknął posiedzenie o godz. 17 15.

Przewodniczący
Prezes Rady Ministrów

/Bolesław Bierut/

zrzekają się reparacji po uzgodnieniach z rządem PRL. Dalsze wydarzenia to już tylko propagandowy show, którego nikt nie ośmielił się podważyć. Co więcej, brnięto w nie z uśmiechem na ustach. 25 sierpnia 1953 r. premier Grotewohl w szyfrogramie z Berlina do Warszawy „wyraził podziękowanie dla rządu PRL i narodu polskiego, składając jednocześnie obietnicę, że naród niemiecki wzmocni swoją walkę o pokój i przyjaźń z narodem polskim". Nikt już nie zamierzał zaprzątać sobie głowy jakimś protokołem. – Panowie, a kto miał się tu przyczepić? Przecież Związek Sowiecki miał być wieczny! I jak widzicie, przez ładnych kilkadziesiąt lat udało się tę fikcję utrzymać – dodaje z uśmiechem prof. Musiał.

JEDNOMYŚLNA PRASA

Wystarczy krótka wizyta w bibliotece, by się przekonać, że jakakolwiek samodzielna decyzja rządu PRL w sprawie reparacji nie była możliwa. W miejskiej czytelni prasy zamawiamy roczniki kilku tytułów z 1953 r. Chcemy nie tylko poczuć zatęchły klimat komuny już po śmierci Stalina, ale też sprawdzić, jak gazety przedstawiały operację reparacyjną zaplanowaną na Kremlu.

Weekendowe wydanie „Żołnierza Wolności" z 15–16 sierpnia 1953 r. przynosi m.in. okolicznościowy artykuł o rocznicy powstania północnokoreańskiego reżimu komunistycznego: „Osiem lat temu na ziemi koreańskiej zapłonęła czerwona gwiazdka na hełmie radzieckiego żołnierza. Czerwona gwiazdka wolności". W kolejnym, poniedziałkowym numerze już na pierwszej stronie znajdziemy entuzjastyczną notkę o montowaniu 29. piętra Pałacu Kultury i Nauki w Warszawie, a także informacje o wizycie Bolesława Bieruta u koreańskich dzieci i treść depeszy Kim Ir Sena do premiera ZSRS Gieorgija Malenkowa.

W tych samych dniach kieleckie „Słowo Ludu" zamieszcza listy od dzieci przebywających na koloniach adresowane do Komitetu Wojewódzkiego partii: „Uczymy się pieśni masowych i ludowych. Dyskutujemy nad rozejmem w Korei i Festiwalem w Bukareszcie", i ogłasza, że Polskie Radio rozpoczyna cykl pogadanek poświęconych 50-leciu KPZS.

W tych dniach najwięcej miejsca poświęca się jednak rozmowom między rządem ZSRS a NRD. „Trybuna Ludu" w połowie sierpnia 1953 r. ekscytuje się inicjatywą ZSRS, która ma na celu „rozwiązanie całokształtu problemu niemieckiego" i w tym celu zaprasza delegację rządową NRD do Moskwy. W całości dostajemy m.in. obszerne przemówienie prezydenta NRD Wilhelma Piecka, który dziękuje Sowietom za próbę wywalczenia sprawiedliwego traktatu pokojowego osiem lat po wojnie. PRL-owskie gazety odnotowują każdy szczegół – drobiazgowo przedstawiają skład delegacji, w oddzielnym tekście relacjonują przybycie Niemców na moskiewskie lotnisko, w kolejnym – złożenie kwiatów przed mauzoleum Lenina i Stalina itd. Tak wyglądają łamy każdego z tytułów – centralnych („Trybuna Ludu"), lokalnych („Słowo Ludu"), wojskowych („Żołnierz Wolności"), ludowych („Zielony Sztandar"). Inna winieta, nieco inna czcionka, ale treść i hierarchia najważniejszych wiadomości – wszędzie te same.

Wreszcie dochodzimy do 24 sierpnia 1953 r. „Żołnierz Wolności" na pierwszej stronie zamieszcza wspomniany wyżej protokół dotyczący rezygnacji z reparacji podpisany przez premiera Grotewohla i ministra Mołotowa. Na jego podstawie Moskwa faktycznie zrzekła się reparacji od Niemiec. I właśnie analogiczny do tego dokument miał podpisać z sowieckimi towarzyszami wicepremier Tadeusz Gede. Gdyby tak się stało, prasa musiałaby to odnotować, a tak się nie dzieje. Dlatego we wspomnianym numerze „ŻW" mamy tylko „oświadczenie Rządu PRL", który „wita z pełnym uznaniem decyzję Rządu ZSRR" i również ogłasza zrzeczenie się spłaty odszkodowań od 1 stycznia 1954 r. To kilka akapitów o walorze wyłącznie propagandowym. Taką samą – czyli żadną – wagę prawną miały

eprasa.pl 89c74f1c09

– Sowieci wymuszali na Niemcach daninę i wedle uznania rozliczali ją z Polską. Myśmy *de facto* ponieśli koszty tej operacji kilkukrotnie wyższe niż wartość przekazanych nam towarów zza Odry – zauważa prof. Musiał

Fot. Andrzej Skwarczyński

bowiem entuzjastyczne publicystyczne komentarze do tej decyzji.

PO CO TA ODWILŻ?

Ciekawe jest tło historyczne decyzji Biura Politycznego KPZS o rezygnacji z niemieckich reparacji. Naiwnością byłoby myśleć, że towarzysze sowieccy nagle postanowili ulżyć towarzyszom niemieckim i przestają ich łupić. Tym bardziej że na Kremlu panują wówczas najczarniejsze kreatury. Wspomniany Wiaczesław Mołotow (na ujawnionym przez nas dokumencie jest jego odręczny dopisek – inicjały W.M.) to człowiek odpowiedzialny za czystki w partii i Armii Czerwonej w latach 1937–1938, a później sygnatariusz tragicznego w skutkach dla Polski paktu z ministrem spraw zagranicznych III Rzeszy Joachimem von Ribbentropem. Mołotow podpisał także uchwałę z 5 marca 1940 r., na mocy której dokonano zbrodni katyńskiej. Przewodniczącym Rady Ministrów ZSRS był Gieorgij Malenkow, który w przeszłości aktywnie uczestniczył w przygotowaniu i przeprowadzeniu wielkiej czystki. Osobiście przesłuchiwał aresztowanych działaczy partyjnych. O przypadku nie ma więc mowy. Prasa, także polska, skupiała się na problemach zgniłego Zachodu i skrupulatnie odnotowywała np. strajki we Francji. O prawdziwej sytuacji w NRD się nie pisało.

Dlaczego więc 15 sierpnia 1953 r. ZSRS zaproponowało państwom zachodnim wspólne zrzeczenie się reparacji? Oznaczało to przecież wymierną stratę. Sytuacja nabrzmiała jednak na tyle, że Kreml zrozumiał konieczność pomocy władzy ludowej NRD w zasadzie za wszelką cenę. 17 czerwca 1953 r. doszło do tego, że na ulice Berlina musiały wyjechać sowieckie czołgi, zginęło kilkaset osób. Coraz większa była fala ucieczek do RFN, a gigantyczne niezadowolenie mieszkańców wschodnich Niemiec brało się także z dokuczliwej biedy. Wszyscy zdawali sobie sprawę, że miał na nią wpływ także konsekwentnie odprowadzany pod płaszczykiem reparacji haracz dla Moskwy. Wtedy zapadła decyzja o rezygnacji z reparacji, tylko z jednego powodu – w obronie władzy ludowej w NRD.

Niech jednak obecnej dyskusji o reparacjach nie zdominuje wątek biednych Niemców, wykrwawiających się po wojnie na rzecz narodów, które wcześniej najechali. Czy jest uprawnione stwierdzenie, także obecne w narracji publicznej, że Niemcy Polsce za straty wojenne już zapłaciły? Nie do końca. To prawda, że w państwowych dokumentach są imponujące, wielostronicowe, rokroczne zestawienia towarów i maszyn, które przybyły do Polski od zachodniego sąsiada. Prawdą jest także, że działo się to dzięki stanowczej postawie Związku Sowieckiego. Ale zupełnie inną kwestią jest sposób, w jaki Sowieci dzielili się opłatami pobieranymi od Niemiec. Czas więc na szczegóły.

POMOC NASZYM KOSZTEM

Protokół, który nigdy nie powstał, miał znieść inny dokument z przeszłości. 16 sierpnia 1945 r. została zawarta „umowa pomiędzy Tymczasowym Rządem Jedności Narodowej Rzeczypospolitej Polskiej i rządem Związku Socjalistycznych Republik Radzieckich". Serce rośnie, jak uczciwie i sprawiedliwie jest opisywana w niej powojenna rzeczywistość. „[...] inwazja wojsk niemieckich na terytorium Polski i Związku Radzieckiego oraz czasowa okupacja Polski i znacznej części terytorium Związku Radzieckiego przez wojska niemieckie wyrządziła Rzeczypospolitej Polskiej i Związkowi Radzieckiemu ogromne szkody, rujnując wiele miast, przedsiębiorstw przemysłowych, kolei żelaznych i całych gałęzi gospodarstwa narodowego [...]" – czytamy w dokumentach. Dlatego „kierując się dążeniem do udzielenia sobie wzajemnej wszelkiej pomocy", Polska i Związek Sowiecki postanowiły (wspólnie?), że Niemcy zapłacą za wojenną pożogę.

Artykuł 2 wspomnianej umowy odnosi się do „trybu zaspokojenia pretensji reparacyjnych Polski". Czytamy w nim, że Związek Sowiecki zgadza się odstąpić Polsce część z przyznanych reparacji. „Wzajemna wszelka pomoc" jest określona na 15 proc. całości reparacji pobranych od Niemiec. Już na pierwszy rzut oka to niewiele, ale prawdziwą nierównowagę

eprasa.pl 89c74f1c09

w relacjach z ZSRS widzimy w kolejnych podpunktach. Ustalono, że Polska dostanie 15 proc. przekazanych Moskwie przez Niemcy „nadających się do użytku i kompletnych kapitalnych urządzeń przemysłowych", ale nie bezwarunkowo, tylko w „trybie wymiany za inne towary z Polski". Czyli Niemcy przekazują maszyny ZSRS i Polsce, płaci im za to Polska.

– Sowieci wymuszali na Niemcach daninę i wedle uznania rozliczali ją z Polską. Dla nas byłoby lepiej, gdybyśmy nic nie dostawali z NRD, ale mogli sprzedawać Związkowi Sowieckiemu i innym krajom węgiel po rynkowych cenach. Myśmy de facto ponieśli koszty tej operacji kilkukrotnie wyższe niż wartość przekazanych nam towarów zza Odry – zauważa prof. Musiał.

To bolesna prawda, bo w ramach tej samej umowy Polska zobowiązała się dostarczać Związkowi Sowieckiemu węgiel po specjalnej cenie umownej, którą osobnym protokołem uzgodniono na 1,22 dol. za tonę. W pierwszym roku (1946) miało to być 8 mln ton, przez cztery kolejne lata – po 13 mln ton, w następnych latach – po 12 mln ton węgla gatunku Orzech I lub Orzech II. Rozporządzenie polskiego ministra przemysłu z 23 maja 1946 r. o uregulowaniu cen węgla wyceniało wówczas oficjalnie ten surowiec na 475 zł za tonę, choć na rynku płaciło się nawet dwukrotnie więcej. Wróćmy do ceny umownej. Za 1 dol. płacono wówczas ok. 100 zł, rachunek jest więc prosty, Związek Sowiecki (w ramach „wzajemnej wszelkiej pomocy") płacił nam 122 zł za tonę węgla, ok. 1/10 realnej ceny.

Po 1 stycznia 1954 r. sytuacja nieznacznie się poprawiła, ale rząd PRL wciąż nie mógł rozliczać się z ZSRS za węgiel według rynkowych zasad. Musząc wysyłać nasze „czarne złoto" również do innych krajów demoludu, wciąż byliśmy łupieni, choć ZSRS obiecywał, że nasi kontrahenci będą nam dobrze płacić, jeśli nie gotówką, to najpotrzebniejszymi towarami.

Niech puentą tego wątku będzie więc jeszcze jedna historia, którą opowiada nam prof. Musiał. Istnieje notatka z rozmowy, w której Gomułka skarży się Chruszczowowi, że w zamian za dostarczany węgiel wschodnie Niemcy zaproponowały nam... 30 tys. kanarków. Być może dlatego, że te ptaki bardzo wrażliwe na styczność z gazami toksycznymi mogłyby być wykorzystywane przez górników. Po ich zachowaniu można się zorientować, czy stężenie metanu nie jest zbyt wysokie. Mimo wszystko ptaki jako waluta to mógł być wymysł tylko najtęższych komunistycznych umysłów.

CO DALEJ?

10 września 2004 r. Sejm RP (premierem w rządzie SLD-UP był wówczas Marek Belka) przyjął uchwałę w sprawie praw Polski do niemieckich reparacji wojennych oraz w sprawie bezprawnych roszczeń wobec Polski i obywateli polskich wysuwanych w Niemczech. To jednoznaczny w treści dokument, który powołuje się na historyczną i elementarną sprawiedliwość w stosunkach polsko-niemieckich, a w jego pierwszym punkcie czytamy: „Polska nie otrzymała dotychczas stosownej kompensaty finansowej i reparacji wojennych za olbrzymie zniszczenia oraz straty materialne i niematerialne spowodowane przez niemiecką agresję, okupację, ludobójstwo i utratę niepodległości przez Polskę; Sejm Rzeczypospolitej Polskiej wzywa Rząd Rzeczypospolitej Polskiej do podjęcia stosownych działań w tej materii wobec Rządu Republiki Federalnej Niemiec", a także do „jak najszybszego przedstawienia opinii publicznej szacunku strat materialnych i niematerialnych poniesionych przez Państwo Polskie i jego obywateli w wyniku II wojny światowej".

Kto podpisał się pod tymi słowami? 328 posłów (wstrzymał się jeden, reszta nie głosowała). Uchwałę poparło m.in. 45 parlamentarzystów Platformy Obywatelskiej (na czele z Donaldem Tuskiem), 104 posłów SLD i 29 członków PSL. To nieco zapomniane stanowisko polskiego parlamentu. A szkoda, bo jest szalenie istotne i nawet bardziej aktualne niż przed 18 laty, gdy nie mieliśmy tak szczegółowej jak dziś wiedzy o tym, jak nie doszło do zrzeczenia się reparacji przez Polskę.

Lada dzień poznamy treść pierwszej części raportu o stratach wojennych przygotowanego przez zespół historyków kierowany przez posła Arkadiusza Mularczyka. To historyczne wydarzenie – pierwszy prawdziwy krok państwa polskiego w kierunku ubiegania się o odszkodowania wojenne od Niemiec. Wydarzeń z lat 1945–1953 nie liczymy, bo ciężko o ówczesnej bandyckiej sowieckiej układance mówić jako o reparacjach, skoro w rzeczywistości Polska do nich dopłacała.

> Świadomość tego, że reparacje nam się należą i mamy prawo o nie wystąpić, jest powszechna również wśród polityków niemieckich. Choć żaden z nich tego głośno nie powie

Świadomość tego, że reparacje nam się należą i mamy prawo o nie wystąpić, jest powszechna również wśród polityków niemieckich. Choć żaden z nich tego głośno nie powie. Podobnie jak ambasadorowie RFN nie przyznają się, że w niemal każdej rozmowie, którą prowadzą z przedstawicielami polskiego świata polityki, mediów, think tanków, przewija się ten temat. To dyplomaci niemieccy sami o to zagadują, badając, na ile realne jest skierowanie przez nasz rząd oficjalnego żądania wypłaty reparacji. Teraz już będą mieli pewność, że ze sfery dywagacji przechodzimy do sfery konkretów.

Jest niestety bardzo prawdopodobne, że polski rząd będzie musiał prowadzić tę batalię na kilku frontach. Poza naturalnymi adwersarzami znad Renu, próbującymi uniknąć wypłaty bilionów (a na pewno setek miliardów) odszkodowania, trzeba się też liczyć z sojusznikami niemieckimi na polskiej scenie politycznej. Partiami tak uwikłanymi w podległość (a niekiedy nawet finansową zależność) wobec zagranicznego ośrodka, że są one skłonne wyprzeć się własnych, nie tak dawnych decyzji.

współpraca B.M.

eprasa.pl 89c74f1c09

Sankcje i odwet

Globalna wartość sankcji stosowanych przez Komisję Europejską wobec Polski (czyli 35 mld euro – tyle jest wart polski KPO) może być wyższa od wartości sankcji antyrosyjskich

JAN ROKITA

W czerwcu został wypuszczony w stronę Warszawy gołąbek pokoju. W lipcu – w brukselskiej grze o władzę i wpływy sprawy znów przechyliły się na korzyść „partii wojny". W sierpniu jak zwykle zamknięto wszystkie biura, a eurokraci zgodnie udali się na wakacje. Bóg tylko raczy wiedzieć, co stanie się we wrześniu.

Możliwe jest, iż z dotychczasowych mglistych meandrów zacznie się w końcu wyłaniać jakiś realny kształt unijnej polityki wobec Polski. Nie jest to jednak wcale pewne, gdyż oba brukselskie obozy – ten „niemiecko-chadecki", bardziej skłonny do kompromisu z Warszawą, i ten „holendersko-lewicowy", napierający, by z pancernika „Bruksela" dniem i nocą ostrzeliwać PiS jak najcięższą amunicją – nie doszły dotąd do porozumienia. A trzeba przypomnieć, że podjętą w końcu maja decyzję o zatwierdzeniu polskiego Krajowego Planu Odbudowy (KPO) von der Leyen wymusiła na Komisji Europejskiej przez większościowe głosowanie (to rzadkość w komisyjnej procedurze), przy oporze swojego zastępcy Timmermansa i czterech dalszych komisarzy z partii lewicowych i liberalnych. I potem jeszcze musiała się uporać z agresywnymi europosłami z „partii wojny", grożącymi jej wszczęciem procedury o votum nieufności.

eprasa.pl 89c74f1c09

ZAPOROWE ŻĄDANIE

W każdym razie efektem lipcowego wychylenia się brukselskiego wahadła w stronę „partii wojny" jest stan, w którym Polska pozostaje drugim obok Rosji państwem *de facto* obłożonym unijnymi sankcjami. Co więcej (pisałem o tym paradoksie obszerniej w innym miejscu), wiele zdaje się dotąd wskazywać, iż globalna wartość sankcji stosowanych wobec Polski (czyli 35 mld euro – tyle jest wart polski KPO) może być wyższa od wartości sankcji antyrosyjskich.

Sankcje zawsze są opatrzone jakimiś warunkami, od których miałoby zależeć ich uchylenie. Rzecz jednak w tym, iż w politycznej rzeczywistości sankcje nakłada się tylko wówczas, gdy z góry wiadomo, iż owe warunki są dla aktualnej władzy jakiegoś kraju faktycznie niespełnialne. Na przykład – każdy rozumie, że sankcjonowany przez Unię reżim Putina nie odda Krymu ani nie usunie swoich armii z Ukrainy. Sankcje mają dotknąć, upokorzyć, wyizolować, a w finale – doprowadzić do zmiany nie tylko polityki, ale i samej władzy. I choć musi wyglądać to na jakiś potężny paradoks, to trzeba spojrzeć prawdzie w oczy: tak właśnie coraz bardziej dzieje się obecnie w przypadku Polski.

Sformułowany w lipcu przez von der Leyen warunek, by w Polsce dopuścić swobodę kwestionowania statusu tych sędziów, których mianował prezydent Duda, jest tak jawną niedorzecznością, że jest jasne, iż idzie tu o niespełnialne w rzeczywistości żądanie zaporowe. Jeśliby traktować je serio, to znaczyłoby, że celem unijnych sankcji jest destrukcja polskiego wymiaru sprawiedliwości. Lepiej by już wtedy było wyrzucić naraz wszystkich sędziów mianowanych przez Dudę, co postuluje polska opozycja, aniżeli rozkładać taki destrukcyjny proces na lata, sprawa po sprawie, wyrok po wyroku. Tego rodzaju nonsensowne żądanie von der Leyen formułuje ze strachu, gdyż – jak nie bez racji mówi europoseł Legutko: „Każdy, kto wykona jakiś gest wobec polskiego rządu, spotka się ze strasznym atakiem".

W europejskich kancelariach rządowych, a także w głównych mediach sporym echem odbiły się polskie zapowiedzi usztywnienia w relacjach z Brukselą. Dotyczy to zwłaszcza głośnego wywiadu, który Kaczyński udzielił tygodnikowi „Sieci". Można było przy tym zauważyć wyraźną różnicę, gdy idzie o ton komentarzy prasy niemieckiej i angielskiej. W Niemczech przeważał ton zatroskania o dalsze losy polsko-brukselskiego konfliktu i niebezpieczeństwo paraliżu instytucji unijnych, jeśliby Warszawa zaczęła odwetowo używać weta z byle jakiego powodu. W Anglii, zwłaszcza w tamtejszych tabloidach, retoryka Kaczyńskiego została podchwycona z satysfakcją. Skądinąd zresztą w tym samym czasie do podobnego języka politycznego uciekła się Liz Truss, która być może za parę tygodni będzie nowym brytyjskim premierem. Co prawda, nie w związku z Polską, ale przy okazji sporu o granice celną, oświadczyła ona: „Bruksela nie rozumie żadnego innego języka jak tylko język siły".

> Polska nie ma zbyt wielu instrumentów „siłowych" wobec Brukseli. W niemieckich mediach największe obawy budzi nadużywanie prawa weta, ale wartość tego straszaka bywa znacząco przeszacowywana

Trudno jednak nie odnieść wrażenia, iż mamy do czynienia tylko z werbalnym ostrzałem Brukseli przez PiS, a nie z jakąś istotnie różniącą się od dotychczasowej nową polityką. W przypadku takiego ostrzału istotne są niuanse językowe, pomijane z reguły przez media i opinię publiczną, jednak z uwagą odnotowywane przez rządowe i unijne kancelarie. Kaczyński co prawda ostrymi słowami gani Brukselę (a przy okazji, jak to ma w zwyczaju, również Berlin), ale zapowiadaną przez siebie konieczność ułożenia relacji z Unią na nowo z premedytacją opatruje trybem koniunktiwu: trzeba by tak uczynić po następnych wyborach. Co przecież oznacza trzy przyszłe i niepewne okoliczności: *primo* – że Morawieckiemu nie uda się osiągnąć odblokowania sankcji, *secundo* – że PiS wygra przyszłoroczne wybory, *tertio* – że po tych wyborach komisja nadal będzie chciała utrzymać sankcje przeciw Polsce. W zamiłowaniu do

Autopromocja

Fot. Zbyszek Kaczmarek / REPORTER / EastNews

eprasa.pl 89c74f1c09

koniunktiwu swojego szefa wiernie naśladuje sekretarz generalny PiS Sobolewski, zapowiadając politykę „ząb za ząb" wobec Brukseli, ale tylko, gdyby trzeba się było odegrać nie za blokadę pieniędzy z covidowego programu Next Generation EU, ale również „zwyczajnych" funduszów spójności czy rolnych. Tymczasem na razie nie widać symptomów takich planów ze strony komisji, która sławetną procedurę warunkowości wdrożyła wobec Budapesztu, ale nie planuje tego wobec Warszawy. Widać więc jak na dłoni, że za słownym ostrzałem artyleryjskim z Nowogrodzkiej na razie nie podążają na Brukselę żadne prawdziwe armie.

CZYM TU STARSZYĆ?

Nic w tym zresztą dziwnego, bo inaczej niż Wielka Brytania Polska nie ma zbyt wielu instrumentów „siłowych" wobec Brukseli. W niemieckich mediach największe obawy budzi nadużywanie prawa weta, ale wartość tego straszaka bywa znacząco przeszacowywana, zwłaszcza przez publicystów. Mało kto już dzisiaj pamięta (bo nie pasuje to do wyznawanych powszechnie stereotypów), że gdy idzie o politykę klimatyczną, czyli rzecz szczególnie kontrowersyjną z polskiej perspektywy, a zarazem sztandarową dla kolejnych ekip rządzących w Brukseli, to dwukrotnym wetem próbował ją zablokować swego czasu premier Tusk.

W 2011 r. weto wobec planu dekarbonizacji Europy do 2050 r. zakładał w imieniu Tuska minister Kraszewski, rok później to samo czynił minister Korolec. Z jakim skutkiem? Ano z żadnym. Polski sprzeciw wywołał wówczas falę złości w Brukseli, nieco opóźnił decyzje, ale ich nie zmienił. Chwilę potem i tak były przeforsowywane, nawet z reguły w zaostrzonej postaci. W takich przypadkach, gdy weto stosuje tylko jeden kraj, na dodatek z geograficznych peryferii unijnych, Bruksela ma wypracowane sposoby przechodzenia nad tym do porządku dziennego. Nawiasem mówiąc, w polskich debatach o większościowym i jednomyślnym trybie decyzyjnym w Unii realna polityczna wartość prawa weta jest z reguły mocno przeceniana.

Co jeszcze Polska mogłaby zrobić w ramach antybrukselskich kroków odwetowych? Spowolnić dekarbonizację? Toż przecież zielony niemiecki wicekanclerz Habeck robi to właśnie, a za nim pójdą wkrótce następne kraje unijne. Przyspieszyć budowę elektrowni atomowej? Proszę bardzo, Berlin nie będzie szczęśliwy, ale komisja da nawet na to pieniądze. Złośliwie zablokować techniczny budżet unijny na 2023 r.? To i tak będzie uchwalony w procedurze tymczasowej, a przy okazji Warszawa wzbudzi szczerą nienawiść nawet swoich potencjalnych sojuszników.

Żeby na serio dokuczyć Europie, trzeba by chyba przejść otwarcie na pozycje Orbána w wojnie wschodniej. Owszem, można by ostentacyjnie postawić na swoim w kwestii sądów. Ale na to już jest dzisiaj za późno po wszystkich kompromisowych krokach, które PiS dotąd wykonał. Skala wewnętrznej politycznej awantury, która by z tego powodu wybuchła, pozbawiłaby definitywnie PiS szans na władzę po następnych wyborach. Tusk czeka na taką akcję, która dałaby mu jakieś mocne propagandowe paliwo na następny rok, bo dotychczasowe już mu się wyczerpało.

Co więcej, przywódcy PiS są przecież świadomi, że wraz ze swoim dominującym niemieckim partnerem ekonomicznym polska gospodarka ostro podąża w stronę kryzysu. Nigdy za dużo przypominać, że nie ma dziś w Europie mocniej z sobą zrośniętego jednolitego obszaru ekonomicznego niźli gospodarki polska, czeska, niemiecka i węgierska. Za głupie uzależnienie Niemiec od rosyjskiej energii zapłacą wszystkie te gospodarki, a PiS już ponosi i nadal będzie ponosić dotkliwe skutki polityczne tego faktu, gdyż zima 2022/2023 akurat tylko w Polsce, spośród tej czwórki, otwiera rok przedwyborczy.

> Sformułowany w lipcu przez von der Leyen warunek, aby w Polsce dopuścić swobodę kwestionowania sędziowskiego statusu tych sędziów, których mianował prezydent Duda, jest jawną niedorzecznością

KPO I WYBORY

Byłoby sporym błędem liczyć na to, że miliony polskich wyborców machną ręką na kryzys, a uniosą się honorem z powodu brukselskich niegodziwości i tym bardziej ochoczo postawią na PiS konfrontujący się z Unią. Przegrana PiS w rozgrywce z Brukselą o pieniądze wzbudzi być może patriotyczny entuzjazm najmocniej związanych z władzą propagandzistów i publicystów, czerpiących uczuciową satysfakcję z kolejnych polskich „klęsk w słusznej sprawie". Ale przed wyborami stanie się kluczowym argumentem w ręku Tuska.

Morawiecki stara się w takich okolicznościach robić dobrą minę do złej gry, udając, iż nic nie wie o tym, jakoby sankcje dotyczące polskiego KPO były motywowane intencją doprowadzenia jego samego i jego partii do przyszłorocznej klęski wyborczej. I zapewne nie porzuci zabiegów o „umiarkowanie optymistyczny" scenariusz, o którym wielokrotnie mówił publicznie, iż trzeba spokoju i dyplomacji, a pieniądze zostaną odblokowane pod koniec tego albo na początku następnego roku.

Na razie na pokrycie KPO pieniądze wyłoży prawa ręka premiera – Paweł Borys z Polskiego Funduszu Rozwoju, który zawsze, gdyby zabrakło, może wyemitować nowe obligacje. To jest jednak działanie krótkoterminowe, na dłuższą metę obarczone sporym ryzykiem. Jednak jeśli ekipa Morawieckiego mimo nieuchronnego kryzysu ma zachować szanse na utrzymanie się przy władzy, to musi przynajmniej udawać, że biznes idzie na razie „as usual". Kaczyński dobrze o tym wie, więc dlatego straszy Brukselę odwetem, tyle że nie wiadomo jakim, a na dodatek mocno odłożonym w czasie. Jednak realna polityka rządzi się zasadą „tu i teraz", a odwet odłożony w czasie nie ma mocy sprawczej.

eprasa.pl 89c74f1c09

Fot. Leonid Shcheglov/BELTA/AFP/East News

Co by było, gdyby udała się operacja Śluza

Wyobraźmy sobie i opiszmy alternatywną rzeczywistość, w której nie chronimy polskiej granicy, tylko postępujemy tak, jak tego domagają się politycy opozycji, i pozwalamy, by setki tysięcy „uchodźców" z dalekich krajów, wtargnęło do naszego kraju

DARIUSZ MATUSZAK

Nie wszystko musimy sobie wyobrażać, bo mamy tysiące obrazów pokazujących, jak nieprzebrane potoki mężczyzn z Bliskiego Wschodu, Afryki Północnej i Subsaharyjskiej zmieniają życie mieszkańców krain, które zalewają. Wiemy, w jaki koszmar zmieniło się ono w Calais, na przedmieściach Paryża, w brukselskiej dzielnicy Molenbeek, w Rosenberg w Malmö, gdzie niemal już nie ma szwedzkiego państwa, czy na Lesbos.

W przypadku Polski byłoby znacznie gorzej, bo za naszą granicą toczy się wojna. Do tego nawiązywał prezydent Duda kiedy 15 sierpnia, w Święto Wojska Polskiego, mówił o durniach i zdrajcach atakujących tych, którzy strzegą granic, lżących ich, pomagających przemytnikom i handlarzom ludzi. Z jakiegoś powodu poczuł się wywołany do tablicy Jerzy Owsiak. Mnie w przemówieniu prezydenta zabrakło jeszcze jednego określenia, ale o tym na końcu. No więc, jak by to było, gdyby polskie władze zachowały się tak, jak niedościgniony wzór naszych rodzimych postępowych Europejczyków, czyli rząd Angeli Merkel?

POWITALNE SELFIE Z KURDEJ-SZATAN

Mamy lato 2021 r., do najazdu na Ukrainę zostało siedem miesięcy. Na wschodzie Polski grupki śniadych mężczyzn duktami, polnymi drogami, przez Bug przekraczają granicę dzielącą nas z Białorusią. Czasami jakaś kobieta z dzieckiem. Z początku przybyszy jest niewielu, ale na tyle dużo, by zwrócić uwagę mediów, więc nad granicę, ale od drugiej, polskiej strony ściągają z Niemiec i Holandii organizacje

eprasa.pl 89c74f1c09

przestępcze, zwane pozarządowymi (NGO-sy), które zajmują się przemytem ludzi. Do tego gangi handlarzy ludźmi i administratorów domów publicznych Hamburga, Rotterdamu. Postępowi i europejscy Polacy organizują komitety powitalne. Jerzy Owsiak jest w swoim żywiole i telewizory pokazują, jak się miota i robi to, czego nie robi teraz, gdy do Polski napływają uchodźcy z Ukrainy. Migranci cykają sobie selfie z Kurdej-Szatan i ślą je swoim kuzynom z Trypolisu czy Damaszku, pisząc, by przyjeżdżali, bo nowy szlak jest lepszy niż bałkański czy przez Morze Śródziemne.

Uchodźców przybywa, a ich liczba zależy tylko od zdolności organizacyjnych białoruskich i ruskich służb. Chętnych na wyprawę do Niemiec przez Polskę jest tylu, że loty z Damaszku, Bagdadu obsługują nawet rosyjskie linie albo Rosja wypożycza Białorusinom swoje maszyny. Do Polski w ciągu miesiąca, dwóch wdziera się 500 tys. ludzi, a może więcej. Szacunki możemy odnieść do prawdziwych danych, z lata 2015 r., kiedy to przy bierności rządów Europy Zachodniej na teren Unii Europejskiej przedostało się co najmniej 1,5 mln migrantów. Fala czasami zmienia się w pojedyncze strumienie, ale napływ nielegalnych imigrantów nie ustaje nawet wtedy, gdy władze starają się go powstrzymać. Brytyjski resort obrony podał, iż 22 sierpnia tego roku na Wyspy przez kanał La Manche na pontonach przypłynęło 1295 nielegalnych imigrantów. Wyobraźmy sobie, ilu mogłoby co dzień przepływać przez Bug.

No więc do Polski płyną „uchodźcy", a nasłane przez Unię komisje i zajmujące się przemytem ludzi NGO-sy pilnują egzekwowania kretyńskiego, niedorzecznego orzeczenia TSUE, iż push back – wypychanie, odpychanie – jest nielegalne. A niby jak można w ogóle nie wpuścić kogoś gdzieś, jak nie odpychając, wypychając? Można ewentualnie imigrantów rozstrzelać, tak jak to w czerwcu w afrykańskiej enklawie Melilli zrobili Hiszpanie.

Migranci są umieszczani w prowizorycznych obozach, szkołach, akademikach, z których jak w Hiszpanii usuwa się studentów, w hotelach, zajazdach. Ale tylko na chwilę, bo już formują się w kolumny marszowe, takie jak w Europie w 2015 r., czy te, które szły przez Amerykę Środkową do Stanów Zjednoczonych. Są tak wielkie, że widać je z kosmosu. Setki tysięcy ludzi, bo białoruskie i ruskie samoloty transportują nowych przybyszów. NGO-sy podstawiają autobusy. Nikt nie sprawdza, kim są ci ludzie, skąd pieniądze, czy kierowcy mają prawo jazdy. A jak się okaże, że nie, to co z tego. Tak jak w przypadku kapitanów kryp transportujących nielegalnych imigrantów z Libii do Włoch. Mogli nie mieć uprawnień, a jak którego zatrzymano, to sędziowie wypuszczali.

Niektórzy próbują dotrzeć do Niemiec na własną rękę, więc blokują autostrady, włamują się do jadących na Zachód ciężarówek. Zupełnie jak we Francji, gdzie napadają na tiry, by pod plandeką przedostać się na drugą stronę kanału, do Dover. Czasami dochodzi do tragedii, jak ta w 2019 r. w angielskim Essex, gdy w kontenerze chłodni, który przypłynął z Belgii, odkryto 39 ciał. Nielegalni imigranci z Wietnamu udusili się i zamarzli.

> Rosja najeżdża Ukrainę, w kierunku naszej granicy zmierzają miliony Ukraińców. Nie otwieramy więc swoich granic, swojej ojczyzny, serc i domów na kolejną falę, tym razem prawdziwych uchodźców

Być może władze zorganizowałyby specjalne pociągi do Berlina, ale operacja skończyłaby się tak szybko, jak zaczęła. Niemcy dogadani z Rosją w sprawie Ukrainy, a może z praktycznych powodów, nie wpuściliby tych ludzi. To nie 2015 r., mają dość swoich kłopotów: nie przyjęliście naszych uchodźców, to my nie przyjmiemy waszych.

Więc w Szczecinie, Zgorzelcu, Międzyzdrojach, nad granicą z Niemcami, a może i w Warszawie powstają koczowiska zakładane przez tych, którzy będą czekali na okazję, by dostać się do ziemi obiecanej. Tysiące kartonowych bud, blaszaków, namiotów ze szmat w parkach, na skwerach, bulwarach, płonące nocami ogniska z łamanych drzew, ławek, altan. Byłoby jak w Calais, w Paryżu na nadsekwańskim bulwarze, w Brukseli w Maximilian Park albo na Lesbos. Statystyki przestępczości wystrzeliłby w górę, a „sylwester w Zakopanem" nabrałby nowego znaczenia – jak „świętowanie" Nowego Roku w niemieckiej Kolonii.

Coraz częściej podnosiłyby się głosy, że trzeba powstrzymać imigrację, ale od czego są tragedie. Może umrze jakieś dziecko i będzie żer, krew do chłeptania. Pamiętacie państwo zdjęcie trzyletniego Alana Kurdi? Chłopczyk leży na plaży, przy brzegu, twarz ma wciśniętą w piasek, fale obmywają mu główkę. Nie żyje. To fotografia jak wyrzut sumienia, ikona przedstawiająca wszystkie nieszczęsne dzieci uciekające przed wojną i nieczułość tych, którzy nie chcą ich przyjąć, powielona miliony razy i opatrzona hasztagiem „człowieczeństwo wyrzucone na brzeg". Niemal wszystko było w tym zdjęciu kłamstwem, manipulacją. Najstarszy brytyjski magazyn konserwatywny „The Spectator" nazwał je i rozpętaną wokół niego propagandową akcję moralną pornografią. Prawdziwa była tylko śmierć chłopczyka. Jego ciało wypłynęło w innym miejscu, ale przeniesiono je i ułożono dla lepszego efektu. Alan mieszkał w bezpiecznej Turcji i nie uciekał przed wojną. Miał ojca kretyna, którego głupota okazała się zabójcza. Ten usłyszał, że w Europie za darmo wstawią mu zęby, więc wyprawił się do niej przez morze na pontonowej łódce, a w podróż zabrał synków – Alana i jego pięcioletniego braciszka. Dwie łódki z 23 pasażerami poszły na dno i 12 osób utonęło, w tym dwaj malcy. I w Polsce udałoby się zaaranżować takie zdjęcie, ułożyć ciało jakiejś dziewczynki, pokazać mamę i dorobić legendę, by nikt nie odważył się kwestionować otwarcia granic. I tak na trzy miesiące przed wojną mielibyśmy 500 tys., może milion „uchodźców".

eprasa.pl 89c74f1c09

Ale nie wszyscy byliby z Afryki czy Azji. Wśród nich byłyby też tysiące mężczyzn uciekających przed reżimem Łukaszenki, prześladowanych działaczy wolności z homelskiego, mińskiego czy mohylewskiego Obwodowego Zarządu Komitetu Bezpieczeństwa Państwowego – KGB. No i zarządu wywiadowczego albo oddziału kontrwywiadu wojskowego Zachodniego Dowództwa Operacyjnego. Kadr uchodźczych by nie zabrakło, bo ich zasoby i w Rosji są nieprzebrane i byłoby ich tyle, że w Polsce dałoby się z nich sformować czernichowską 76. Gwardyjską Dywizję Desantowo-Szturmową. W samym rosyjskim FSB jest 200–350 tys. funkcjonariuszy i współpracowników. Kto weryfikowałby, czy przez Bug przeprawił się uciekinier z Białorusi, czy młodzian z departamentu antyterrorystycznego, zarządu W albo A Centrum Specjalnego Przeznaczenia? I w Głównym Zarządzie Wywiadu (GRU) uchodźców nie brakuje. Są i w zarządzie VIII od sabotażu i w zarządzie I, zajmującym się Europą. Jak mówił tworzysz Stalin: „Ludzi u nas dużo".

STOP DLA UCHODŹCÓW Z UKRAINY

I oto zbliża się 24 lutego 2022 r., dzień inwazji Rosji na Ukrainę. Ale wcześniej w kilku obozach wybuchają zamieszki, gdzieś uchodźcy demolują kawał miasta, na osiedlach podpalają tysiące samochodów – jak we Francji z okazji sylwestra, gdzieś w domu, w którym przyjęto uchodźcę, zostaje zgwałcona czyjaś córka, w jakimś lokalu zostaje pobitych i podźganych nożami przez rosyjskojęzycznych osobników kilku mężczyzn. Jest 20 lutego i Polacy patrzą na zniszczone parki, ulice, spalone samochody i mają dość migrantów.

Mijają cztery dni i Rosja najeżdża Ukrainę, w kierunku naszej granicy zmierzają miliony Ukraińców. W Polsce zaś na drogach panuje chaos, bo samochody obrzucane są prętami, kamieniami, dworce poblokowane przez koczujących, a w iluś miejscach trwają starcia policji z „uchodźcami". Chaos, przemoc, anarchia, a wszystko na skalę większą niż te, których zaznała w 2015 r. Europa, bo zorganizowane przez tysiące „uchodźców" z KGB, FSB, GRU.

Nie otwieramy więc swoich granic, swojej ojczyzny, serc i domów na kolejną falę, tym razem prawdziwych uchodźców, bo nawet nie wiemy, kim jest ten mówiący po rosyjsku człowiek, który być może przywiózł swoją żonę i dzieci i za chwilę wróci na front, a może to jeden z tych, którzy zadźgali na ulicy nastolatka. Nie ma więc otwartych ramion, bezprecedensowej w skali świata pomocy. Ukraińskie kobiety, których mężowie, synowie walczą, odbijają się od naszej obojętności, wrogości. Ci, którzy są na froncie, myślą o tym, czy bezpieczne są ich żony, matki i dzieci. Nas zaś zżera inflacja znacznie wyższa niż dziś, złoty leci na łeb jak turecka lira, państwo ledwo radzi sobie z własnym chaosem, a co dopiero mówić o byciu światowym centrum pomocy Ukrainie.

Joe Biden nie przylatuje do Rzeszowa. Z Polski nie jeżdżą pociągi do Kijowa z przywódcami świata, bo ci nie odważyli się przyjechać do ogarniętego chaosem przyfrontowego kraju. Na Ukrainę nie płynie falami pomoc w sprzęcie, lekach, broni, bo nie potrafimy jej zorganizować. Może sączy się jakaś kroplówka. Nie potrafimy zmobilizować świata, by pomógł Ukrainie. I może w chwili, gdy piszę te słowa, osamotniona Ukraina już by nie walczyła i ruskie hordy byłyby we Lwowie i stały nad Bugiem. Co wtedy działoby się w Polsce? Niezależnie od broni, sprzętu, tego wszystkiego, co musi mieć państwo w stanie wojny, potrzeba jeszcze wysokiego morale zarówno całego narodu, jak i pojedynczych żołnierzy. Te zaś podtrzymuje też to, że 5 mln żon, matek, sióstr, dzieci, starców mogło do Polski przyjechać i poczuć się bezpiecznie. I to daliśmy Ukrainie i sobie, nie wpuszczając hord nielegalnych migrantów nasłanych tu przez obce reżimy.

NIEMORALNA FARSA

Prezydent Duda mówił o durniach, zdrajcach. Mógł użyć jeszcze jednego określenia – ludzie nikczemni, amoralni. Trzeba być osobnikiem nikczemnym, by wiedząc, że akcja napuszczania imigrantów została zorganizowana przez ruskie i białoruskie służby, opisana jako operacja Śluza, podważać sens obrony przed hordami obcych. Jeszcze przed wybuchem wojny pisałem dla Warsaw Enterprise Institute o amoralności, tych, którzy chcą otwarcia granic, tak jak to zrobiły Niemcy w 2015 r. Mogę tylko powtórzyć z zastrzeżeniem, że teraz, gdy wiemy, co wyszykowały ruskie i białoruskie służby, gdy na Ukrainie toczy się wojna, ta nikczemność jest zwielokrotniona.

Nie mamy żadnych moralnych zobowiązań wobec osób zwiezionych na łąki, w krzaki, pod las na Białorusi nieopodal polskiej granicy. Niech sobie robią, co tam chcą: organizują ogniska z grą na gitarze i pieczeniem kiełbasek, obóz przetrwania, rekonstrukcję bitwy sowieckiej partyzantki z kolaboracyjnymi oddziałami Rosyjskiej Armii Wyzwoleńczej. Nic nam do tego. Ani im się nie należą od nas śpiwory, ani jedzenie, ani przenośne placówki toi toi. Nie ma nic moralnego w uczestnictwie w farsie zorganizowanej przez wrogi reżim. Nie ma nic moralnego w wycieczkach z torbami, śpiworami, pudełkami pizzy hawajskiej. Wręcz przeciwnie, to jest amoralne, bo kabotyństwo – działanie na pokaz – jest amoralne. Amoralne jest organizowanie przedstawień dla wrogiego reżimu i zgrywanie bohaterów, gdy nic nie grozi i za chwilę sprawdzi się na Facebooku, jak się wypadło.

Amoralne jest zrównywanie młodych, zwiezionych przez Łukaszenkę facetów z prawdziwymi uchodźcami, publiczne nawoływanie do uczestnictwa w oszustwie, powoływanie się na nauki moralne i zmuszanie do podjęcia zobowiązań wobec kłamców i wyłudzaczy współczucia. Amoralne jest umożliwiane przestępcom zarabiania na przemycie ludzi i sprawianie, że inni – kuszeni łgarstwem – padną ofiarą szalbierstwa i wybiorą się w drogę, która może kosztować ich majątek, a czasami życie. Amoralne jest stosowanie szantażu emocjonalnego, oferowanie pomocy wycieczkowiczom Łukaszenki przy świadomości, że może jej zabraknąć dla tych, którzy jej rzeczywiście potrzebują. Amoralne jest lżenie tych, którzy ślubowali oddać życie w obronie granic, wywieranie presji i prowadzenie nagonki na nich za pomocą mediów.

Tym bardziej nie ma żadnego usprawiedliwienia dla tych, którzy robią to wszystko teraz, gdy płonie Ukraina. Zasługują tylko na pogardę.

eprasa.pl 89c74f1c09

Skończyła się miękka gra

Uważam, że w obliczu bezprawia, z którym się stykamy ze strony Komisji Europejskiej, powinniśmy zamrozić płacenie naszej składki członkowskiej

Fot. Andrzej Wiktor

Michał Karnowski rozmawia z Ryszardem Czarneckim, posłem do Parlamentu Europejskiego, politykiem Prawa i Sprawiedliwości

Za nami już pół roku wojny na Ukrainie. Napaść Rosji na naszego sąsiada wstrząsnęła podstawami porządku światowego, naruszyła przekonanie, iż piekło XX w. nie może wrócić. Co zmieniło się najbardziej po 24 lutego 2022 r.?

Ryszard Czarnecki: Zmieniło się wszystko. Rosja pokazała, że nie chce być soft imperium, tylko traktuje swoją misję imperialną w rozumieniu dawnym, jako chęć militarnego zdobywania nowych terytoriów, panowania nad nimi, zniewalania ich ludności. Pękł dogmat polityki europejskiej po 1945 r., zakładający, że granic się nie przesuwa. Od tego momentu nasz świat jest już inny i powrotu do starego nie będzie.

Granice w Europie były jednak przesuwane w latach 90. I na to powołuje się dziś często Rosja.

Wyjątkiem od reguły było oderwanie Kosowa od Serbii, wobec czego zresztą sceptycyzm zachował śp. prezydent Lech Kaczyński. Ale było to dokonane właśnie z podkreśleniem, że to sytuacja specyficzna. Reszta zmian, jak rozpad Jugosławii i Czechosłowacji, następowała jako skutek aspiracji narodów tworzących te państwa. Choć jak dziś wiemy, z mocną inspiracją Niemiec, którym zależało na tym, by

eprasa.pl 89c74f1c09

otaczały je małe, a nie duże organizmy państwowe.

Świat nie wierzył, że Putin połamie wszystkie reguły współżycia międzynarodowego?

Świat był przekonany, że to są szachy. Wszyscy wiedzieli, że Putin jest agresywnym graczem, że często oszukuje, podmienia ustawienie figur, gdy sądzi, że nikt nie patrzy. W pewnym momencie jednak postanowił po prostu kopnąć w stolik. W tej rozgrywce od dawna mamy zderzenie nie tylko sił, wojsk, zasobów gospodarczych, ale i zupełnie innych systemów politycznych. To ma swoje konsekwencje: przywódcy Zachodu, w tym Polski, są zakładnikami opinii publicznej, są tym bardzo ograniczeni. Każda ofiara na wojnie prowadzonej przez państwo demokratyczne ma potężne konsekwencje wewnętrzne. Każda wdowa, każda rodzina tracąca syna czy córkę na wojnie ma głos. Putina to nie dotyczy. Poświęcenie kilkunastu czy kilkudziesięciu tysięcy żołnierzy nie ma znaczenia dla utrzymania przez niego władzy. Nie musi się tym zbytnio przejmować.

Trudno jednak uznać, że wszystko poszło zgodnie z jego planem. Ostatnio usłyszałem w dyskusji w moskiewskim radiu pełne żalu słowa, że został tylko jeden prawdziwy sojusznik: Białoruś. Mówiący te słowa został szybko zakrzyczany, ale coś w tym chyba jest?

Największy rosyjski zawód dotyczy Chin. To mocarstwo prowadzi swoją grę. Łączy go z Rosją antyamerykanizm, chęć przemodelowania stosunków w wielu regionach. Jest silne: jako jedno z niewielu państw zyskało na pandemii, wzmocniło się. Ale wobec wojny na Ukrainie zachowuje wstrzemięźliwość, nie chce ryzykować starcia z Zachodem. Nie możemy zgubić z oczu umacniania się Rosji w Afryce.

Bezpośrednio przed napaścią na Ukrainę Rosja wystosowała wobec Zachodu ultimatum, żądając cofnięcia realnych granic NATO, uznania jej sfery wpływów, powrotu do koncertu mocarstw. To był objaw szaleństwa? Pychy?

Nie. To było spuentowanie fatalnej polityki Zachodu, który ośmielał Kreml do myślenia, że wolno mu bardzo dużo, że nie napotka oporu w kolejnych próbach militarnej odbudowy imperium. Przypomnę, że Stany Zjednoczone po 2008 r. dokonały skutecznego politycznego handlu z Rosją. Tamten słynny reset, uruchomiony za Obamy przy wsparciu Niemiec i aplauzie Tuska, miał konkretne skutki. Za neutralność w sprawie Palestyny i Izraela oraz Iranu Rosja dostała rezygnację z tarczy antyrakietowej w Polsce oraz zgodę na zwiększenie swojej obecności w Europie Środkowo-Wschodniej. Tego samego manewru próbowano po przegranej Donalda Trumpa.

> Chcą, by było, jak było. Żebyśmy wrócili do dawnej roli: źródła taniej siły roboczej i wielkiego rynku zbytu. Mamy zbierać szparagi i kupować zachodnie towary. Kropka

Skoro wszystko szło tak dobrze, to po co było to psuć najazdem na Ukrainę? Druga armia świata skompromitowała się, przerodziło się to w brudną wojnę, Rosja jest pariasem świata cywilizowanego. Wszystko, co Putin budował – wpływy, wizerunek, przyciąganie zachodnich technologii – rozsypało się.

Zgoda, że to nie poszło tak, jak miało pójść, pierwsze tygodnie wojny zakończyły się militarną porażką Moskwy. Prawdą jest też, że Kreml nie rozumiał, że najazdem na sąsiada jednak przekracza czerwoną linię nawet w oczach najbardziej miękkich zachodnich polityków. Powiedziawszy to mocno, jednak jednocześnie przestrzegam przed triumfalizmem. Jako historyk pamiętam o kampanii napoleońskiej i najeździe Niemiec Hitlera, które pokazują, że Rosja umie prowadzić długie wojny na wyczerpanie.

Co to znaczy, że – jak pan powiedział – nie ma powrotu do świata, który był wcześniej?

W jakimś sensie cofnęliśmy się do lat 80. XX w. Znów mamy wyścig zbrojeń. Czy tym razem Rosja to wytrzyma, czy też pęknie, jak to się stało za czasów prezydenta Ronalda Reagana? Od odpowiedzi na to pytanie bardzo dużo zależy. Długoterminowo zagrożenie, o którym pan wspomniał, będzie najważniejsze. Ale krótko- i średnioterminowo konsekwencje wojny będą związane z próbami jej wykorzystania do realizacji potężnych, zwykle ukrytych interesów. Taki charakter ma niemiecka próba wyrażona wprost przez kanclerza Olafa Scholza, wymuszenia rezygnacji z zasady jednomyślności w Unii Europejskiej. To byłby ogromny, pozatraktatowy, podjęty bez pytania obywateli Unii krok w kierunku budowy scentralizowanego państwa europejskiego.

Dlaczego właśnie teraz pojawia się ten postulat? Chodzi tylko o wykorzystanie strachu państw flanki wschodniej Unii przed Rosją?

Nie tylko. Ważną przyczyną są wewnętrzne problemy Niemiec, które czują, że wskutek wojny bardzo dużo straciły i mogą stracić więcej. Zarówno gospodarczo, bo bardzo tani gaz z Rosji przestał chwilowo płynąć, jak i moralnie. Panuje przekonanie, że Niemcy zawiodły, nie zdały egzaminu z przywództwa, odpowiedzialności, solidarności europejskiej. One też to czują i dlatego próbują ucieczki do przodu, chcą narzucić nowe tempo integracji europejskiej. W ten sposób chcą stać się ponownie niekwestionowanym liderem i wzmocnić panowanie.

Jakie skutki ma ta wojna w wymiarze polityki międzynarodowej dla Polski?

Plan pierwszy to oczywiście objawienie się w pełni skali agresji

eprasa.pl 89c74f1c09

i imperializmu Rosji. To dla nas złe. Pośrednim skutkiem jest jednak wzrost roli Polski jako dużego państwa przyfrontowego ze zdecydowanym przywództwem politycznym. To zobaczyli wszyscy niemal natychmiast: przez pierwsze miesiące nowej administracji amerykańskiej próbowano się na nas gniewać za Trumpa, oczywiście dyplomatycznie, bo sojusz jest trwalszy niż polityczne napięcia. Gdy wojna się zbliżała, Amerykanie nie mieli wyjścia i z całą mocą zwrócili się ku Warszawie.

Pamiętam naszą rozmowę tuż po wyborach w Stanach Zjednoczonych. Mówił pan, że rządy Joe Bidena trzeba po prostu przeczekać.

Miałem rację, ale nie sądziłem, że tak szybko to pójdzie. Prezydent Joseph Robinette Biden jest najbardziej proniemieckim prezydentem od czasów Georga Busha juniora, ale interesy amerykańskie są oczywiście ważniejsze niż takie sympatie. A ten interes polega dziś na tym, że Stany Zjednoczone muszą mieć w Europie lojalnego sojusznika, który będzie stawiał tamę Rosji. Może nim być tylko Polska, bo przecież nie Niemcy ani nie jakieś mniejsze kraje regionu przy całym do nich szacunku.

Wykorzystujemy to okienko możliwości?

Zdecydowanie tak. Polskie władze, a także społeczeństwo, organizacje społeczne działają fantastycznie. Rola Polski po 24 lutego wzrosła ogromnie, staliśmy się jednym z ważniejszych rozgrywających w polityce międzynarodowej. Rzecz jasna nie wszystkim to odpowiada. Rozmaite presje, ataki, akcje, takie jak bezprawne blokowanie środków UE dla Polski, mają swoje źródło w poczuciu wielu państw, że ten polski skok do wyższej ligi trzeba za wszelką cenę zatrzymać.

Lubimy słuchać, że Polska będzie wielka, że jest nam pisana rola regionalnego przywództwa. Jednak każdy na nas skacze, nawet podkomisarz uważa się za sędziego naszej demokracji. Nie widzimy tej zmiany.

Zgoda, że jeszcze jej nie widzimy. Komisja Europejska była i jest tak mocno zdominowana przez wpływy niemieckie, że i dzisiaj zorganizowanie takich akcji przeciw Polsce nie jest dla Berlina problemem. Do tego dochodzą kwestie ideologiczne. Pani Jourová jest liberałką z partii byłego premiera Czech pana Babiša, atakuje nas z pozycji ideologicznych, pewnie też z myślą o swojej dalszej karierze. To są przykre rzeczy, warto jednak dostrzec fakty: Polska stała się partnerem numer jeden Stanów Zjednoczonych w Europie, Polska staje się punktem odniesienia dla państw bałtyckich i części państw bałkańskich, Polska stała się jednym z głównych sojuszników walczącej Ukrainy. Podkreślam: nasza rola wzrosła. Nie dziwmy się, że Berlin i Paryż próbują ją zredukować.

> Taktyka szukania kompromisu za wszelką cenę się nie powiodła. Obecna Unia Europejska jest jak Rosja: liczy się tylko z siłą. W miarę trwały kompromis będzie możliwy wtedy, gdy w Brukseli przekonają się, że jego brak boli i kosztuje także ich

W tym wojennym kontekście także silna armia jest źródłem wpływu politycznego. Słusznie budujemy 300-tys., wyposażoną w nowoczesny sprzęt armię? Nie szalejemy?

Kupujemy pokój. Jak powiedział premier Jarosław Kaczyński – lepiej być nawet zadłużonym niż okupowanym. W tych sprawach lepiej być bardziej przezornym, niż popełnić tragiczny w skutkach błąd zaniechania. Niektórzy nas krytykowali, że przesadzamy, tak pilnie dywersyfikując źródła energii – dziś widać, że mieliśmy rację.

Uważa pan, że w złym scenariuszu Putin mógłby przenieść wojnę także do Polski? Rakiety mogłyby spadać na Warszawę, czołgi ruszyć na stolicę?

Nie można wykluczyć ataków bombowych, ostrzału artyleryjskiego miast Polski południowo-wschodniej. Mówienie dziś, że tego na pewno nie będzie, jest bardzo ryzykowne. Na wojnę frontalną z Polską dziś Moskwy nie stać i to jedyny powód, który chwilowo takie ryzyko wyklucza. Ale co będzie za kilka lat – nie wiemy. Dlatego musimy być gotowi na najgorszy nawet rozwój sytuacji. Rosja putinowska z agresji nie zrezygnuje.

Wróćmy do Unii Europejskiej. Jarosław Kaczyński mówił dla „Sieci", że w relacjach z UE dalej nie możemy się cofać, że doszliśmy do granicy, za którą jest chaos w Polsce, utrata suwerenności. Co to konkretnie znaczy? Opozycja już przywołuje hasło polexitu.

Polexit to bzdura, propagandowy wymysł opozycji. Nastroje antyunijne mogą się wzmóc pod koniec dekady, gdy staniemy się płatnikiem netto w UE.

Nie jestem pewien. Jest w tej miłości do Unii też dużo kompleksów, jest i przekonanie, że razem bezpieczniej.

Zgoda, ale jak płacisz, to wymagasz. To będzie miało swoje skutki. Taka agresja, tego rodzaju presja ze strony Komisji Europejskiej nie będą wtedy w mojej ocenie już możliwe.

Oni mówią cynicznie: wzięliście pieniądze, możemy wszystko.

Nie mogą wszystkiego, bo próbują zmienić reguły gry w trakcie meczu. Mimo wątpliwości Polska zrobiła wiele, by jednak zawrzeć kompromis. Unia podeptała go za każdym razem, ostatnio najbardziej widowiskowo. Przyczyny są czysto polityczne. Uznano, że brak kompromisu

eprasa.pl 89c74f1c09

osłabia polskie władze, a przez to może przyczynić się do ich zmiany. Ewidentnie trwa operacja zmiany polskiego rządu. Chcą pójść śladem takich akcji w Grecji i we Włoszech. Tam połączenie presji ekonomicznej z polityczną było skuteczne. Grecy i Włosi wymiękli, premierzy Papandreu i Berlusconi zostali zmuszeni do dymisji. Polacy okazali się twardsi. Bruksela już wie, że w środku kadencji nas nie złamią, stąd wszystkie siły rzucono do akcji przed wyborami 2023 r.

Albo Polacy wybiorą, jak trzeba, albo nas zagłodzą?

Tak powiedziała Katarina Barley, niemiecka socjalistyczna wiceszefowa Parlamentu Europejskiego. I choć inni unikają takiego języka, to o to samo im chodzi. Mamy wrócić do dawnego statusu, stać się politycznym pasem transmisyjnym dla Berlina, Brukseli, porzucić własne ambicje, stać się na nowo zasobem taniej siły roboczej, demograficznym wsparciem dla gospodarek zachodnich.

Nie boi się pan, że część wymęczonych pandemią, kosztami wojny, putinflacją Polaków może na to pójść? Opozycja już wprost mówi: jak my wygramy, kasa popłynie. Koszt będzie pewnie za kilka lat straszliwy, zdemolują nas, ale to będzie potem, teraz przyjdą pieniądze z KPO.

Jasne, że się obawiam. Lekceważenie tego scenariusza byłoby fatalną postawą. Ale też nie jesteśmy bezbronni. Trzeba pokazywać Polakom, że koszty wyprzedaży majątku narodowego, utraty suwerenności będą dużo większe. W szerszym planie konieczna jest korekta podejścia do relacji z Unią. Zrobiono błąd, wchodząc w buty Tuska, licytując, ile to pieniędzy dostaniemy z Brukseli. Dużo lepsze było podejście węgierskie, gdzie tego balonu nie pompowano, spokojnie mówiąc, że owszem, środki UE by się przydały, ale kluczowe są własne silniki rozwojowe, że poradzimy sobie sami.

Fot. Andrzej Wiktor

Świat był przekonany, że to są szachy. Wszyscy wiedzieli, że Putin jest agresywnym graczem, że często oszukuje. W pewnym momencie postanowił jednak po prostu kopnąć w stolik

Mamy jakiś ruch?

Uważam, że w obliczu bezprawia, z którym stykamy się ze strony Komisji Europejskiej, powinniśmy zamrozić płacenie naszej składki członkowskiej. To już dziś 6,5 mld euro rocznie, to rośnie, to są dla Brukseli realne pieniądze.

Nie jest to postulat radykalny, który uruchomi spiralę ataków?

Już w tej spirali jesteśmy – decyzją Berlina, Paryża i Brukseli. Musimy grać, bo bez tego przegramy na pewno. Taktyka szukania kompromisu za wszelką cenę się nie powiodła.

Było blisko. Była w Warszawie Ursula von der Leyen, jest osobą dorosłą, kontroluje chyba swoje słowa i emocje. Zaakceptowała kompromis, a potem go zerwała. Co się stało po drodze?

Myślę, że miała wtedy wolę zakończenia sprawy kompromisem. Ale wróciła do Brukseli i usłyszała, że część frakcji w Parlamencie Europejskim zaczyna mówić o jej dymisji. Ale zgadzam się z prezesem Kaczyńskim, który na łamach tygodnika „Sieci" stwierdził, że to nie nasza sprawa, co spowodowało zmianę podejścia szefowej Komisji Europejskiej. Była umowa z naszej strony dotrzymana, z tamtej złamana. Konsekwencje są jasne: skończyła się miękka gra, musimy zacząć licytować, używać narzędzi, które mamy.

Wicepremier Jacek Sasin mówił niedawno, też w rozmowie z tygodnikiem „Sieci", że skoro nie dostajemy pieniędzy na transformację energetyczną, to nie możemy jej przeprowadzić. Ten argument może być usłyszany?

Obecna Unia Europejska jest jak Rosja: liczy się tylko z siłą. W miarę trwały kompromis będzie możliwy wtedy, gdy w Brukseli przekonają się, że jego brak boli i kosztuje także ich. Musimy też przypomnieć, że cały fundusz odbudowy był możliwy dzięki zgodzie Polski, my ten dług żyrujemy i będziemy spłacać.

A może oni chcą nas wypchnąć z Unii?

Myślę, że raczej nie. Chcą, by było, jak było. Żebyśmy wrócili do dawnej roli: źródła taniej siły roboczej i wielkiego rynku zbytu. Z ich punktu widzenia Polska jako piąty pod względem wielkości kraj UE, położony blisko Niemiec, jest do tej roli idealny. Mamy zbierać szparagi i kupować zachodnie towary. Kropka. Nasze ambicje polityczne czy gospodarcze, nasz szybki rozwój nie mieszczą się w tych planach. Dlatego wybory 2023 r. będą szły o stawkę najwyższą. Po jednej stronie będzie rozwój i suwerenność, po drugiej zahamowanie rozwoju i pełna zależność od Berlina. Tę pierwszą linię prezentuje i skutecznie wdraża obóz prezesa Jarosława Kaczyńskiego, drugą – przysłany tu z misją przywołania Polski do porządku Donald Tusk.

eprasa.pl 89c74f1c09

Strach przed wielką koalicją

Opozycja bardziej niż samej porażki boi się sprawdzenia, czy jedna wielka koalicja potrafi wygrać wybory z PiS

STANISŁAW JANECKI

Wielka koalicja, czyli totalny wariant, jest w polityce bronią ostateczną i jeśli zawiedzie, efekt tego może negatywnie działać przez lata, a nawet dekady. Liderzy opozycyjnych partii – poza Donaldem Tuskiem – uważają, że jedna wielka koalicja jest jak broń atomowa: dobrze jest ją mieć, ale jeszcze lepiej jej nie używać, tylko nią straszyć. Tyle że najbardziej jej użycia boją się ci, którzy chcą nią dysponować. W przeciwieństwie do popierających opozycję mediów. Ale dla nich ważne jest tylko odsunięcie od władzy Prawa i Sprawiedliwości. Interesy opozycyjnych partii mają znaczenie drugorzędne. Z tego powodu media namawiają polityków do skoku do basenu z najwyższej wieży, nie wiedząc, czy w basenie jest w ogóle woda. Pomysł wielkiej koalicji te media wykorzystują do naciskania opozycyjnych polityków oraz manipulowania wyborcami pod pozorem wzmacniania ich asertywności. Jest znamienne, że w czerwcu 2022 r. „Gazeta Wyborcza" zamówiła w pracowni Kantar badanie mające pokazać, jak wspaniałym i stuprocentowo zwycięskim jest pomysł wielkiej koalicji. Na papierze wszystko się zgadzało, a nawet więcej. Oto „Wyborcza" dowodziła (podpierając się badaniem Kantara), że wielka koalicja (Koalicja Obywatelska, Polska 2050, Lewica, Koalicja Polska) ma jak w banku 259 mandatów (wyborcze poparcie w wysokości 44 proc., podczas gdy dla PiS – tylko 31 proc.), a PiS nawet z Konfederacją tylko 201 mandatów.

Skoro jednak wielka koalicja budzi najwięcej obaw, inne wersje też powinny gwarantować zwycięstwo, a jedna wręcz przygniatające. Ten nadzwyczajny wariant to dwa opozycyjne bloki, czyli KO z Lewicą i KP z Polską 2050, co miałoby dać aż 265 mandatów w Sejmie. Wariant

eprasa.pl 89c74f1c09

Fot. Jacek Dominski/REPORTER

z wielką koalicją został przedstawiony jako mniej korzystny, żeby wyborcy i politycy nie myśleli o nim jako o jedynym wyjściu. A wtedy łatwiej jest taki pomysł zaakceptować, choć jest trudniejszy do zrealizowania. W istocie chodziło jednak o wsparcie Donalda Tuska jako akuszera pomysłu wielkiej koalicji, ale tak, by liderzy pozostałych partii, szczególnie Szymon Hołownia, się nie wystraszyli. Po opublikowaniu i stosownym objaśnieniu sondażu pracownicy „Wyborczej" musieli być zdziwieni, że znakomite wyniki wcale nie przekonały liderów opozycyjnych partii, a wręcz przeciwnie – utwierdziły podejrzenia, że coś tu jest nie tak. I to mimo że dostali jeszcze do wyboru nie mniej optymistyczne wyniki badań dla wariantów z dwoma i trzema blokami. Skoro bowiem ta alternatywa ma być tak kusząca, dlaczego Donald Tusk upiera się przy wielkiej koalicji?

ASYMETRIA POZYTYWNO-NEGATYWNA

Prof. Jarosław Flis z UJ napisał swego rodzaju instrukcję budowania bloków i sojuszy wyborczych – „Jak bardzo sejmowa ordynacja zachęca do budowania sojuszy i jakie stwarza dla nich przeszkody?", ale nie wygląda na to, że Donald Tusk ją przeczytał. A prof. Flis, jeden z największych ekspertów od modelowania wyborów, stwierdził, iż „nagroda za integrację dla dużych partii [...] z każdym krokiem integracji jest coraz mniejsza. W szczególności jeśli w wyborach startują dwie partie, nagroda dla zwycięzcy jest najmniejsza z wszystkich możliwych przypadków". Jeśli – tak jak chce przewodniczący PO – „blok będzie czteropartyjny, konieczna do odniesienia korzyści przewaga musi wynosić przynajmniej 53 do 42 [proc. głosów]". Ale to dopiero początek problemów. Jak zauważa prof. Flis, „w przypadku koalicji wszystkie standardowo występujące w tym systemie patologie są potęgowane przez dodatkowy wymiar wewnętrznej rywalizacji – konkurencję między koalicjantami. Na pierwszy rzut oka wydaje się, że otwarta lista stanowi ułatwienie przy tworzeniu koalicji – można wszak umieścić na niej kandydatów z każdej z koalicyjnych partii i »zdać się na werdykt wyborców«. Jednak znaczenie wyróżnionych miejsc na liście – w szczególności miejsca pierwszego – sprawia, że rywalizacja o głosy wyborców nie odbywa się na równych warunkach. To zaś jest źródłem napięć w obrębie potencjalnej koalicji".

Wszyscy liderzy opozycyjnych partii poza Tuskiem zdają się rozumieć przestrogi prof. Flisa, że „nawet w stabilnych, jednorodnych partiach nieuchronnym problemem jest pogodzenie interesów posłów zabiegających o reelekcję z wyborczym interesem ugrupowania jako całości. To ostatnie wymaga dostosowania listy do terytorialnej struktury okręgu i znalezienia jak najsilniejszych kandydatur w tych społecznościach, gdzie kandydaci przegrali walkę o mandat w poprzednich wyborach. Tacy kandydaci są jednak podstawowym zagrożeniem dla reelekcji dotychczasowych posłów. [...] Dodatkowym źródłem komplikacji są w każdej partii interesy liderów krajowych i regionalnych, troszczących się o utrzymanie swojej pozycji lub o zasoby przydatne już po wyborach, w pracach parlamentarnych. Troska ta ma postać umieszczania na listach popleczników lub ekspertów, pozbawionych realnej zdolności przyciągania głosów wyborców, co zmniejsza potencjał samych list. Jeśli jednak do tych trzech sprzecznych sił zostaje jeszcze dołączona czwarta – interesy koalicjantów – racjonalne ułożenie silnej listy staje się zadaniem praktycznie niewykonalnym. Tworzy się bowiem układ klasycznych dylematów działania zbiorowego – działania racjonalne z punktu widzenia każdego z graczy prowadzą do rozwiązań szkodzących wspólnej sprawie, a ostatecznie każdemu z nich".

Donald Tusk uważa, że forsując wielką koalicję, poświęca się, a wręcz czyni ofiarę dla innych partii: „Jestem gotów poświęcić partyjny interes, bo przecież jeśli ktoś straci na jednej liście, to Platforma" (to wypowiedź z końca kwietnia 2022 r.). Według ekspertyzy dr. Macieja Onasza z Katedry Systemów Politycznych Uniwersytetu Łódzkiego, zamówionej dla Biura Analiz Sejmowych przez wicemarszałka z PSL Piotra Zgorzelskiego, jedna lista wyborcza jest najgorszym z możliwych pomysłów, gdyż grozi największą utratą poparcia podczas trwania kampanii wyborczej. Także wskutek ujawniania słabych stron koalicjantów i ich kandydatów przez tych, którzy w obrębie jednej listy z nimi rywalizują. Chodzi m.in. o zjawisko znane w psychologii społecznej i określane jako asymetria pozytywno-negatywna. A polega na niechęci do partii lub polityków w wielkiej koalicji, która może być silniejszym bodźcem niż pozytywne identyfikacje oraz sympatie i w efekcie może prowadzić do utraty takich głosów. Dr hab. Adam Gendźwiłł, politolog, socjolog i geograf z Uniwersytetu Warszawskiego, zwraca uwagę na to, że jedna lista usuwa w cień istotny problem mobilizowania wyborców nieprzekonanych i niepewnych, a to stopień ich mobilizacji może decydować o zwycięstwie lub przegranej, a nie istnienie wielkiej koalicji lub nie. Nie ma żadnych dowodów z badań, że jedna lista mobilizuje nieprzekonanych i niepewnych wyborców. A może być odwrotnie – wielka opozycyjna koalicja ponadprzeciętnie zmobilizuje elektorat Prawa i Sprawiedliwości, czego żaden inny czynnik nie potrafi zrobić.

eprasa.pl 89c74f1c09

WĘGIERSKA LEKCJA

Na Węgrzech użyto politycznej broni atomowej, czyli opozycja stworzyła wielką koalicję (pompatycznie nazwaną Zjednoczeni dla Węgier), ale w wyborach 3 kwietnia 2022 r. uzyskała ona tylko 34,44 proc. głosów, podczas gdy rządzący Fidesz (i niewielką koalicyjną Chrześcijańsko-Demokratyczną Partię Ludową) poparło 54,13 proc. wyborców, co dało tej partii 135 mandatów w izbie liczącej 199 posłów. Zadziałał mechanizm nadzwyczajnej mobilizacji zwolenników rządzących, czego badania nie przewidywały, gdyby opozycja poszła do wyborów nie w jednym bloku. Klęska wielkiej koalicji spowodowała kompletne załamanie po opozycyjnej stronie i niechęć do łączenia się, być może nawet przez najbliższych kilkanaście lat. Wyborcy na Węgrzech dostali sygnał, że właściwie nie ma sposobu, żeby wygrać z partią rządzącą, skoro nie zadziałała nawet wyborcza broń atomowa, co oznacza demobilizację po opozycyjnej stronie i w kolejnych wyborach bardzo prawdopodobne zwiększenie odsetka tych, którzy nie wezmą udziału w głosowaniu (frekwencja 3 kwietnia 2022 r. wyniosła 69,59 proc.).

Podobny jak na Węgrzech efekt, choć w mniejszej skali, w Polsce wywołała prawie wielka koalicja (bez Wiosny Roberta Biedronia) na wybory europejskie w 2019 r. Przegrała ta koalicja z PiS różnicą aż 7 pp., choć dla opozycji to formalnie były najłatwiejsze wybory do wygrania. Po tym doświadczeniu politycy PSL stwierdzili, że już nie dadzą się namówić na tego rodzaju przedsięwzięcie. Nauka z doświadczeń na Węgrzech i wyborów europejskich w Polsce płynie taka, że można o wielkiej koalicji mówić po wyborach, ale nie powinno się jej formalnie zawierać przed wyborami. Nawet gdyby także po wyborach żadnej wielkiej koalicji już w parlamencie nie udało się sformować.

Samo skonstruowanie wielkiej koalicji może być porażką, jeśli choćby jedna znacząca siła polityczna tego pomysłu nie poprze, a wtedy nazywanie takiej niepełnej koalicji wielką będzie podważane, brak sukcesu zaś przy urnie będzie tłumaczony tym, że koalicja była wielka tylko z nazwy i właśnie ta organizacyjna niedoróbka była odpowiedzialna za przegraną. Opozycyjni politycy poza tymi z PO – a i tam są sceptycy skupieni wokół Grzegorza Schetyny – uważają, że jedna wielka koalicja jest dużo łatwiejsza do atakowania w czasie kampanii, gdyż musi bronić wszystkich posunięć swoich członków, choćby tylko jedna partia była przyczyną tych ataków. To nie pozwala niuansować przekazu i odcinać się od błędów, skoro te błędy wszystkich obciążają. A jeśli dochodzi do niuansowania i przypisania win konkretnym osobom czy konkretnej partii, gdyż nie wszyscy chcą brać na siebie cudze winy, zaczynają się walki wewnętrzne osłabiające wielką koalicję i dające dodatkowe argumenty przeciwnikom, czyli w tym wypadku obecnie rządzącym. Sam Donald Tusk swoją agresją i graniczącym z opętaniem zaangażowaniem w walkę ze złem jest łatwym celem, a bronienie go mogłoby zmniejszać szanse tych, którzy by to robili. Tym bardziej że w wielkiej koalicji musi być jeden spójny przekaz, żeby wyborcy nie uważali, iż chodzi tylko o zbieraninę połączoną nienawiścią do PiS. A to neutralizuje osiągnięcia mniejszych ugrupowań oraz tych, które jeszcze nigdy nie rządziły, i albo czyni je anonimowymi, albo zostają one przypisane do całości, czyli się rozmywają. W takiej sytuacji negatywne rzeczy obciążają wszystkich uczestników koalicji, pozytywne zaś nie działają na rzecz wszystkich, co sprawia, że nie wszyscy pracują z zaangażowaniem i przekonaniem, że uda się osiągnąć zakładany cel.

> Nie ma żadnych dowodów z badań, że jedna lista mobilizuje nieprzekonanych i niepewnych wyborców. A może być odwrotnie – wielka opozycyjna koalicja ponadprzeciętnie zmobilizuje elektorat PiS, czego żaden inny czynnik nie potrafi zrobić

STRACH PRZED POLITYCZNYM SAMOBÓJSTWEM

Ewentualna porażka wielkiej koalicji skutkowałaby tym, że wyborcy mogliby uznać, iż opozycja trwale nie ma zdolności wygrywania wyborów i przejmowania władzy, skoro teoretycznie najlepszy i ostateczny środek do osiągnięcia tego celu okazał się nieskuteczny. I to może być nawet ważniejsze od demobilizacji zarówno po stronie całej opozycji, jak i w poszczególnych ugrupowaniach. Poza Platformą Obywatelską panuje przekonanie, że wielka koalicja jest rozwiązaniem korzystnym wyłącznie dla PO i Donalda Tuska, tym bardziej że to oni na porażce w każdej konfiguracji najwięcej tracą, więc są najbardziej zdesperowani w dążeniu do unifikacji. Tusk po to wrócił do polskiej polityki, żeby wszelkimi środkami i kosztem każdego koalicjanta odzyskać władzę. A wręcz takie dostał zadanie, gdy wyjeżdżał z Brukseli, co całkiem otwarcie przyznała przewodnicząca Komisji Europejskiej Ursula von der Leyen podczas pożegnania na zjeździe Europejskiej Partii Ludowej. Dla Tuska to jest gra o wszystko, walka o polityczne życie. Właśnie w roli lidera i zwornika całej opozycji. Gdyby nie zawiązano wielkiej koalicji, jego rola jako lidera byłaby wątpliwa, a po ewentualnej wygranej bez powstania takiej koalicji byłby wręcz niepotrzebny, szczególnie w roli premiera. Wszystko, co nie będzie wielką koalicją, zostanie uznane za porażkę Donalda Tuska i negatywnie zweryfikuje sens jego powrotu do polskiej polityki. Liderzy innych opozycyjnych partii to wiedzą i nie zamierzają polec razem z Tuskiem. A tym bardziej nie chcą sprawdzać, co im może dać wielka koalicja, skoro to sprawdzenie mogłoby ich wyeliminować z polskiej polityki, bo odpowiedzialność za ewentualną porażkę na pewno zostanie wyegzekwowana, a zgoda na wielką koalicję w takiej sytuacji uznana za polityczne samobójstwo.

eprasa.pl 89c74f1c09

Cisi sojusznicy

Część środowisk prawicowych w Polsce, zwłaszcza tych, które chcą być postrzegane jako „antypostępowe" i ortodoksyjnie konserwatywne, gra dziś do tej samej bramki co „postępowa" opozycja antypisowska. Ich działania zmierzają bowiem w istocie do tego, by do władzy powróciła ekipa Donalda Tuska

KONRAD KOŁODZIEJSKI

Nikogo rozsądnego nie trzeba chyba przekonywać, że wynik wojny na Ukrainie będzie miał fundamentalny wpływ na przyszłość Polski. Nie powinny przy tym usypiać naszej czujności kolejne zwroty w tej wojnie, bo choć ostatnio wytraciła ona nieco swój pierwotny impet, a główne pole bitwy oddaliło się geograficznie od naszych granic, to kwestia niepodległości Ukrainy – a co za tym idzie – bezpieczeństwa Polski nadal pozostają nierozstrzygnięte. Tym bardziej że zmagania z Rosją mają nie tylko militarny, ale również ekonomiczny charakter. Moskwa gra na zmęczenie zachodnich społeczeństw wojną, licząc na to, że skutki przeciągającego się konfliktu doprowadzą ostatecznie do wybuchu wewnętrznych konfliktów na Zachodzie, co zwiększy jego gotowość do oczekiwanych ustępstw. W tym sensie moskiewska agresja jest skierowana nie tylko przeciwko Ukrainie, ale także przeciw całemu kolektywnemu Zachodowi.

Wszystko to prowadzi nas do konkluzji, że każde działanie państw, rządów, polityków i innych postaci życia publicznego na Zachodzie powinno być dzisiaj oceniane pod kątem wojny na Ukrainie, a więc tego, na ile to działanie pomaga w konflikcie z Rosją, a na ile służy ono – niekoniecznie intencjonalnie – interesom Moskwy. Większość z nas choćby intuicyjnie stosuje to kryterium w ocenie polityki niemieckiej i wyraźnie dostrzega, że Berlin, sparaliżowany konsekwencjami swojej błędnej polityki wschodniej, obiektywnie sprzyja dziś Moskwie.

Na polskim gruncie nasz wzrok jest już jednak przytępiony, czego dowodzi chociażby aktywność polityczna Donalda Tuska, wykorzystującego trudności wywołane wojną do podgrzewania konfliktu politycznego w Polsce i przekonującego opinię publiczną, że największym zagrożeniem nie jest dzisiaj agresja Rosji, lecz rządy Zjednoczonej Prawicy. Sondaże wskazują, że około jednej trzeciej wyborców wierzy w opowieści Tuska.

Niektórzy mogliby machnąć na to ręką, Tusk i jego partia wyhodowali sobie przecież sektę wyznawców, którzy przyjmą w dobrej wierze każdą niedorzeczność, bo ich instynkt samozachowawczy został już dawno stępiony przez chorobliwą nienawiść do PiS. Jednak problem ten, choć w mniejszej skali, nie dotyczy wyłącznie sympatyków Tuska, można go bowiem dostrzec również po szeroko rozumianej prawej stronie.

PRZYSTAWKA PLATFORMY

Najbardziej charakterystycznym przykładem jest tu oczywiście Konfederacja, formacja założona po to, by rozbić polityczny monopol PiS na prawicy i uderzać w tę partię z prawej flanki, głównie z pozycji narodowych oraz konserwatywno-liberalnych (wolny rynek, walka z socjalizmem itp.). Co bardziej przytomni obserwatorzy szybko jednak dostrzegli, że Konfederacja – mimo swoich „antypostępowych" haseł – gra do tej samej bramki co „postępowa" opozycja antypisowska.

eprasa.pl 89c74f1c09

Działanie na rzecz osłabienia rządzącej Zjednoczonej Prawicy jest bowiem w istocie działaniem na rzecz powrotu rządów PO i Donalda Tuska. Konfederacja jest przecież zbyt słaba, by samodzielnie rozdawać karty w polityce, zatem w przypadku odsunięcia PiS od władzy może być co najwyżej prawicową przystawką do Platformy. Politycy PO nie ukrywali zresztą, że taki sojusz może być w przyszłości możliwy.

Nic w tym dziwnego, bo agenda polityczna Konfederacji jest w wielu miejscach zbieżna z poglądami PO. Weźmy choćby kwestię polityki socjalnej, która w dużym stopniu przesądziła o dwukrotnym sukcesie PiS w wyborach. Konfederacja i jej stronnicy ostro atakują programy pomocy dla słabiej zarabiających, wytykając obozowi rządzącemu skłonność do socjalizmu. Poza kilkoma retorycznymi chwytami niczym nie różni się to jednak od ataków, które PO przypuszczała na program 500+ oraz od twitterowych utyskiwań Balcerowicza na rozdawnictwo PiS. Działania te – niezależnie od używanej argumentacji – mają więc dokładnie ten sam cel, co w przypadku Platformy. Chodzi o obronę przywilejów najlepiej zarabiających, najlepiej ustawionych kosztem mniej zamożnej większości.

Jeśli taka strategia Konfederacji była obliczona na przechwycenie jakiejś części zamożnego elektoratu, to raczej poniosła porażkę. Liczba takich wyborców mających zarazem poglądy prawicowe mieści się bowiem w granicach błędu statystycznego. Wyborcy prawicy to w zdecydowanej większości ludzie słabiej zarabiający, którzy są największymi beneficjentami polityki PiS. Trzeba być mocno naiwnym, by sądzić, że można tutaj coś ugrać gadaniną o rozdawnictwie i omnipotencji państwa.

Ja jednak Konfederacji o naiwność polityczną nie posądzam, jestem raczej skłonny sądzić, że celem tej formacji i jej sympatyków jest zasianie wątpliwości wśród elektoratu Zjednoczonej Prawicy i wyłuskanie stamtąd choćby paru procent rozczarowanych, np. jakichś drobnych przedsiębiorców, którym obecna sytuacja gospodarcza dała się we znaki i których łatwo zwieść wolnorynkowymi sloganami o kajdanach zakładanych na ich biznesy przez żarłoczne „pisowskie" państwo.

Podobnie działa Agrounia, dość zresztą zbliżona do Konfederacji, która próbuje podburzać rolników. Przy czym w odróżnieniu od Konfederacji robi to w znacznie bardziej hałaśliwy i odpychający sposób.

Te parę procent głosów, które chce wyrwać Konfederacja, wydaje się niewielkim politycznym zyskiem, ale dla Zjednoczonej Prawicy są to głosy na wagę – jeśli nie zwycięstwa w wyborach – to na pewno większości parlamentarnej. A więc strategia Konfederacji wydaje się klarowna: wie, że sama wprawdzie władzy ani siły nie zyska, ale za to chce doprowadzić do obalenia rządów PiS. Trudno chyba nie zauważyć, że jest to w istocie działanie na rzecz powrotu PO i Tuska do władzy.

Rząd PiS wyczuł te zabiegi i do pewnego stopnia zdołał spacyfikować te starania, przyjmując kolejne pakiety pomocy finansowej dla przedsiębiorców i rolników, a ostatnio dla osób zagrożonych wysokimi kosztami energii. Gdyby jednak PiS dał się sprowokować i ulegając retoryce Konfederacji, zamiast tego zdecydował się na cięcia wydatków, to jego szanse wyborcze i dalsze rządy stanęłyby pod wielkim znakiem zapytania. Ale o to właśnie chodziło.

OD BERLINA DO MOSKWY

Trzeba tu teraz wrócić do tego, na co zwróciłem uwagę wcześniej, że w związku z wojną na Ukrainie i zagrożeniem bezpieczeństwa Polski każde działanie polityczne należy dzisiaj oceniać pod kątem jego zgodności bądź rozbieżności z interesami Moskwy.

W tej chwili rządy Zjednoczonej Prawicy są jedynym gwarantem utrzymania suwerennego kursu w polskiej po-

eprasa.pl 89c74f1c09

lityce, co sprawiło, że Polska znalazła się na kursie kolizyjnym z Niemcami i z Rosją. Odsunięcie tych rządów od władzy byłoby – jak przekonywałem w jednym z ostatnich artykułów na tych łamach – równoznaczne z całkowitym odwróceniem dotychczasowej polityki i degradacją Polski do pozycji wasala. Nic więc dziwnego, że utrata władzy przez PiS byłaby przyjęta z dużą satysfakcją zarówno w Berlinie, jak i w Moskwie. W tym kontekście należy więc odczytywać wszystkie działania podejmowane dziś na polskiej scenie politycznej, czyli również te, które zmierzają do zmiany władzy.

Nie chodzi mi tutaj o to, że opozycja, czy to ta spod znaku PO, czy Konfederacji, czy jeszcze jakaś inna, nie ma prawa do krytyki rządu lub do starań o jego zmianę. To jest święte prawo opozycji, pod warunkiem wszakże, że interes państwa – bez względu na wyznawany światopogląd – będzie zawsze postawiony na pierwszym miejscu. To istota demokracji i w wielu krajach zachodnich tak to właśnie działa, zapewniając w ten sposób ciągłość i sprawność państwa. Idzie więc tutaj o co innego, o to mianowicie, czy po ewentualnej zmianie rządu będzie kontynuowana suwerenna polityka państwa polskiego. W przypadku części naszej opozycji nie ma, niestety, takiej pewności.

Polityka uległości wobec Niemiec realizowana przez Donalda Tuska jest powszechnie znana i wielokrotnie była opisywana. Jego obecne działania nie wskazują na to, że cokolwiek mogło się tu zmienić. Tusk oraz PO są wyraźnie faworyzowani w Berlinie, który chciałby przy ich pomocy pozbyć się pisowskiego rządu i zarazem kłopotu, który sprawia obecna polityka Polski, w tym również ta prowadzona wobec Ukrainy i Rosji.

Tutaj znowu dostrzegamy zbieżność między Platformą i Konfederacją. Konfederacja nie jest wprawdzie wpatrzona w Berlin, co więcej – często akcentuje swoją agendę antyunijną (a więc i antyniemiecką), ale jednocześnie tak się jakoś złożyło, że niektórzy jej sympatycy odnaleźli antidotum na ideologiczną i polityczną ekspansję Unii w putinowskiej Rosji.

Jeśli nie liczyć Janusza Korwin-Mikkego, większa część środowiska Konfederacji unika oczywiście wypowiedzi, które mogłyby wskazywać na sympatie wobec Moskwy, choć równocześnie – co jest również znamienne – mało kto odcina się od jego mocno kontrowersyjnych wypowiedzi. Panuje jednak świadomość, że otwarte sprzyjanie Rosji byłoby politycznie zabójcze w warunkach toczącej się obok wojny. Ludzie związani z Konfederacją uderzają więc inaczej, a to w uchodźców wojennych z Ukrainy, a to w niepotrzebne ich zdaniem uzbrajanie Ukraińców (nazywane dla zmyłki troską o zdolności obronne Polski), a to w zbyt gorliwe nakładanie sankcji na Rosję – rzekomo dlatego, że tracą na tym polscy obywatele. Część z nich szukała nawet duchowych inspiracji w rosyjskim „konserwatyzmie" rodem z Łubianki.

Skądinąd podobna jest ta ich „zdroworozsądkowa" argumentacja do tej, której lubi używać tak nielubiany przez konfederacyjną prawicę rząd w Berlinie. Gdyby przyjąć te wszystkie zastrzeżenia sympatyków lub polityków Konfederacji do obecnej polityki wobec Moskwy, to Ukraina zapewne już dawno upadłaby pod ciosami Rosji, a my mielibyśmy Moskali na granicy pod Przemyślem.

MANOWCE ANTYPISIZMU

Konfederacja lubi swoją politykę nazywać realizmem. Przy czym ten realizm, pojmowany jako unikanie emocjonalnego uprawiania polityki (co jest stałym zarzutem wobec PiS) oraz jako trzeźwe spojrzenie na rzeczywistość taką, jaką ona jest, ma w istocie z tą rzeczywistością niewiele wspólnego. Za to znacznie więcej z relatywizmem, w którym wszystko można podważać.

Dobrym przykładem może tu być wspomniany Korwin-Mikke (skądinąd twórca Unii Polityki Realnej). Doszedł on bowiem do wniosku, że większym zagrożeniem od Rosji jest dla nas „socjalistyczny" Zachód. Można byłoby to – jak zawsze w przypadku Korwin-Mikkego – zrzucić na karb jego politycznej ekstrawagancji czy znanej od lat obsesji na punkcie socjalizmu. Jednak jego poglądy – uznawane zwykle za marginalne – rezonują, i to w coraz bardziej zadziwiających miejscach. Kilkanaście dni temu w podobnym tonie wypowiedział się np. Paweł Lisicki, red. naczelny tygodnika „Do Rzeczy", który zasugerował, że w wojnie Rosji z Zachodem nie można jednoznacznie mówić, kto jest dobry, a kto zły. Bo przecież Zachód – to już moje słowa – jest coraz bardziej zgniły, socjalistyczny i stoi na krawędzi upadku.

> W związku z wojną na Ukrainie i zagrożeniem bezpieczeństwa Polski każde działanie polityczne należy dzisiaj oceniać pod kątem jego zgodności bądź rozbieżności z interesami Moskwy

O ile ze słowami o chorym Zachodzie mogłaby się zapewne zgodzić większa część umownie rozumianej prawicowej opinii publicznej, o tyle z sugestią, że ten Zachód jest równie zły co Rosja, nikt, kto ma szacunek do podstawowych faktów, zgodzić się zdecydowanie nie może. Tym bardziej że jeśli ten chory Zachód upadnie, Polska znajdzie się w orbicie Moskwy. W naszym egzystencjalnym interesie nie jest więc bezradne kontestowanie Zachodu, lecz takie wzmocnienie państwa polskiego, by w ramach tegoż Zachodu potrafiło ono uzyskać podmiotowy status. Czyli dokładnie taki kurs, jaki próbuje dziś prowadzić rząd PiS. Próba kontestowania takiej polityki zwłaszcza po prawej stronie musi prowadzić na intelektualne i polityczne manowce. Nie mówiąc już o tym, że jest po prostu groźna.

No, chyba że ktoś naprawdę uważa, że zagrożenie ze Wschodu jest nieważne. Bo sen z powiek spędza mu zgniły Zachód albo – jak w przypadku Tuska – rządy PiS. Na jedno zresztą wychodzi.

eprasa.pl 89c74f1c09

Profesor w oku cyklonu

Książka Wojciecha Roszkowskiego „Historia i teraźniejszość" już stała się hitem wydawniczym, a to z powodu medialnej burzy, która wybuchła po jej publikacji

GRZEGORZ GÓRNY

Pisząc nowy podręcznik dla liceów i techników, prof. Wojciech Roszkowski nie przypuszczał zapewne, jaką awanturę wywoła swoją publikacją. Książka powstała z myślą o przedmiocie, który zostanie wprowadzony do programu nauczania szkół średnich od 1 września i nazywa się historia i teraźniejszość.

Decyzję ministra Przemysława Czarnka poprzedziły badania mówiące o rażącej niewiedzy na temat najnowszych dziejów Polski i świata wśród dzisiejszych nastolatków. Przykładów tego można wskazać bez liku. Osobiście byłem świadkiem sytuacji, w której żaden z kilkunastu maturzystów nie potrafił odpowiedzieć, kim był Lech Wałęsa i czym była Solidarność. Dopytując młodzież, dowiadywałem się, że trzykrotnie (w podstawówce, gimnazjum i liceum) obszernie i szczegółowo omawiała historię starożytną, z kolei trzykrotnie pod koniec roku szkolnego nie miała już czasu, by zapoznać się z historią XX w. Najczęściej edukacja kończyła się na 1945 r.

POŻYTKI Z HISTORII

Historia w szkołach jest traktowana jak przedmiot, który dotyczy jedynie przeszłości i nie ma żadnego związku z dniem dzisiejszym. Liczne wypowiedzi polityków, postulujących ograniczenie liczby lekcji historii na rzecz innych zajęć, były uzasadniane właśnie taką argumentacją: niech młodzież uczy się tego, co jest aktualne i dziś potrzebne, a nie zagłębia się w jakieś zamierzchłe dzieje, z czego i tak nic nie wynika.

Historia ma jednak nierozerwalny związek ze współczesnością, ponieważ właśnie z historii wyrasta nasza współczesność. Nie znając własnej przeszłości, zwłaszcza tej najnowszej, ryzykujemy, że nie będziemy w stanie zrozumieć sami siebie. I to w wymiarze zarówno jednostkowym, jak i wspólnotowym. Jeśli nauczanie historii w szkołach kończy się na 1945 r., oznacza to, że młodzież nie dowiaduje się niczego o rządach komunistycznych w Polsce, a przecież bez tej wiedzy nie sposób zrozumieć naszej dzisiejszej sytuacji politycznej, gospodarczej, międzynarodowej itd.

W tym sensie samo stworzenie przedmiotu historia i teraźniejszość jest próbą wypełnienia luki w świadomości współczesnych nastolatków, poszerzeniem ich horyzontów myślowych, pomocą w zrozumieniu otaczającej ich rzeczywistości. Znajomość przeszłości pomaga niekiedy unikać błędów, które popełniali nasi przodkowie. Ich doświadczenie okazuje się dla nas lekcją. Jak mówił amerykański filozof George Santayana: „Ten, kto nie pamięta przeszłości, będzie skazany na to, że ją przeżyje powtórnie".

HISTORIA JAKO FUNDAMENT

Chodzi jednak o coś więcej. Jak pisze współczesny hiszpański pisarz Juan Manuel de Prada: „Tylko wiedza o przeszłości pozwala nam całościowo

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl 89c74f1c09

spojrzeć na teraźniejszość. Kiedy ta wiedza o przeszłości zostaje zmieciona, obecna rzeczywistość staje się olśniewającą karuzelą. Kiedy ignorujemy naszą genealogię kulturową, stajemy się bezradnymi istotami wyrzuconymi na zewnątrz, a nasza kruchość, nasze oszołomienie w obliczu świata, którego nie możemy zrozumieć, sprawia, że łatwiej nami manipulować. Nie da się pogłębić wiedzy o rzeczywistości, nie da się nawiązać całościowego kontaktu z tą rzeczywistością bez podstaw, które dadzą nam wyobrażenie o jej znaczeniu. A tych podstaw dostarcza humanistyka – historia, łacina, filozofia nie są jedynie ozdobami edukacyjnymi: są sercem edukacji. Kiedy to jądro zostaje opróżnione, rzeczywistość, do której należymy, rzeczywistość, z której pochodzimy, staje się niezrozumiała, a my, odłączeni od tej rzeczywistości, stajemy się atomami zagubionymi w bezmiarze pustki, której nie może wypełnić inna wiedza uzupełniająca, a tym bardziej sztuczne dyscypliny, pomyślane jako jednoznaczne projekty indoktrynujące".

Jak zauważa Juan Manuel de Prada, jeśli ludziom odbiera się możliwość rozpoznawania sensu świata w oparciu o wiedzę wynikającą ze znajomości historii, podstaw klasycznej filozofii czy prawa naturalnego, to znacznie prościej jest im zaszczepić nowe ideologie: „Tych, którzy ignorują historię, znacznie łatwiej jest uśpić legendami. Tych, którzy nie są świadomi nurtów filozoficznych, które umożliwiły ukształtowanie się obecnego stanu ludzkości, znacznie łatwiej jest nasycić nowymi paradygmatami kulturowymi. I wreszcie jeśli komuś została odebrana możliwość budowania wizji świata na fundamentach dostarczonych przez humanistykę, to bardziej prawdopodobne staje się uczynienie go ofiarą »towarowej homologacji« typowej dla każdej epoki. Edukacja, która zamyka się na humanistykę, to edukacja wywłaszczająca, która skazuje tych, którzy powinni być panami świata, na los rozbitków, rzuconych w wir tysiąca zewnętrznych sił – trendów, mód, inercji – których wspólnym mianownikiem jest alienacja".

POLITYCY KONTRA HISTORYK

Prof. Wojciech Roszkowski jak mało kto nadawał się do napisania podręcznika z nowego przedmiotu. Wybitny historyk, imponujący różnorodnością zainteresowań, był nie tylko autorem wydanych w podziemiu pod pseudonimem Andrzej Albert osławionych dziejów najnowszych Polski, lecz również publikował książki o narodzinach naszej cywilizacji czy kryzysie współczesnego Zachodu. Miał też doświadczenie pisania podręczników do historii, ponieważ po upadku komunizmu stworzył ich cały cykl wspólnie z Anną Radziwiłł.

W swojej nowej książce, opowiadającej o latach 1945–1979, prof. Roszkowski starał się pokazać, jak różne procesy i wydarzenia z najnowszej historii wpływają na naszą teraźniejszość. Wielką jego zasługą jest nie tylko umiejętność dokonania wnikliwej syntezy prezentowanego materiału, lecz także dostrzeżenie (pomijanego raczej do tej pory w edukacji szkolnej) wpływu trendów cywilizacyjnych, kulturowych i obyczajowych na kształtowanie społeczeństw. Od pierwszej strony widać, że autor traktuje swoich nastoletnich czytelników poważnie, nie prowadząc ich za rączkę, lecz starając się zmusić do myślenia i zadając nieoczywiste pytania. Z tego powodu praca na etapie wydawniczym doczekała się pozytywnych recenzji.

Gdy jednak ukazała się drukiem, wybuchła medialna burza. Wiedli w niej prym politycy, którzy nagle dali się poznać jako eksperci w sprawach historycznych. Sądząc po ich wypowiedziach, raczej nie czytali książki, opierając się na przeinaczonych lub wyrwanych z kontekstu cytatach. Autorowi zarzucano m.in., że przemilcza rolę kobiet w dziejach, pomniejsza znaczenie ONZ-owskiej Deklaracji praw człowieka, ulega antyniemieckiej fobii, za dużo mówi o roli Kościoła czy niepotrzebnie wspomina o katastrofie smoleńskiej jako największej tragedii, która spotkała naród polski po II wojnie światowej.

Co ciekawe, takie głosy padały głównie z ust polityków, którzy do tej pory głosili, żeby historię zostawić historykom, politycy zaś nie powinni się do niej wtrącać. Kiedy jednak historyk napisał książkę, sami (wbrew swoim deklaracjom) zaczęli wtrącać się do historii. Powód tej sprzeczności jest prosty: wizja zaprezentowana przez autora w jego pracy okazała się niezgodna z ich interesem politycznym. Nauka ma jednak to do siebie, że powinna się wznosić ponad doraźne interesy i gry polityczne.

W Polsce, gdzie w systemie oświaty nie istnieje – tak jak w wielu krajach zachodnich – oficjalne rozróżnienie między „science" i „humanities", wiele osób traktuje identycznie nauki ścisłe i humanistyczne. Tymczasem te drugie rządzą się swoimi prawami, które dopuszczają odmienne interpretacje i punkty widzenia wydarzeń z przeszłości. Nieprzypadkowo mówi się o różnych szkołach historycznych. W swojej książce prof. Roszkowski nie tylko rzetelnie przedstawił fakty z niedawnej przeszłości, ale także skorzystał z przysługującego mu prawa, a nawet obowiązku zaprezentowania własnej oceny opisywanych postaci, wydarzeń i zjawisk. To elementarna zasada w naukach humanistycznych.

Pod wpływem nacisku ze środowisk lewicowo-liberalnych wydawnictwo Biały Kruk zdecydowało się jednak usunąć najbardziej atakowany fragment podręcznika mówiący o „sferze płodności jako produkcji ludzi, można powiedzieć – hodowli". Autorowi, który pytał, „kto będzie kochał wyprodukowane w ten sposób dzieci", zarzucono, iż obraża w ten sposób osoby poczęte metodą in vitro. W książce nie pada jednak określenie „in vitro", a powyższe zdania z powodzeniem odnieść można do powstających „klinik projektowania dzieci" czy praktyki surogacji, surowo zakazanej w większości krajów Europy Zachodniej. Szkoda, że zamiast dyskusji na ten temat zdecydowano się na zabieg cenzorski, bo jest naprawdę nad czym debatować.

eprasa.pl 89c74f1c09

Życie bez granic

Czy gwiazdom w Polsce wolno więcej niż zwykłym obywatelom, czy może tylko im się tak wydaje? Z czego wynikają tak częste wśród „znanych" i „lubianych" skandale związane z jazdą po alkoholu czy łamaniem prawa w inny sposób? A może po prostu tzw. elity są takie jak społeczeństwo?

DOROTA ŁOSIEWICZ

To miał być pracowity sierpień dla Beaty Kozidrak i zespołu Bajm. Poza koncertami w Polsce zaplanowano dwa w USA – w Chicago i w Nowym Jorku. Niestety, koncerty się nie odbyły. Zdaniem jednego z tabloidów wszystko z powodu problemów z prawem piosenkarki w Polsce. Artystka najprawdopodobniej nie została wpuszczona na teren Stanów Zjednoczonych. Przypomnijmy, że Beata Kozidrak na początku września 2021 r. wywołała skandal, urządzając pijacki rajd po ulicach Warszawy. Artystka za złamanie prawa odpowiedziała przed sądem. Zasądzono jej grzywnę w wysokości 50 tys. zł, a także 20 tys. zł na rzecz funduszu postpenitencjarnego i pięcioletni zakaz prowadzenia pojazdów. Kozidrak po całym incydencie biła się w pierś i w oświadczeniu na Instagramie przepraszała za swoje zachowanie, a niedawno wróciła na scenę.

– To, że celebryci tak często mają problemy z prawem, wynika z poczucia, że wolno im więcej. „Mogę, bo jestem bogiem" – myślą sobie. To chore podejście. Kiedyś nie było celebrytów, byli artyści, ludzie na poziomie, którzy zdawali sobie sprawę z pewnych rzeczy – mówi mi Rafał Podraza, dziennikarz, poeta, autor tekstów piosenek, cioteczny wnuk Magdaleny Samozwaniec. – Dziś celebrytą może zostać każdy, kto wyprodukuje filmik na YouTube'a. To już pozwala takiej osobie sądzić, że jest gwiazdą. Tymczasem celebrytom brakuje obycia, ogłady i dlatego tak łatwo u nich o samozachwyt. Kiedyś artyści mieli klasę, której brakuje dzisiejszym celebrytom, którzy są znani tylko przez kilka chwil. Większą klasę mają ci, którzy sławę zdobyli na dłużej. No, chyba że tak jak Beata Kizidrak zbyt mocno uwierzą w swój geniusz. Poza tym w Polsce panuje delikatne przyzwolenie na wyskoki gwiazd – dodaje Podraza.

Lista celebrytów, którzy w ostatnich latach prowadzili auto, będąc w stanie upojenia alkoholowego, jest dość długa. Są na niej m.in.: Joanna Liszowska, Katarzyna Figura, Tomasz Stockinger, Daniel Olbrychski czy Renata Dancewicz.

– Jeśli chodzi o przestrzeganie prawa, to gwiazdy uważają, że im wolno więcej. Dzieje się tak głównie dlatego, że ze względu na swoje znajomości i kontakty są traktowane przez sądy jak święte krowy – uważa Wiktor Świetlik, były szef jednego z działów „Faktu", były dyrektor radiowej Trójki oraz wieloletni felietonista „Super Expressu". – Ogólnie w dzisiejszych czasach tzw. celebryci, czyli ludzie znani i lubiani, zastępują dawną arystokrację. Uważają, że są poza normami, mogą więcej niż reszta społeczeństwa. Poza tym sława stała się dziś fetyszem, czego dowodem niech będą media społecznościowe, Instgram itp. Osobom sławnym i znanym przypisuje się różne przymioty, które niekoniecznie te osoby mają. Pojawia się przekonanie, że celebryta jest mądry, zna się na wszystkim. Tymczasem wybitny aktor wcale nie musi znać się na polityce i przeważnie się nie zna – dodaje Świetlik.

PODATKI? JA NIE PŁACĘ!

Gwiazda stacji TVN Piotr Kraśko reperuje właśnie swoje zdrowie po tym, jak okazało się, że prowadził samochód bez ważnego prawa jazdy. Co więcej, dokumenty zostały mu sądownie zabrane w 2014 r. Latami więc dziennikarz prowadził samochód bez uprawnień. Gdy już wydawało się, że włos mu z głowy nie spadnie, wyszło na jaw, że gwiazdor przez cztery lata nie płacił podatków. Wydało się to, gdy uszczelniono system. W 2017 r. kontrolerzy skarbówki zwrócili uwagę na brak corocznych zeznań PIT.

– Celebryci i inne osoby rozpoznawalne, znaczące w społeczeństwie, cierpią na coś, co można nazwać chorobą nieomylności. Są przekonane, że zawsze mają rację, z góry zakładają własną wszechwiedzę, którą gwarantuje pozycja. Ten problem nie dotyczy oczywiście wszystkich, tylko pewnej grupy gwiazd, która nie podejmuje refleksji nad ewentualnym przekraczaniem granic – tłumaczy mechanizm Sabina Zalewska, psychoterapeutka z poradni Dewajtis. – Poza tym gwiazdy dopada też syndrom podobny do tego, na który cierpią sędziowie, którzy czują się ponad prawem. Tę wąską granicę przekracza się powoli. Jeśli raz ktoś złamał prawo i nic się nie wydarzyło, nie spotkały tej osoby żadne następstwa, to wówczas posuwa się dalej – dodaje Zalewska. – Jeśli ktoś nie ponosi konsekwencji, wów-

Fot. Jacek Kurnikowski / AKPA (2), Krzemiński Jordan / AKPA

eprasa.pl 89c74f1c09

czas na więcej sobie pozwala. To trochę jak z wsadzaniem stopy między drzwi. Sprawdza się w ten sposób, jak szeroko można tą stopą otworzyć drzwi. Problem tkwi nie tylko w osobie, która pakuje stopę między drzwi, ale także w środowisku i społeczności, która na to zezwala. Im przyzwolenie społeczne jest większe, tym bardziej dana osoba tłumaczy sobie, że przecież nic nie zrobiła. Przypomnijmy sobie historię Polańskiego. Sytuacja jasna – karalny stosunek z nieletnią. Zaraz jednak pojawiają się środowiska, które sytuację próbują rozmydlić, wytłumaczyć, przenieść winę z dorosłego na dziecko – mówi psychoterapeutka.

RASA PANÓW?

Tomaszowi Lisowi, przez lata jednemu z czołowych dziennikarzy w Polsce, dziś zostało głównie wypisywanie zgryźliwych komentarzy na Twitterze. Jego kariera prysła, gdy stracił posadę naczelnego „Newsweeka", a potem na światło dzienne wypłynęło wieloletnie dręczenie podwładnych i co najmniej nieprzyzwoite zachowania wobec współpracownic.

Przez chwilę wydawało się też, że prysła gwiazda innego dziennikarza – Piotra Najsztuba. W październiku 2017 r., jadąc chevroletem bez aktualnych badań technicznych i ubezpieczenia, potrącił na pasach 77-letnią kobietę. Jakby tego było mało, okazało się, że dziennikarz nie miał prawa kierować jakimkolwiek pojazdem, bo dziewięć lat wcześniej stracił prawo jazdy za przekroczenie limitu punktów karnych. Najsztub stanął przed sądem i usłyszał zarzut nieumyślnego spowodowania wypadku drogowego, w którym osoba trzecia odniosła obrażenia. Proces trwał kilka miesięcy, a Najsztub został uznany winnym zarzucanego mu czynu i skazany na grzywnę oraz wypłacenie poszkodowanej rekompensaty i pokrycie kosztów procesu. Jednak Sąd Rejonowy w Piasecznie ponownie przeprowadził cały proces i uniewinnił dziennikarza. Prokuratura apelowała, ale Sąd Okręgowy w Warszawie podtrzymał tę decyzję w mocy. Ostatnio ten sam dziennikarz na antenie radia TOK FM zachęcał do agresji wobec polityków: „Ja bym się nie zdziwił, gdyby Donald Tusk podszedł do Morawieckiego i dał mu w pysk po prostu. Tak po ludzku, co się Morawieckiemu należy za nieustanne kłamstwa i szczucie" – mówił w radiu Najsztub.

Swoją teorię na temat tego, dlaczego dziennikarzom wolno więcej, ogłosił w oświadczeniu dotyczącym Tomasza Lisa Jacek Żakowski, publicysta „Polityki" i radia TOK FM. „Istotny jest wątek pokoleniowy. Kiedy wchodziłem do tego zawodu, to tzw. prawdziwy dziennikarz musiał dużo palić, pić, kląć i podrywać. To było logo naszej niezależności i nonkonformizmu w późnym PRL, kiedy zaczynałem, w podziemiu i w młodej III RP, kiedy nowa klasa odkryła białe skarpetki do garniturów i czarnych mokasynów. Byliśmy twardzi, by bronić swojej niezależności. Rozmawialiśmy twardo, by bronić swoich racji. Z natury zawodu mogliśmy być albo łajdakami, albo buntownikami. Buntownicy nie nosili krawatów i nie mówili »ąę«. A permanentne napięcie rozładowywali za pomocą tzw. ryzykownych zachowań. Dlatego średnia długość życia dziennikarza była tradycyjnie dużo niższa od średniej krajowej. Po cichu byliśmy z tego dumni. Spalaliśmy się świadomie. [...] Po to się spalaliśmy, żeby następni nie musieli. Sprawa Tomasza Lisa pokazuje, że zaszło to za daleko. Zwłaszcza że – jak wszyscy wiemy – wśród gwiazd były dużo gorsze przypadki drapieżników, których sobie hodowaliśmy zbiorowo, pozwalając na przekraczanie granic. Żadne prawo, żadna najlepiej rządzona korporacja, żadna instytucja nie poradzi sobie z drapieżnikami, jeżeli my będziemy ich rozbestwiali, milcząc i latami tłamsząc w sobie złość, jak to opisała WP w tekście o »Newsweeku«" – napisał Żakowski.

Dziennikarka Kinga Hałacińska uważa, że częste problemy

pl 89c74f1c09

gwiazd mają jeszcze głębsze źródło. – Ci ludzie w większości sami doszli do tego, co mają, i są powszechnie uważani za ludzi sukcesu. Sukcesu mierzonego dużymi zarobkami, popularnością i obracaniem się w kręgach innych znanych osób. Wydaje się im, że z tej puli nie można wypaść. Być może, gdyby mieli w sobie pokorę, to nie zaszliby tak daleko. Jednak sukces ma też i ciemną stronę. Stres zabija się alkoholem i potem już trudno przestać. Łamanie przepisów to inna sprawa. Każde przestępstwo popełnione przez znaną osobę od razu trafia do prasy. Trudno potem takiej gwieździe być twarzą kampanii reklamowej – uważa Hałacińska.

WYJŚĆ Z TWARZĄ

No właśnie. Przeważnie publiczne życie gwiazdy nie kończy się w momencie wybuchu afery. Całe sztaby fachowców pracują nad tym, by dana osoba wyszła z twarzą po skandalu. – To prawda, że gwiazdy żyją w przekonaniu, że można im więcej. Jednak gdy historia o tym, że żyją tak, jakby im było wolno więcej, ujrzy światło dzienne, wówczas trzeba cztery razy więcej zapłacić za PR kryzysowy i to już jest mało opłacalne. A PR kryzysowy potrzebny jest po to, żeby fachowiec wyciągnął cię z g..., w które sam się wpędziłeś – mówi mi osoba odpowiadająca za PR gwiazd, która pragnie zachować anonimowość. I tłumaczy, jak wychodzi się z kryzysu wizerunkowego.

– Gwiazda spotyka się z PR-owcem, który przeważnie jest byłym dziennikarzem i ma liczne znajomości w środowisku dziennikarskim. Na takim spotkaniu celebryta musi powiedzieć wszystko jak na spowiedzi, jaka jest prawda o zaistniałej sytuacji. PR-owiec musi prześledzić wszystkie media, społecznościówki, wirale, które powstały z syfu, w który wpędziła się gwiazda. Trzeba to przeanalizować i znaleźć najlepszy sposób na ocieplenie wizerunku – tłumaczy ekspert, który z tarapatów wyciągnął dziesiątki gwiazd. – Pierwszy sposób to nowa miłość. Z tego rozwiązania skorzystał np. ostatnio Tomasz Lis. Dalej mamy dzieci, chorą mamę czy chorobę własną. Choroba to remedium na wszystko! „Leży w szpitalu", „opiekują się nim", „drżą o jego życie", „mdleje" – wylicza ratunkowe tytuły. – Piotr Kraśko? Leży w szpitalu! Śp. Kamil Durczok po wybuchu afery też poszedł do szpitala, a wcześniej wynajął zaprzyjaźnioną agencję PR, która należała do żony jego kolegi z „Faktów", też śp. Marcina Pawłowskiego. Antek Królikowski po awanturze z Joanną Opozdą ujawnił, że cierpi na stwardnienie rozsiane – słyszę. – Wszystko po to, by wzbudzić w ludziach emocje, empatię. Trzeba sprawić, by fanom pracował płat czołowy i neurony lustrzane. A jak ktoś zrobi coś złego, to musi zareagować natychmiast i przeprosić, powiedzieć: „Biję się w piersi", „Źle zrobiłem", „Nie ma wytłumaczenia dla mojego zachowania". O ile ktoś faktycznie chce wyjść z kryzysu. Beata Kozidrak dość szybko wydała oświadczenie, ale powinna to zrobić w godzinę czy dwie po wypłynięciu sprawy do mediów. Spójrzmy na Dodę, która co i rusz ma jakiś kryzys wizerunkowy. Największym szacunkiem społecznym cieszyła się wtedy, gdy pomagała choremu na białaczkę Nergalowi. On później okazał się złem wcielonym, rzucił ją po tym, jak mu pomogła, ale wtedy Dodę kochała cała Polska! – opowiada PR-owiec. – No i w zarządzaniu kryzysowym nieoceniona jest dzielna żona, która mimo trudności trwa przy boku męża.

> To, że celebryci tak często mają problemy z prawem, wynika z poczucia, że wolno im więcej. „Mogę, bo jestem bogiem" – myślą sobie – mówi Rafał Podraza, dziennikarz, poeta, autor tekstów piosenek, cioteczny wnuk Magdaleny Samozwaniec

Ekspert wymienia jeszcze jeden sposób na podreperowanie zszarganego wizerunku. – To już nieco zapomniana metoda, ale jeszcze parę lat temu remedium na kryzys wizerunkowy była książka. Weronika Marczuk od razu napisała książkę „Być jak agent", Kamil Durczok też napisał książkę. Potem te książki są na wyprzedażach w supermarketach w wielkich koszach – śmieje się PR-owiec.

Jednak zapytany, czy z obecnych kłopotów wyjdzie jeszcze Tomasz Lis i wróci do dziennikarstwa, zamyśla się: – Tomasz Lis natychmiast rozpoczął ocieplanie wizerunku nową miłością, ale on już chyba zdał sobie sprawę, że to koniec jego kariery. Proszę jednak zobaczyć, jak silna to osobowość, jak bardzo terroryzuje swoje otoczenia, skoro Hanna Lis tak długo nawet nie pisnęła słowem o rozwodzie, mimo że od dawna mieszkali osobno. Ludzie wokół Lisa z powodu jego charakteru wolą po prostu milczeć. Tomasz Lis jest już jednak tak mocno przeczołgany zdrowotnie, że on się 10 razy zastanowi, zanim znów wejdzie do mainstreamu i zacznie wzbudzać silne emocje. On już jest naprawdę chory. I to nie jest zarządzanie kryzysowe – kończy ekspert.

Dlaczego Polacy tak chętnie wybaczają gwiazdom ich wyskoki?

– Nie wiem, czy pod względem bycia na bakier z prawem celebryci są bardziej zdemoralizowani niż reszta społeczeństwa. To są przywary powszechne, Polacy łamią prawo, jeżdżą po alkoholu itd. – zauważa Wiktor Świetlik.

– Reprezentantów w Sejmie mamy takich, jacy sami jesteśmy. Podobnie jest z elitami i gwiazdami. Są takie, jakie sobie wypracowaliśmy – tłumaczył mi kilka miesięcy temu Grzegorz Jankowski, były redaktor naczelny „Faktu", dziś dziennikarz Polsat News. – Wszelkie gafy, wpadki i kompromitacje wybaczamy dlatego, bo wiemy, że nam też może się coś takiego przydarzyć. W Polsce każdego dnia setki osób wsiadają za kierownicę po alkoholu, to się zdarza w każdej grupie społecznej i zawodowej, tak samo dotyczy robotników, inżynierów, lekarzy. Dotyczy też gwiazd. Jest coś w rodzaju społecznego przyzwolenia na tego rodzaju zachowania – uważa Jankowski.

I w tym przypadku nie można powiedzieć o zakończeniu optymistycznym akcentem. Naprawdę jest z nami tak źle?

Reklama | 10/0622/F

eprasa.pl 89c74f1c09

Enea

Fotowoltaika+

Wybieralscy wybierają ofertę Fotowoltaika+ dla domu i firmy!

Wybieraj i łącz produkty, by dzięki fotowoltaice i ekourządzeniom

wytwarzać **gromadzić** **wykorzystywać**

energię na własne potrzeby. Dom mądrze po(d)łączony to możliwość zysków dla całej rodziny. Podłącz się, łącz możliwości i korzystaj.

enea.pl/fotowoltaikaplus
infolinia: 611 111 111

eprasa.pl 89c74f1c09

Wychodzą z mroku niepamięci

3 września w Mielcu zostanie odsłonięty pomnik Żołnierzy Niezłomnych. Największy w Polsce. Powstał jako inicjatywa społeczna kosztem ok. 1 mln zł

JAROMIR KWIATKOWSKI

Chodziło o wydobycie z mroku niepamięci ludzi, którzy w ciężkich powojennych warunkach podjęli walkę z okupantem sowieckim i jego namiestnikami w Polsce oraz oddali życie za wolność ojczyzny – wyjaśnia Romuald Rzeszutek, wiceprezes mieleckiego stowarzyszenia Klub Historyczny „Prawda i Pamięć", inicjator i koordynator budowy tego upamiętnienia.

POMNIK PEŁNY SYMBOLI

Monument stanął na terenie parku leśnego Góra Cyranowska. Uchwała rady miasta w tej sprawie została podjęta w 2016 r. W 2018 r. p.o. prezydent Fryderyk Kapinos (dziś poseł PiS) wskazał jego konkretną lokalizację.

Pomnik powstał według pomysłu Romualda Rzeszutka. Wykonaniem zajął się artysta rzeźbiarz Józef Opala. W jego centralnej części stoi pięciometrowa kolumna z granitu, nazwana Drzewem Życia, która ma przypominać trudne losy naszego narodu. Na jej zwieńczeniu znajduje się odlany z brązu orzeł w zamkniętej koronie z krzyżem. Końcówka prawego skrzydła jest urwana, co symbolizuje utraconą bezpowrotnie w czasie wojny i po niej elitę polskiego państwa. W sercu kolumny został umieszczony ryngraf z wizerunkiem Matki Bożej Częstochowskiej, patronki Żołnierzy Niezłomnych. Przed podstawą pomnika znajdują się reliefy największych organizacji podziemnych – NSZ, AK i WiN.

Elementem składowym pomnika jest 12 figur odlanych z brązu. Trzy z nich to tzw. Trójka Niezłomnych (płk Aleksander Rusin „Rusal", mjr Hieronim Dekutowski „Zapora" i chor. Wojciech Lis „Mściciel"). Pozostałe to dziewięcioosobowy Korowód Cieni (płk Łukasz Ciepliński „Pług", Janina Przysiężniak „Jaga", podkarpacka „Inka", por. Leon Wanatowicz „Boruta", rtm. Witold Pilecki, ks. Władysław Gurgacz „Sem", Walerian Tumanowicz „Jagodziński", gen. August Emil Fieldorf „Nil", ppor. Anatol Radziwonik „Olech" i Dragan Sotirović „Draża"). To – jak podkreśla Rzeszutek – reprezentatywny wybór przedstawicieli różnych środowisk antykomunistycznej konspiracji.

Kolejne elementy pomnika to tablica epitafijna i alegoria powązkowskiej Łączki.

Z MOTYKĄ NA SŁOŃCE

Dla Romualda Rzeszutka budowa monumentu to było ponad pięć lat ciężkiej pracy. Także medialnej, gdyż należało dobrze ideę pomnika rozpropagować. Robił to skutecznie: w internecie, prasie, radiu, telewizji. I w podróżach. – Na pewno odbywało się to kosztem moich bliskich, ale rodzina była wyrozumiała – śmieje się Rzeszutek. I dodaje: – Najbardziej obawiałem się strony formalnoprawnej, tych wszystkich pozwoleń na budowę, ale okazało się, że przeszliśmy tę biurokratyczną ścieżkę sprawnie, nikt nam nie robił trudności.

Później, gdy ruszyły już prace przy fundamentach, pojawiła się grupka niezadowolonych, którzy zaczęli kontestować decyzję o lokalizacji pomnika, podnosząc m.in. argument, że Góra Cyranowska jest dla mielczan miejscem rekreacji. – Było to małe, ale krzykliwe grono osób, które uważa, że ciepła woda w kranie jest ważniejsza od pamięci o bohaterach. Pisali apele do urzędu miasta i różnych instytucji, donosy. Usiłowali przeszkadzać, ale im się nie udało. Trwało to kilkanaście miesięcy – podkreśla Rzeszutek.

Kluczową kwestią było zebranie odpowiednich środków finansowych. Piotr Piszczkiewicz – odlewnik z Niepołomic, który zrobił pierwszy element pomnika, ryngraf – na początku określił koszt budowy pomnika na poziomie zbliżonym do rzeczywistego. Rzeszutek, nieco zaskoczony jego wysokością, by obniżyć koszty, uparł się, że kolumna główna będzie wykonana nie z brązu, lecz z granitu. – Wtedy wydawało się, że pomnik będzie kosztował 350–500 tys. zł – przyznaje. Pamięta spotkanie w domu Józefa Opali, podczas którego Piszczkiewicz zapytał, ile ma zgromadzonych pieniędzy. Rzeszutek odpowiedział, że... kilka tysięcy złotych. – To pan się porywa z motyką na słońce – stwierdził odlewnik. Jednak rzeźbiarz był optymistą: – Ja wierzę, że pan Romek zbierze, ile trzeba.

Zaczęło się więc poszukiwanie pieniędzy. Komitet budowy pomnika przyjął dwie zasady: po pierwsze, nie będzie obciążał budżetu miasta, żeby ktoś później mu nie zarzucił, że można było za te pieniądze wybudować przedszkole czy kawałek chodnika. Po drugie, kolejne elementy monumentu będą wykonywane dopiero wtedy, gdy będą na nie zabezpieczone pieniądze. – Z artystą i z kolegami z komitetu uznaliśmy, że jeżeli uda nam się postawić kolumnę z orłem i trzy figury, to już będzie ogromny sukces – podkreśla Rzeszutek. Zebrano pieniądze na 12 figur.

WDOWI GROSZ I DUŻE WPŁATY

Koszt pomnika zamknie się kwotą ok. 1 mln zł, nie licząc darowizn w formie usług dźwigowych, ponad 30-tonowego

eprasa.pl 89c74f1c09

Romuald Rzeszutek przed pomnikiem Żołnierzy Niezłomnych w Mielcu

Fot. Jarosław Kwiatkowski

bloku granitu czy pracy wolontariackiej wielu osób. Ok. 65 proc. zebranych środków, jak szacuje Rzeszutek, to był tzw. wdowi grosz. – Zaufało nam bardzo wielu Polaków, którzy wpłacali pieniądze na nasze konto – podkreśla. – A ponieważ jednym z pierwszych gotowych elementów był ryngraf Matki Bożej Częstochowskiej, wpadłem na pomysł, że wykonamy jego miniatury w formie cegiełki i że będziemy te ryngrafy ofiarować osobom, które wpłacą określoną kwotę. Przekazaliśmy ok. 1000 ryngrafów. Wszystkich podmiotów, tzn. osób prywatnych, ale także organizacji, firm czy fundacji, które wpłaciły na pomnik, było ok. 2 tys.

I tak: Kazimierz Rogala, właściciel Zakładu Obróbki Kamienia Budowlanego z Przyłęku koło Mielca, ofiarował ponad 30-tonowy blok granitu, a na dodatek w jego zakładzie ten granit został pocięty na mniejsze bloki. Miejskie Przedsiębiorstwo Gospodarki Komunalnej z Mielca wykonało fundamenty. Janusz Rydzowski, którego ojciec był jednym z ostatnich żołnierzy Wojciecha Lisa „Mściciela", na samym początku wpłacił pieniądze na odlew orła. Do orła dołożył się również Krzysztof Witkowski, prezes i właściciel firmy Bruk-Bet z Niecieczy, wpłacając pokaźną kwotę. Irena Szczecińska z Otocznej koło Wrześni systematycznie wspierała budowę pomnika dużymi kwotami. Wśród donatorów trzeba także wymienić ks. Zygmunta Srokę z Zawiercia, którego ojciec był żołnierzem niezłomnym w oddziale Stanisława Sojczyńskiego „Warszyca", Jadwigę Florek, córkę Wojciecha Lisa „Mściciela", oraz Romana i Edwarda Rusinów, synów płk. Aleksandra Rusina „Rusala". Dużą kwotę wpłacił Jacek Leszczyłowski z Warszawy, z którym Rzeszutkowi do dziś nie udało się nawiązać kontaktu. Jerzy Szmid, właściciel firmy Garmond Press, ufundował dwie figury, w tym Łukasza Cieplińskiego. Firma Impala z Mielca wykonała drobne roboty kamieniarskie. Do akcji włączyła się także Polonia z Kanady – Związek Narodowy Polski koło nr 1 z Toronto. Partnerem projektu przy powstaniu jednej z figur była Fundacja PZU. W istotny sposób budowę monumentu, zwłaszcza na końcowym etapie, wsparły także fundacje: Orlenu, Agencji Rozwoju Przemysłu, Polskiej Wytwórni Papierów Wartościowych i PKO BP. Biuro Upamiętniania Walk i Męczeństwa IPN w Warszawie ufundowało figury Wojciecha Lisa „Mściciela" i mjr. Hieronima Dekutowskiego „Zapory", a BUWiM w Rzeszowie – epitafium w formie tablicy. Dzięki kancelarii premiera w 80 proc. została wykonana figura gen. Emila Fieldorfa „Nila" oraz alegoria powązkowskiej Łączki. Niebagatelny ciężar sfinansowania uroczystości odsłonięcia pomnika wziął na siebie Urząd Marszałkowski Województwa Podkarpackiego. W organizację włączył się także Urząd ds. Kombatantów i Osób Represjonowanych.

Romuald Rzeszutek podkreśla, że chciałby podziękować członkom Komitetu Budowy Pomnika za ich owocną pracę oraz dziennikarzom – wznoszenie pomnika bez materiałów promujących projekt trwałoby znacznie dłużej.

MSZA, SPEKTAKL I KONCERT

Zaproszenia na uroczystość odsłonięcia pomnika zostały skierowane do prezydenta, premiera, ministra obrony narodowej, marszałka i wicemarszałka Sejmu oraz prezesa IPN. W uroczystości będą uczestniczyć przedstawiciele wielu środowisk patriotycznych, a przede wszystkim rodziny żołnierzy niezłomnych (swój udział zapowiedzieli m.in. Zofia Optułowicz-Pilecka i Andrzej Pilecki, córka i syn rtm. Witolda Pileckiego).

Uroczystość rozpocznie się o godz. 11 mszą św. w kościele Matki Boskiej Nieustającej Pomocy. Następnie uczestnicy przejdą pod pomnik. Część drugą, oficjalną, która odbędzie się w plenerze przy monumencie, zakończy spektakl artystyczny. Jego scenarzystą i reżyserem jest Krzysztof Fus, aktor, reżyser, pierwszy kaskader Rzeczypospolitej. Zwieńczeniem uroczystości będą występy Norberta Smolińskiego „Smoły", duetów: Barbara Tuzel-Górczewska i Leszek Czajkowski, Leszek Czajkowski i Paweł Piekarczyk, oraz Andrzeja Kołakowskiego, grupy Forteca i rapera Tadka Polkowskiego.

Można jeszcze wpłacać pieniądze na koszty organizacji uroczystego odsłonięcia pomnika. **Numer konta 92 1240 2656 1111 0010 70 31 5571**, wpłata z dopiskiem: darowizna na budowę pomnika w Mielcu, Stowarzyszenie Prawda i Pamięć, ul. Wojsławska 2d, Mielec.

eprasa.pl 89c74f1c09

Zamach, czyli wielopiętrowa intryga

W sprawie zabójstwa Darii Duginy, córki znanego rosyjskiego politologa Aleksandra, nic nie wiadomo na pewno. Prawdy zapewne się nie dowiemy, bo władze nie są zainteresowane jej dociekaniem

MAREK BUDZISZ

Po ujawnieniu zdjęć z panichidy, uroczystości żałobnej, którą zorganizowano w centrum telewizyjnym Ostankino, nie jest nawet pewne, czy to ona siedziała w samochodzie, który wybuchł, a następnie spłonął w wyniku eksplozji bomby przyczepionej w miejscu, gdzie siedzi kierowca. Można było na nich zobaczyć w otwartej trumnie ciało Darii, które mimo eksplozji trotylu i pożaru nie nosiło widocznych śladów obrażeń, a na kilku fotografiach z uroczystości widać uśmiechającego się Dugina. Trochę niecodzienne zachowanie jak na pogrzeb własnej córki.

FSB JAK BŁYSKAWICA

Rosjan zaskoczyło też tempo, w którym FSB udało się ustalić, że zamach na Duginę przeprowadziła Natalia Wowk, oczywiście członkini batalionu Azow, którego wzięci w Mariupolu do niewoli bojownicy mają być wkrótce sądzeni w inscenizowanym procesie publicznym. Wowk miała wjechać do Rosji samochodem mini cooper na numerach Donieckiej Republiki Ludowej, potem posługiwać się tablicami z Kazachstanu, a opuściła Rosję tym samym pojazdem, ale z ukraińską rejestracją. Rosyjskich komentatorów zdziwiło nie tylko to, że FSB ustaliło jej tożsamość już w dwa dni po eksplozji, podczas gdy zleceniodawców zabójstwa Borysa Niemcowa, znanego polityka opozycji, wicepremiera z czasów Jelcyna, nie udało się wytropić do tej pory, mimo że od jego śmierci upłynęło już 2733 dni. Ta nadzwyczajna sprawność rosyjskich służb specjalnych, które pokazały nawet filmy z granicy, zarówno przy wjeździe, jak i wyjeździe Wowk, raczej świadczy o tym, że od samego początku była ona obserwowana. Dlaczego zatem nie zapobieżono zamachowi?

Następnego dnia po eksplozji Iwan Żdanow z Fundacji do Walki z Korupcją zauważył, że opublikowane przez FSB zdjęcie samochodu, którym miała poruszać się zamachowczyni, są raczej dowodem na mistyfikację, a nie potwierdzeniem jej udziału. Natalia Wowk, wcześniej Szaban, miała w Moskwie poruszać się samochodem na kazachskich numerach. Tylko że jak napisał Żdanow, litery na tablicy rejestracyjnej tego pojazdu są inne niż używane w Kazachstanie. Niektórzy z komentatorów argumentowali, że „Photoshop

eprasa.pl 89c74f1c09

się napracował". Wkrótce potem okazało się, że ukraiński mini cooper, z tablicami, którymi miała posługiwać się zamachowczyni, od pewnego czasu jest wystawiony na sprzedaż przez Aleksandra Szabana, prawdopodobnie brata Natalii, w autokomisie. W tej informacji ciekawe jest i to, że o istnieniu samochodu, co pozwoliło FSB zidentyfikować osobę, która miała podłożyć bombę, napisała dziennikarka Olha Szarij, prywatnie żona prokremlowskiego blogera i ukraińskiego polityka Anatolija, który po wybuchu wojny uciekł z kraju i przebywa obecnie w Hiszpanii.

W rosyjskich niezależnych mediach pojawiły się też doniesienia, że Danił Wowk, mieszkaniec Mariupola, miał w 2014 r. organizować prorosyjskie referendum w Donbasie, a jego siostra Natalia prowadziła jeszcze w kwietniu niewielką firmę, mało więc wskazuje na to, by była nową Matą Hari, a tym bardziej, by należała od dawna do Azowa. Niejasne jest też to, dlaczego zamachowczyni, która przyjechała do Rosji z misją zgładzenia, jak się przypuszcza, Aleksandra Dugina, wzięła z sobą 12-letnią córkę. FSB dowodzi, że w charakterze przykrywki, ale takie ekstrawagancje rzadko zdarzają się w środowisku płatnych zabójców i agentów służb specjalnych.

W wersję o zorganizowaniu przez Kijów zamachu na Darię Duginę nie wierzy się nawet w niektórych rosyjskich oficjalnych mediach. W redakcyjnym komentarzu „Niezawisimaja Gazieta", której redaktor naczelny był w czasie ostatnich wyborów w Moskwie szefem komitetu poparcia Siergieja Sobianina, obecnego mera stolicy, wezwała rosyjskich śledczych sprawdzających ukraiński ślad, by zadbać o to, iżby „dochodzenie nie miało żadnych z góry ustalonych, pożądanych wytycznych".

ROZGRYWANIE KIJOWA

Władzom zależy na tym, by to Kijów w oczach światowej opinii publicznej uchodził za organizatora, a przynajmniej inicjatora zamachu. Pozwoliłoby to z jednej strony zdjąć odium z działań rosyjskich żołnierzy na Ukrainie, a z drugiej zniechęcić część liberalnej opinii publicznej państw Zachodu do opowiadania się za kontynuowaniem wsparcia dla Kijowa. Zapewne nieprzypadkowo zaraz po zamachu upubliczniono w Rosji fragment nagrania, na którym Aleksander Dugin razem z obecnym bliskim współpracownikiem prezydenta Zełenskiego Ołeksijem Arestowiczem powołują w 2005 r. Euroazjatycki Front Antypomarańczowy, organizację mającą wcielać w życie koncepcje rosyjskiego politologa. Chodzi zapewne o uprawdopodobnienie na Zachodzie narracji, że w otoczeniu prezydenta Ukrainy znajdują się faszyści. Ale nie tylko, bo jeśli w intrygę są zaangażowane rosyjskie służby specjalne, to ma ona zapewne wielopoziomową, piętrową strukturę. Nie chodzi tylko o oskarżenie Kijowa o inspirację zamachu.

Kolejnym szczeblem intrygi jest to, co dzieje się wokół największej europejskiej elektrowni atomowej w Zaporożu, zajętej jeszcze w marcu przez Rosjan. Teraz Moskwa oskarża Kijów o to, że ten ryzykuje nuklearną hekatombę, ostrzeliwując obiekt, a Wiaczesław Wołodin zwołał nawet posiedzenie kierownictwa Dumy Państwowej w tej sprawie, ściągając z urlopów szefów komisji i przewodniczących frakcji. Rosjanie twierdzą, że w wyniku ostrzałów ukraińskiej artylerii dojść może do rozszczelnienia zbiorników na odpady nuklearne, co jak powiedział Siergiej Mironow, szef klubu Sprawiedliwa Rosja, prywatnie uchodzący za przyjaciela Putina, doprowadzi do „katastrofy o wymiarze planetarnym".

Z kolei w Kijowie uważa się, że Rosjanie przygotowują operację pod fałszywą flagą i celowo mogą doprowadzić do wycieku radioaktywnych substancji po to, by przerazić sojuszników Ukrainy. Ci mogliby wzmóc presję na Zełenskiego, by doprowadzić do zakończenia wojny, a przynajmniej ogłoszenia rozejmu, na którym Moskwie zaczyna coraz bardziej zależeć. W rosyjskich mediach pojawiły się też deklaracje, iż Moskwa nie byłaby przeciw, gdyby teren elektrowni zdemilitaryzować i wprowadzić tam kontyngent sił pokojowych pod egidą ONZ. Mogłoby to być niebezpiecznym z ukraińskiego punktu widzenia precedensem, podważającym suwerenność Kijowa nad częścią kraju, a w dłuższej perspektywie stać się formułą zamrożenia wojny i utrzymania przez Rosjan kontroli nad okupowanymi terytoriami. Ale żeby ta prowokacja się udała, to trzeba najpierw przekonać świat, że Kijów nie cofnie się przed niczym i jest zdolny zarówno do prowadzenia wojny, ryzykując życiem niewinnych cywilów, o czym niedawno napisali rzekomo niezależni eksperci Amnesty International, albo będzie organizował zamachy terrorystyczne na bezbronne kobiety.

UDERZENIE W RADYKAŁÓW

Protodiakon Andriej Kurajew, znany w Rosji duszpasterz, powiedział w wywiadzie, że zamach na Darię Duginę, jest czymś w rodzaju „podpalenia Reichstagu lub, jeśli chcecie, zabójstwa Kirowa. To czyn, który powinien przerazić laika i tym samym dać władzom w jego imieniu wolną rękę, by uporządkować otoczenie. To znaczy otworzyć drogę do jeszcze większej dehumanizacji władzy niż do tej pory". W jego opinii głównym powodem, dla którego ktoś mógł zdecydować się na taki krok jak zamach na Duginę jest w tym przypadku sytuacja ze specjalną operacją na Ukrainie, która dziś przypomina walizkę z urwaną rączką – nieść trudno, ale wyrzucić szkoda. A to oznacza, że Kreml z coraz większą nerwowością szuka możliwości wyjścia z patowej sytuacji, zdając sobie sprawę, że nie osiągnie celów politycznych, które formułował w lutym. Tylko że propaganda cały czas działa, „Sołowjow i spółka nauczyli już ludzi, że Ukrainę jako taką należy zniszczyć – argumentuje Kurajew. – A tu okazuje się, że ta pozostaje – nie tylko niezdenazyfikowana i niezdemilitaryzowana, ale i napompowana zachodnią bronią". Trudno w takiej sytuacji w jego opinii mówić o zwycięstwie, ponadto niemało jest jeszcze w Rosji zwolenników kontynuowania wojny, jej ideologów, weteranów i wszelkiego rodzaju nacjonalistów. Mogą oni chcieć przechwycić transparent z napisem „wojna", wyrwać go z rąk Kremla i to zdaniem Kurajewa w te środowiska była wymierzona operacja zgładzenia Duginy, co miało być dla nich ostrzeżeniem, przestrogą.

DUGIN, MISTRZ AUTOREKLAMY

Paradoksem jest też to, że choć Aleksander Dugin uchodzi na Zachodzie za bliskiego współpracownika Putina, niemal jego politycznego guru, to w rzeczywistości nim nie jest. W kręgach rosyjskiej władzy jego śmierć mało kogo zapewne

Fot. Kirill KUDRYAVTSEV / AFP / EastNews

eprasa.pl 89c74f1c09

by obeszła, bo jak powiedział Fiodor Kraszennikow, politolog wspierający Nawalnego, który przed rokiem wyemigrował z Rosji, „tylko ludzie, którzy nic nie wiedzą o rosyjskiej polityce lub ufają temu, co Dugin sam o sobie pisze, mogą go nazwać ideologiem rosyjskiej polityki. Nigdy nie był on postacią wpływową, dobrze przyjmowaną przez Kreml czy Putina, jest za to mistrzem autoreklamy". Sam Dugin z rosyjskim prezydentem, jak mówił, „utrzymuje więź mistyczną". Rosyjskim władzom to jednak wystarczy, jak napisała Julia Łatynina, dziennikarka opozycyjna, iż jest on uważany na Zachodzie za ideologa putinizmu, którym nigdy nie był, bo atak na niego będzie odebrany w kategoriach niemal porównywanych z zamachem na prezydenta Federacji Rosyjskiej, ale jego zgładzenie nie naruszyłoby kruchej równowagi sił w obozie władzy.

Nawiasem mówiąc, w Rosji słuchać też głosy, że to nie Dugin, ale właśnie jego córka, sprawna organizatorka i dobrze prezentująca się w mediach młoda aktywistka, która pozowała na „rosyjską Marine Le Pen" była rzeczywistym celem zamachu i o pomyłce nie może być w tym wypadku mowy.

WALKA O SCHEDĘ PO PUTINIE

Przeprowadzony nieopodal podmoskiewskiej miejscowości Odincowo zamach na Darię Duginę mógł mieć też wymiar wewnętrzny i to kolejne piętro intrygi. Wiele wskazuje bowiem na to, że na szczytach władzy w Rosji już zaczęła się walka po schedę po Putinie. Andriej Percew, rosyjski niezależny dziennikarz specjalizujący się w analizowaniu sytuacji w rosyjskich elitach, uważa, że ostra rywalizacja już trwa. Niepowodzenia na wojnie obiektywnie osłabiają Putina i zachęcają do działania tych, którzy chcieliby się wzmocnić jego kosztem. Tylko, że Władimir Władimirowicz jest zbyt przebiegłym graczem, by na to pozwolić, i niewykluczone, iż postanowił uderzyć pierwszy, przejmując inicjatywę.

Jak zauważono, jednym z głównych organizatorów pogrzebu Duginy był Konstantin Małofiejew, rosyjski oligarcha, właściciel portalu i stacji telewizyjnej Cargrad, w którym pracowała córka politologa. On sam jest redaktorem naczelnym tego konserwatywnego kanału telewizyjnego. Małofiejew to objęty amerykańskimi sankcjami i dochodzeniem FBI w związku z podejrzeniami o obchodzenie sankcji, powiązany tysiącami nici z rosyjskimi służbami specjalnymi. W przeszłości współpracował w przygotowaniu nieudanego puczu prorosyjskiego w Czarnogórze, który miał zapobiec wstąpieniu tego państwa do NATO, a także penetrował greckie środowiska kościelne, co było wykorzystywane przez Moskwę w związku z ogłoszeniem za czasów Poroszenki autokefalii ukraińskiej Cerkwii prawosławnej. Jak się uważa, jest człowiekiem o dużych ambicjach politycznych, który chciałby stanąć na czele konserwatywnego skrzydła w rosyjskim obozie władzy.

> W Rosji słuchać też głosy, że to nie Dugin, ale właśnie jego córka, sprawna organizatorka i dobrze prezentująca się w mediach młoda aktywistka, która pozowała na „rosyjską Marine Le Pen", była rzeczywistym celem zamachu

A ostatnio bardzo zaktywizowała się w establishmencie Rosji umowna „partia wojny", która w związku z sytuacją na frontach wojny z Ukrainą postanowiła przejść do działania. Kilka dni przed zabójstwem Duginy patriotyczne kanały na platformie Telegram doniosły, że Igor Striełkow, znany pod pseudonimem Girkin, w przeszłości jeden z inicjatorów secesji Donbasu i „minister obrony" Donieckiej Republiki Ludowej, próbował przebić się na linię frontu, ale został ujęty na Krymie i odstawiony do Moskwy. Jak informowano, ten nieprzebierający w słowach krytyk polityki Kremla i dowództwa rosyjskich sił zbrojnych, który twierdzi, że operacja wojskowa wobec Ukrainy jest prowadzona nieudolnie, chciał przejąć kontrolę nad jednym z rosyjskich oddziałów frontowych, po to by dowodząc nim, pokazać Rosjanom, jak można i należy walczyć.

Striełkow, posługujący się w przeszłości co najmniej trzema różnymi nazwiskami, również teraz, zgoliwszy wąsy, legitymował się fałszywym paszportem na nazwisko Runow, co zdaniem komentujących w sieci całą sytuację obserwatorów oznacza, że „jest mało prawdopodobne, by doświadczony i rozpoznawalny funkcjonariusz FSB, który znalazł się na Krymie pod fałszywymi dokumentami, nie miał jakichś gwarancji lub umów".

A zatem Girkin mógł mieć „kryszę", kogoś wysoko postawionego w aparacie władzy, a jego zatrzymanie i odesłanie do Moskwy może świadczyć o narastającej rywalizacji również na szczytach służb specjalnych. Tę teorię może potwierdzać również to, że za próbę przedarcia się na front na Chersońszczyźnie i posługiwanie fałszywymi dokumentami najwyraźniej nie spotkały go żadne nieprzyjemności.

Putin i jego otoczenie wykorzystają też emocje związane z zamachem, by do końca pozbyć się liberalnej opozycji. Właśnie został aresztowany za obrażanie rosyjskich sił zbrojnych Jewgienij Rojzman, w przeszłości mer Jekaterynburga, ostatni pozostający na wolności znany w całej Rosji polityk kojarzony z opozycją.

Do tych kilku teorii mających wyjaśnić, dlaczego dokonano zamachu na Duginę można dopisywać jeszcze kolejne. I Rosjanie, tacy jak choćby znany prokremlowski politolog Siergiej Markow, doszukujący się tureckich śladów, tak robią. Zapewne nie dowiemy się prawdy, bo władze nie są zainteresowane jej dociekaniem. Nie ulega jednak wątpliwości, że w rosyjskiej polityce nastąpiła zmiana, której konsekwencje będą poważne. Czy tak istotne jak w następstwie zabicia na polecenie Stalina Kirowa, co dało początek epoce wielkiego terroru, tego nie wiemy. Może się też okazać, że bardziej uprawnione jest w tym wypadku odwoływanie się do innego zamachu – zgładzenia Rasputina, co poprzedziło obalenie Mikołaja II i przyniosło Rosji rewolucję i wojnę domową.

eprasa.pl 89c74f1c09

Poznaj wyjątkową historię polskiej kuchni regionalnej

Konkurs „Bitwa Regionów" i Pikniki z PRODUKTEM POLSKIM gromadzą w całej Polsce rzesze wielbicieli polskich produktów kulinarnych i kunsztu kół gospodyń wiejskich

Idea konkursu kulinarnego dla kół gospodyń wiejskich zrodziła się z zamiłowania do polskiej kuchni regionalnej, rodzimego folkloru, chęci promocji polskiej żywności oraz szerzenia patriotyzmu konsumenckiego. W tym roku konkurs dla kół gospodyń wiejskich odbywa się w zmienionym wydaniu, a jego pierwszy etap przebiega podczas Pikników z PRODUKTEM POLSKIM.

„Bitwa Regionów" corocznie skupia setki kół gospodyń wiejskich i stowarzyszeń. W tym roku frekwencja przerosła oczekiwania, bo do konkursu zgłosiło się 3,2 tys. kół gospodyń wiejskich. Pikniki z PRODUKTEM POLSKIM, na których będziemy mogli poznać możliwości i umiejętności kół zgłoszonych do konkursu, to cykl regionalnych wydarzeń, których celem jest promowanie krajowych produktów spożywczych, a tym samym wspieranie rodzimych producentów i przetwórców. Podczas pikników na gości czeka wiele atrakcji – od kulinariów po występy zespołów artystycznych i zabawy dla najmłodszych. Koła, które zwyciężą w pierwszym etapie – powiatowym, przystąpią do rywalizacji na szczeblu wojewódzkim. Reprezentanci pierwszych miejsc w województwach zawalczą w finale ogólnopolskim.

Organizatorami konkursu są Ministerstwo Rolnictwa i Rozwoju Wsi wraz z Krajowym Ośrodkiem Wsparcia Rolnictwa we współpracy z Agencją Restrukturyzacji i Modernizacji Rolnictwa i Kasą Rolniczego Ubezpieczenia Społecznego. Warto wspomnieć, że od czerwca do września MRiRW zaplanowało blisko 230 wydarzeń powiatowych, 16 wojewódzkich i ogólnopolski finał. W trakcie wszystkich imprez KGW prezentują zgłoszone potrawy regionalne, które są poddawane wnikliwej ocenie jury. Jakie potrawy otrzymają w tym roku wyróżnienia, dowiemy się w grudniu w trakcie wielkiego finału!

POZNAJ POLSKIE SMAKI

Do końca września w powiatach i województwach w całej Polsce odbywają się pikniki z polskimi produktami. Warto na nie zajrzeć, bo poza obejrzeniem niezwykle widowiskowych rywalizacji kół gospodyń wiejskich można tam spróbować polskich specjałów regionalnych. Od suski sechlońskiej, przez oscypki, gołąbki, ruchanki, po dzyndzałki. Aż wstyd nie znać tych smaków lub nie wiedzieć, co za potrawy kryją się pod tradycyjnymi nazwami. Jak mawiają członkinie kół gospodyń wiejskich – kuchnia i regionalne, tradycyjne potrawy smakują, uczą historii i łączą pokolenia Polaków.

Jak słyszymy od organizatorów, w czasie konkursowych zmagań w ocenie danej potrawy ważny jest nie tylko jej smak, wartości aromatyczne i tekstura składników, ale także sposób prezentacji, opowieść o serwowanej potrawie i estetyka podania. Konkurencja co roku jest niezwykle widowiskowa i zacięta, ale bez względu na to, komu przypadnie nagroda, ostatecznie zwycięża PRODUKT POLSKI i konsumenci, którzy dzięki wspólnemu przedsięwzięciu resortu rolnictwa i instytucji wspierających polską wieś mają okazję poznać polskie smaki.

KONSUMENCKI PATRIOTYZM

Patriotyzm konsumencki zakłada wspieranie krajowych producentów i przedsiębiorców w najprostszy sposób z możliwych – przez decyzje zakupowe. Wybierając krajowe produkty, nie tylko pomagamy w utrzymaniu miejsc pracy i budujemy zamożność polskich firm, ale też przyczyniamy się do pozostawania w Polsce krajowego kapitału. Jak jednak odróżnić produkt polski od zagranicznego? Biało-czerwony znak PRODUKT POLSKI jest wyraźnym sygnałem pochodzenia danego produktu. To potwierdzenie, że produkt jest wytworzony z polskich surowców, a występujące w nim ewentualne obce dodatki dotyczą jedynie tego, co nie jest u nas uprawiane. Kupując krajowe produkty, każdy z nas w czasie codziennych sprawunków może wspierać polskich rolników i producentów żywności.

„Znaczenie wspierania własnej gospodarki poznaliśmy podczas pierwszej fali pandemii koronawirusa. Dzięki polskim rolnikom i przetwórcom ani jednego dnia nie mieliśmy do czynienia z brakiem żywności. Nasze rolnictwo jest bardzo wydajne i produkuje znaczące już nadwyżki, które eksportujemy. Wartość tego eksportu wynosi już prawie 40 mld euro. To oznacza, że mamy zagwarantowane bezpieczeństwo żywnościowe" – pisał na łamach dodatku „Kupuję, bo polskie" wicepremier Henryk Kowalczyk, minister rolnictwa i rozwoju wsi.

(AS/red)

BIORĘ UDZIAŁ W BITWIE REGIONÓW 2022

Tekst powstał we współpracy z partnerem komercyjnym | 34/0722/F

eprasa.pl 89c74f1c09

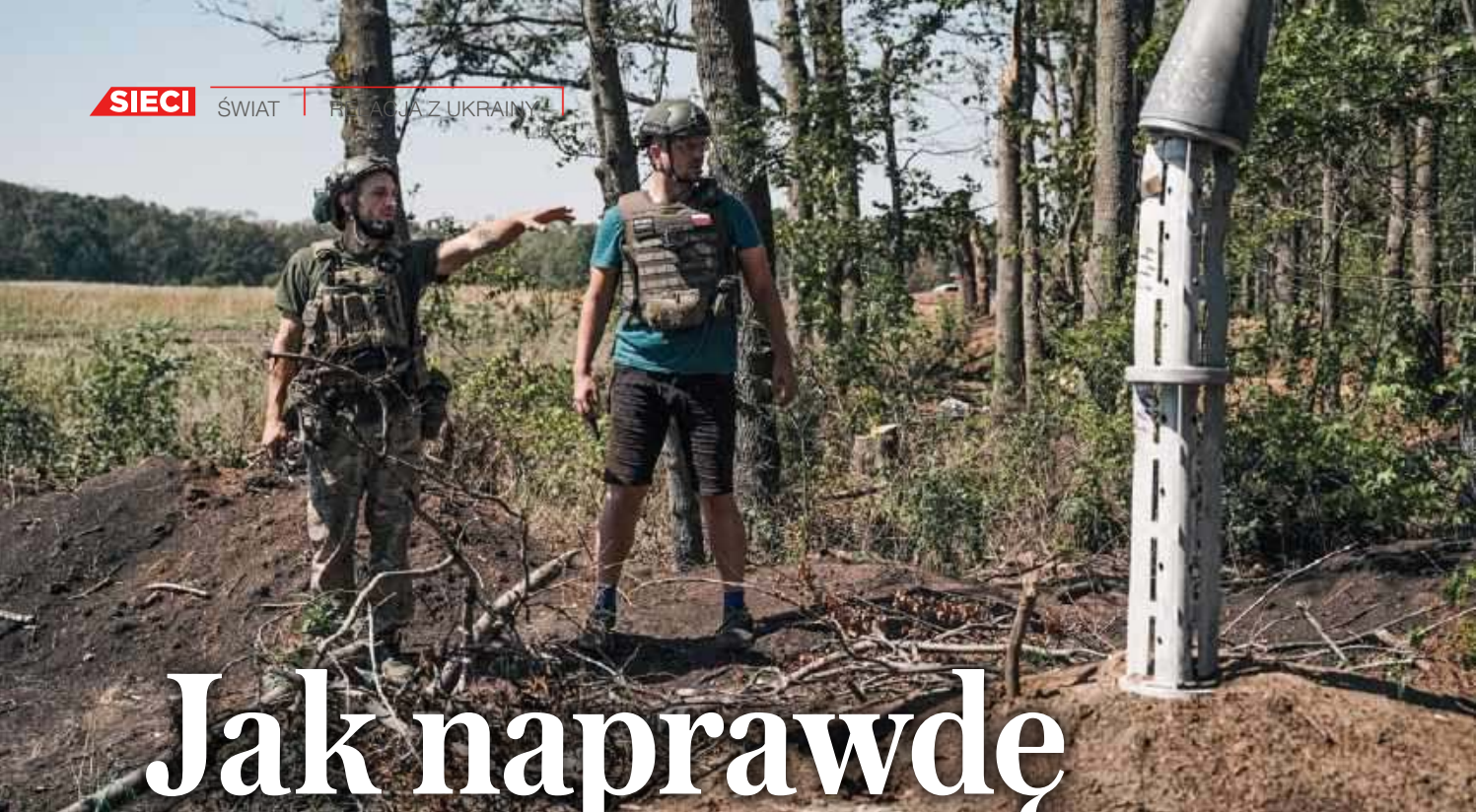

Jak naprawdę jest na froncie

Im dłużej tam jestem, tym bardziej to wszystko wydaje się snem. Czy naprawdę w 2022 r., w bardzo dużym europejskim kraju, tuż za naszą wschodnią granicą, w wojennych zmaganiach wracają obrazy z 1914 i 1939 r., czy okrucieństwa sprzed dziesiątków lat, zbrodnie nazizmu mogą dziać się naprawdę tak blisko nas?

JAKUB AUGUSTYN MACIEJEWSKI

30 maja biegniemy do schronu. Jest środek nocy, chwila po 2.00, ale miasto nie śpi. Wokoło huczą rosyjskie rakiety, a odpowiada im ukraińska artyleria. Po prawej płoną bloki, w które trafił pocisk, słychać jęki ludzi, a my – ukraińscy żołnierze i polski dziennikarz – biegniemy pochyleni, by nic nas przypadkiem nie trafiło. Gdzieś już to widziałem – może w opisach Romana Bratnego o powstaniu warszawskim, może czytałem coś podobnego we wspomnieniach z obrony Warszawy w naszym polskim wrześniu 1939 r.? Jeśli tej nocy się nie boję, to przez niewiarę – to nie może dziać się naprawdę, to jak serial w internecie, który wyłączę jednym kliknięciem, zgasną pożary, umilkną krzyki.

W połowie marca jesteśmy z fotografem Polskiej Agencji Prasowej Andrzejem Langem w atakowanym Charkowie. Opustoszałe miasto nie wygląda groźnie, dopóki nie skręcamy w ul. Myronosycką. Dziarskie komentarze na temat naszych przygód grzęzną nam w gardłach. Ulica w centrum dwumilionowego miasta jest pokryta lejami po bombach, a wokoło nich straszą poszczerbione budynki. I znowu – gdzieś to już kiedyś widzieliśmy. To nie może być 2022 r., to już było! Powracają obrazy z filmu „Pianista" Romana Polańskiego, gdy Władysław Szpilman wychodzi z ukrycia i zastaje gruzy polskiej stolicy. Ale co my, dziennikarze XXI w., robimy na zgliszczach rodem z II wojny światowej?

W OKOPACH

Albo te okopy i ziemianki w Donbasie. Całe życie dziadek opowiadał mi o wojnie i okupacji, narysował mi nawet przekrój okopów i tłumaczył, dlaczego są robione zygzakiem. „Tak to kiedyś było" – wspominał. Ale właśnie – „było", dlaczego jest teraz? Dlaczego z 22-letnim fotooperatorem Władem Karpowyczem siedzimy w głębokich rowach pod Iziumem, gdzie żołnierze opowiadają nam, jak kopać ziemianki, kiedy wystarczy się lekko schylić, a po którym świście lepiej się od razu rzucić na ziemię. Czy to epoka Unii Europejskiej, NATO, czasy postpolityki, czy coś nas zassało do powieści „Na Zachodzie bez zmian" Remarque'a?

Idziemy bokiem, by krawędziami kamizelek kuloodpornych nie zahaczać o ścianki mozolnie wykopanych okopów, rozmawiamy z żołnierzami jedzącymi z menażek konserwy, słuchamy ich

Fot. Jakub Augustyn Maciejewski

eprasa.pl 89c74f1c09

dowcipów, pijemy lepką od cukru kawę rozpuszczalną. Słychać nagle świst i coś eksploduje 200 metrów od nas. – Kasetki – mruczy Roman ps. Czak. Ma na myśli bomby i rakiety z ładunkiem kasetowym, otwierające się tuż nad ziemią i wyrzucające z siebie setki małych pocisków. – Kasetki latają cały czas, ale połowa nie wybucha. Moskale mają już stary sprzęt – ciągnie żołnierz. – Za to miesiąc temu lali nas fosforem – wspomina.

Widziałem fosfor. Jednej nocy Szaman, Bruks i B52 obudzili mnie znienacka i zapytali, czy chcę zobaczyć coś ciekawego. Pojechaliśmy w głąb lasu za Słowiańskiem, gdzie nad małą wioską niebo zdawało się spuszczać wszystkie gwiazdy – ogniste kule spadały na domy i ludzi. Gdyby nie śmierć ludzi, gdyby nie salwy haubic obu armii, można by zakochać się w tym widoku. Tysiące świetlistych komet jak w zwolnionym tempie opada z nieba spokojnie na miejscowość. Ale ten fosfor spala się w temperaturze 2 tys. st. C, wyżera w ludzkim organizmie głębokie rany, wyglądające jak ugryzienia niewidzialnej bestii. Czy takie widoki widzieli londyńczycy, gdy latem 1940 r. tak atakowali niemieccy piloci? Dlaczego więc możliwe jest to 80 lat później?

Dwudziestokilkuletni Wład ps. Bracha pokazuje, jak się na leżąco kopie ziemiankę. – Gdy robisz pod ostrzałem, to wystarczą dwa dni. Nie zwracasz uwagę na pęcherze, na ból kręgosłupa, po prostu szybko kopiesz, bo przecież chcesz jeszcze pożyć – wyjaśnia. Kilka miesięcy temu pił jeszcze kawę z mlekiem w modnych kawiarniach, teraz siedzi w wilgotnej ziemi i pije herbatę z termosu. Za co los go rzucił z XXI w. na front z jakiegoś 1940 r.?

KTO PISZE TEN SCENARIUSZ?

W ziemiankach pod Bachmutem było weselej. Może dlatego, że chłopaki ze specjalnych oddziałów policji siedzieli tam od początku rosyjskiej inwazji. Kucharz spiera się z dowódcą o to, ile mielonek mięsa ma wrzucić do kaszy na obiad. – Cztery to za mało – woła major. – Jak wrzuciłem pięć, to wołaliście, że marnuję! – ripostuje kucharz. W aurze śmiechu decydują się na cztery i pół konserwy na wielki kocioł kaszy. Kucharz włącza na telefonie ostatnie przemówienie prezydenta Zełenskiego i zaczyna obierać ziemniaki na jutro. Wokoło bawi się gromadka bezpańskich szczeniaków i kociąt, które oddział przygarnął do bazy.

Rościsław zaprasza mnie na kawę. – Jest wieczór, i tak przez te wybuchy nie zasnę – odmawiam. – Po tej kawie zaśniesz – mruga okiem młody oficer ze spiczastym, zadziornym wąsem. Rozgląda się, czy nikt nie patrzy, i leje do kubeczków całkiem sporo domowego samogonu, potem nalewa kawy. – Za polsko-ukraińską przyjaźń – wznosi toast cichutko. Także w takim życiu obozowym mogliśmy już brać udział – Melchior Wańkowicz pisał w wojennych reportażach o podobnych scenach. Gdy niebo zakrywa się wieczornym granatem, gasną rozmowy, a wojskowi wysyłają ostatnie wiadomości do żon i matek. Gdy zejdą do podziemi, nie będzie już zasięgu. Gdy ludzie milkną, odzywa się front i odgłosy produkowanego od pół wieku rosyjskiego i sowieckiego arsenału amunicji, tego samego, który miał iść dawniej na podbój Europy, a teraz leci na maleńki Donbas.

Pod betonowym sufitem ziemianki słychać przygłuszone eksplozje – dalekie, bliższe i takie zupełnie bliskie, po których ziemia ze ścian sypie się na twarze. „Ileż oni tego mają?" – krąży nad nami pytanie o zasoby najeźdźcy. 10, 12, 14 godzin słychać ciągle wybuchy i wybuchy, nad posterunkiem wartowników bombowiec przeleciał tak nisko, że jednemu żołnierzowi czapka zleciała z głowy. Samolot pognał w stronę Bachmutu, gdzie spuścił bombę. Do nas najpierw dotarł widok czarnej chmury pyłu, a potem dudniący grom eksplozji. Bezradnie patrzymy, jak donbaskie miasto dostaje kolejne ciosy, jak kruszą się czyjeś domy, fabryki i szkoły.

Nad ranem idziemy nad jezioro. Chłopaki kąpią się wśród wysokich trzcin, ubranie zostaje na brzegu, w tle cały czas słychać odgłosy artylerii. Gdybyż oni znali tę scenę z „Czterech pancernych i psa", jak to Gustlik z Jankiem stracili ubranie podczas podobnej kąpieli. Ale to nie film, to nie serial, a reżyserem nie jest Konrad Nałęcki, tylko Władimir Putin. Ale tutaj chłopaki nie grają jego scenariusza. Ukraina przeżywa horrory poprzednich stuleci w jednej wojnie z patologicznym imperium zła. Niektóre momenty szturmów i ostrzałów bywają krwawe i apokaliptyczne jak z opowiadań Eugeniusza Małaczewskiego o wojnie polsko-bolszewickiej, a dzicz rosyjska przypomina Armię Czerwoną ze wspomnień Tadeusza Hołówki. Jeden z żołnierzy w Słowiańsku pokazuje mi na telefonie swoje ulubione kadry z polskiego filmu „1920 Bitwa Warszawska" Jerzego Hoffmana. W scenie krasnoarmiejcy idą na zachód, aż nagle na widok polskiego samolotu rozpierzchają się w panice, krzycząc :„Samolot! Samolot!". – Dziś jest tak samo – mówi Sirko. – Tylko dziś krzyczą: „Bayraktar, bayraktar!" – zapewnia Ukrainiec i chwali film.

– Dziś jest tak samo – słyszymy jego słowa po długich tygodniach w Donbasie.

Dziś jest tak samo – jak u Remarque'a, Wańkowicza, Bratnego, jak w Londynie 1940 r. i w Warszawie w 1939 r. Nic się w historii nie zmieniło i nic poza znaną nam historię nie wyszło, wcale ten XXI w. nie stał się bardziej humanitarny, bardziej cywilizowany niż poprzednie krwawe stulecia. Dlaczego więc świat udaje, że jest inaczej?

eprasa.pl 89c74f1c09

Spór o Medjugorje

W ostatnich dniach w Polsce ukazało się kilka artykułów krytykujących Medjugorje, wioskę w Bośni i Hercegownie, która według niektórych jest miejscem objawień Matki Bożej. W jakim stopniu przedstawione w nich zastrzeżenia są uzasadnione?

GORAN ANDRIJANIĆ

„W tym miejscu dominuje szczególna duchowość. To, co dzieje się w Medjugorje, nie ogranicza się tylko do przyjmowania pielgrzymów, ale wokół tego miejsca rozwinęła się prawdziwa sieć duchowych działań. Nacisk jest kładziony zawsze na modlitwę, jest ona zawsze na pierwszym planie i to właśnie w ten sposób rozwija się silna duchowość chrystocentryczna".

Tak pięć lat temu mówił mi o Medjugorje nieżyjący już abp Henryk Hoser. Zrobiłem z nim wywiad na samym początku jego służby jako specjalnego wysłannika papieskiego do Medjugorje, którą Franciszek przydzielił mu w 2017 r. Przyjechał on wtedy po raz pierwszy do wioski i spędził tam kilka dni. Był pełen pozytywnych wrażeń. „Nie miałem żadnych oczekiwań. Jestem tu tylko po to, żeby zobaczyć, co się tutaj dzieje. I widzę, że to miejsce jest jednym z najważniejszych miejsc kultu maryjnego na świecie" – powiedział mi wtedy.

ZIELONE ŚWIATŁO DLA PIELGRZYMEK

Od tego czasu w Medjugorje wydarzyły się ważne rzeczy. Miejsce specjalnego wysłannika zajął włoski abp Aldo Cavalli. Wioska w Bośni i Hercegowinie jest obecnie *de facto* pod jurysdykcją duszpasterską Stolicy Apostolskiej, a nie lokalnej diecezji w Mostarze. Widząc owoce duszpasterskie w tym miejscu, w maju 2019 r. Stolica Apostolska podjęła decyzję o dopuszczeniu pielgrzymek kościelnych do Medjugorje. Po tej decyzji, która zniosła poprzedni zakaz, miejsce odwiedziło wielu duchownych Kościoła katolickiego, wśród nich kard. Robert Sarah. Nie jest tajemnicą, że spora ich część była tam już wcześniej, ale incognito.

Parafia pw. św. Jakuba, która znajduje się w tym mieście, została w maju 2021 r. dołączona do 30 sanktuariów maryjnych na całym świecie, biorących udział w maratonie modlitewnym o zakończenie pandemii. W ten sposób po raz pierwszy stało się ono częścią oficjalnej inicjatywy Stolicy Apostolskiej, co też było odczytane jak rodzaj rehabilitacji Medjugorje.

Piszę „rehabilitacji", ponieważ Medjugorje od wielu lat znajdowało się w swoistej niełasce instytucjonalnego Kościoła. Przypomnijmy, że objawienia, które rozpoczęły się w czerwcu 1981 r., nadal trwają w przypadku niektórych widzących. Do tej chwili Stolica Apostolska jeszcze nie potwierdziła autentyczności objawień ani bezpośrednio im nie zaprzeczyła. Jednak miejscowi biskupi, Pavao Žanić i Ratko Perić, uważali, że objawienia nie są autentyczne, co próbowali udowodnić w kilku dokumentach (Žanić zmarł w 2010 r., Perić przeszedł na emeryturę w 2020 r.).

TAJNY RAPORT

Pierwszą poważną komisją na poziomie Kościoła powszechnego była ta zwołana przez Benedykta XVI w 2010 r., której przewodniczył kard. Camillo Ruini. Komisja zakończyła swoją pracę w 2014 r., a jej wyniki i zalecenia dla papieża dotyczące Medjugorje nigdy nie zostały oficjalnie

eprasa.pl 89c74f1c09

opublikowane. To, co zostało ujawnione, aczkolwiek nieoficjalnie, ale w poważnych mediach bliskich Watykanowi, to informacja, że komisja zaproponowała papieżowi uznanie pierwszych siedmiu objawień (tych między 24 czerwca i 3 sierpnia 1981 r.) za autentyczne.

Watykanista Andrea Tornielli (obecnie bliski współpracownik Franciszka) napisał o tym w „Vatican Insider" w maju 2017 r. Jak twierdził wówczas Tornielli, 13 członków komisji opowiedziało się za tym zaleceniem, jeden był przeciw, a jeden wstrzymał się od głosu. Komisja wyraziła jednak poważne wątpliwości co do innych objawień.

Papież określił raport jako bardzo dobry, a komisję jako grupę doskonałych teologów. Nie wiemy więc na pewno, czy Tornielli pisał prawdę (choć zważywszy na jego reputację, trudno sądzić inaczej) i czy rzeczywiście pierwsze objawienia były określane jako autentyczne. Jeśli jednak przyjrzymy się późniejszym działaniom Franciszka (powołanie Hosera, umożliwienie pielgrzymek do Medjugorje, wspomniany proces rehabilitacji), to z dużym prawdopodobieństwem możemy stwierdzić, że tak właśnie jest.

ARGUMENTY PRZECIW

Jednak ta tajemnica otaczająca raport komisji przysparza problemów tym, którzy sympatyzują z Medjugorje. Okazało się to i teraz, gdy w ostatnich dniach w Polsce ukazało się kilka artykułów krytykujących Medjugorje. Większość argumentów pochodzi z zapisów bp. Ratko Pericia z Mostaru, który większą część swojego mandatu poświęcił krytyce wydarzeń z tego miejsca.

Pierwszym poważnym argumentem jest to, że Gospa (jak Chorwaci nazywają Matkę Bożą) wypowiedziała w objawieniach kilka herezji.

Niektóre z tych twierdzeń są po prostu nieprawdziwe, jak np. to, według którego Gospa rzekomo powiedziała, iż nie ma zmartwychwstania. Inne są oparte na pracach Pericia, który najczęściej cytował o. Tomislava Vlašicia, duchowego przewodnika osób, którym w Medjugorie miała ukazywać się Matka Boża. Vlašić poinformował, że w październiku 1981 r. Gospa powiedziała jednemu z widzących, że wszystkie religie są takie same przed Bogiem. Gdy wiadomo, że widzący nie mieli żadnego wykształcenia teologicznego, a sam Vlašić okazał się później nierzetelny (został zawieszony za złamanie ślubu celibatu), nietrudno podważyć wiarygodność twierdzeń o rzekomą herezję Matki Bożej.

Jednak fakt, że wyniki komisji watykańskiej nie są publiczne, podczas gdy prace Pericia są, sprawia, że katolicka opinia publiczna za granicą i dziś patrzy na fenomen Medjugorje wyłącznie z perspektywy krytykującego to miejsce biskupa. Nie z perspektywy komisji watykańskiej, która – jak wszystko na to wskazuje – miała na ten temat nieco inne zdanie.

Drugi argument przeciwko Medjugorje jest związany z nieposłuszeństwem franciszkanów z Hercegowiny wobec biskupa Mostaru. Należy tutaj wyraźnie zaznaczyć: jedynym franciszkaninem, który został zawieszony z powodu problemu objawień medjugorskich, był o. Tomislav Vlašić. Reszta zakonników została ukarana za nieposłuszeństwo w konflikcie między biskupem a prowincją franciszkańską Hercegowiny. Chodzi o opór braci przed przekazaniem swoich parafii księżom diecezjalnym. Konflikt ten trwa od dziesięcioleci i naznaczył także wydarzenia w Medjugorje. Co więcej, bp Perić nigdy za bardzo tych dwóch rzeczy nie rozdzielał, co również jest dużym problemem.

Byli i tacy franciszkanie, którzy zostali ukarani za związek z objawieniami w Medjugorje, ale w większości posłusznie przyjęli kary. Jak np. o. Jozo Zovko, który w czasie pierwszych objawień był proboszczem w Medjugorje i właśnie z powodu tych wydarzeń został wtrącony przez władze komunistyczne do więzienia.

> Duchowość Medjugorje od dawna żyje niezależnie od historii objawień i kontrowersji wokół ich autentyczności

DUCHOWOŚĆ MEDJUGORJE

W tych dniach można było przeczytać w polskich mediach, że Medjugorje jest związane z duchowością odnowy charyzmatycznej, która jest jej głównym wyznacznikiem. To również nieprawda i może tego doświadczyć każdy, kto tam przyjeżdża. W tym miejscu można spotkać charyzmatyków, neokatechumenów, katolików odnajdujących swoją duchowość we wspólnotach parafialnych, działaczy charytatywnych, a nawet tradycjonalistów. Medjugorje jest miejscem, które dokładnie odzwierciedla obraz Kościoła powszechnego. Odnotował to również śp. bp Hoser w naszej wspomnianej wcześniej rozmowie. Wokół wioski rozwinęła się różnorodna działalność duszpasterska, charytatywna i ewangelizacyjna – od wspólnoty dla osób uzależnionych Cenacolo po organizację Matczyna Wioska, wspólnotę prowadzoną przez franciszkanów, której celem jest pomoc ludziom w problemach na wszystkich etapach życia. A w centrum tego wszystkiego jest Eucharystia, modlitwa różańcowa, adoracja Najświętszego Sakramentu i oczywiście spowiedź. Dla niektórych może to zabrzmieć dziwnie, ale duchowość Medjugorje od dawna żyje niezależnie od historii objawień i kontrowersji wokół ich autentyczności.

W ostatnim czasie czytałem wiele nieprawdziwych informacji o Medjugorje, ale jedną z najbardziej kłamliwych jest ta, że ci, którzy przyjeżdżają do tej wioski w Bośni i Hercegowinie, to głównie katolicy, którzy szukają cudów. Bo chodzi o duchowość infantylną, która nie może bez nich żyć. Nic nie jest tak dalekie od prawdy. Tak, są tacy, którzy przyjeżdżają, bo spotkanie z widzącymi jest w centrum ich zainteresowań. Ale to mniejszość. Ogromna większość przybywa tam, by doświadczyć duchowości miejsca, które mocno zbliża ich do Boga, by doświadczyć powrotu do mocy sakramentów i modlitwy, powrotu do autentycznej wiary katolickiej. I nawet nie myślą o widzących i otaczającej ich historii.

Rozumiem tych, którzy mają wątpliwości co do autentyczności objawień w Medjugorje. Nie rozumiem jednak sugestii, a były takie, że polscy biskupi powinni zakazać pielgrzymek do tego miejsca.

Fot. Aydin Kamber / Shutterstock

eprasa.pl 89c74f1c09

Lany poniedziałek

25 września 1939 r. 400 niemieckich samolotów w ciągu kilkunastu godzin zrzuciło na Warszawę 630 ton bomb – burzących, ale głównie zapalających. Był to wtedy największy nalot dywanowy w dziejach świata. Liczby ofiar nie dało się oszacować

WOJCIECH LADA

Początkowo mieszkańcy Warszawy nie byli zaskoczeni. Już 5 września mjr Zdzisław Żórawski zanotował w swoim dzienniku: „Szybko przyzwyczailiśmy się do nowej postaci wojny. Trwa ona przecież zaledwie kilka dni, a nikt sobie nie wyobraża, aby mogła się odbywać bez zjawienia się samolotów, przejmującego śpiewu syren alarmowych, wybuchów bomb, hałasu dział przeciwlotniczych. Stało się to normalnym fragmentem naszego życia". W dniu, w którym to napisał, odbyły się „tylko trzy naloty, i to na odległe krańce miasta – śródmieście nie przechodziło nawet alarmu i zwykły ruch Warszawy trwał jak za czasów pokoju".

Ale z dnia na dzień było coraz gorzej. Dwa tygodnie później, 20 września, niemieckie bombardowania poważnie zniszczyły Żoliborz, Powiśle, Starówkę, okolice ratusza i z jakiegoś powodu ul. Warecką. Mjr Żórawski wspominał również, że tego właśnie dnia niemieccy lotnicy szczególnie uwzięli się na stołeczne mosty.

Było jednak tak, jak mówił major. Ulica oswajała się z nieustannymi nalotami. Według doniesień „Kuriera Warszawskiego" nawet dzieci zaczynały się już bawić w bombardowania, a według innych wspomnień w piwnicach warszawskiej Pragi organizowano przy ich okazji pijackie libacje.

Nikt jednak nie spodziewał się tego, co nastąpiło pięć dni później. Jak wspominał płk Marian Porwit: „Dnia 25 września o godz. 7.10 nadleciała z kierunku Piaseczna pierwsza fala niemieckich samolotów, którą nasz posterunek na gmachu PZUS (przy ul. Kopernika) ocenił na 150 bombowców na dużym pułapie. Uderzenie ugodziło w śródmieście. Wśród huku eksplozji, w kurzu i dymie walących się domów i rozniecanych pożarów nadlatywały dalsze zgrupowania lotnicze, których nie potrafiły już liczyć polskie posterunki obserwacyjne. Dywizjony niemieckie po zrzuceniu ładunku bomb burzących i zapalających odlatywały do niedalekich baz po nowy zapas i powracały dokonać dzieła zniszczenia. Trwała ta akcja do godzin wieczornych".

Porwit, jak sam przyznaje, nie znał wówczas liczb. Jak wyliczono później, w akcji brało udział ok. 400 samolotów. Po zrzuceniu bomb wracały do miejsc załadunku i ponownie nadlatywały nad Warszawę – i tak bez przerwy przez 11 godzin.

DYWANY BOMB

We wrześniu 1939 r. naloty dywanowe były w sumie czymś nowym. Pierwszy w dziejach odbył się zaledwie dwa lata wcześniej, kiedy niemiecki Legion Condor podczas wojny domowej w Hiszpanii zbombardował baskijską Guernicę – co upamiętnił na swoim obrazie m.in. Pablo Picasso. Ale choć konsekwencje były tragiczne – zginęło ok. 1,5 tys. ludzi, a 70 proc. miasta zostało zburzone – w porównaniu z bombardowaniem Warszawy był to nalot stosunkowo niewielki. Brało w nim udział niespełna 20 samolotów, a cała akcja trwała dwie godziny.

Warszawa we wrześniu 1939 r. miała w zasadzie przestać istnieć, a przynajmniej na zawsze stracić swój wielkomiejski, stołeczny charakter. Zaczęło się tak naprawdę już trzy dni wcześniej, 22 września gen. Johannes Blaskowitz nakazał regularny ostrzał najważniejszej infrastruktury miasta. Następnego dnia Warszawa była już pozbawiona wody i prądu. A także w coraz większym stopniu jedzenia, tym bardziej że dni były upalne. Wkrótce do ostrzału artylerii dołączyły naloty.

25 września był w Warszawie włoski korespondent Alceo Valcini. Jak później zanotował: „Artyleria, która ujadała przez całą noc, o świcie wzmogła ogień. Na niebie ukazały się ciężkie formacje lotnictwa niemieckiego, zrzucając swój śmiercionośny ładunek na miasto, które miało umrzeć. Eskadry, które wypełniły swoje zadanie, wracały po nowy ładunek bomb i mijały się z innymi formacjami, które nadlatywały i rozpoczynały swoje harce nad Żoliborzem, ul. Marszałkowską, nad pl. Krasińskich, nad Koszykową, Królewską... Była to karuzela śmierci, turniej ognia".

Wiele wskazuje na to, że intensywność poniedziałkowego bombardowania wynikała z osobistej interwencji Adolfa Hitlera. Porwit wspominał, że przywódca III Rzeszy – w towarzystwie Göringa – był tego dnia pod Warszawą i miał prawo być niezadowolony z postępów natarcia. „Oddziały polskie nie pozwoliły odebrać sobie do 24 września ani piędzi terenu" – pisał płk Porwit, będący wówczas dowódcą obrony odcinka zachodniego.

Załamanie się blitzkriegu mogło wywołać wściekłość, zawsze skłonnego do histerycznych reakcji wodza, ta zaś z pewnością wpłynęła na wzmożenie dynamiki działań

eprasa.pl 89c74f1c09

dowódców. Choć jednocześnie sama akcja wydawała się doskonale zaplanowana. Można w każdym razie chyba zaufać Valciniemu, który jako przedstawiciel sojusznika miał później dostęp zarówno do dowódców, jak i samych lotników niemieckich.

Tak pisał dalej: „Piloci, którzy dokonywali tych nalotów, byli bardzo młodzi i bezkarnie atakując stolicę, nabierali swych pierwszych doświadczeń. Ćwiczyli zrzucanie bomb, wypróbowywali możliwości trafienia w zabudowania, w skrzyżowania, place. Czynności ich, dokładne oznaczane w tabelach celowniczych, obliczane były za pomocą precyzyjnych aparatów, przy ściśle ustalonym czasie i zużyciu paliwa, przewidywano w celach ćwiczeniowych nurkowanie, ślizganie się czy wznoszenie".

A jeśli tak, to naloty 25 września były bezprecedensowo barbarzyńskie. „Płonęło wszystko" – przyznawał Valcini i należy to rozumieć całkiem dosłownie.

„Nie oszczędzali lotnicy niemieccy żadnych gmachów, zabytków ani kościołów. Chroniony międzynarodową konwencją znak Czerwonego Krzyża na dachach szpitali przestał mieć dla niszczycieli jakiekolwiek znaczenie. Już od godzin południowych rozsnuła się nad miastem olbrzymia kopuła czarnego dymu, przesłaniając słońce. Z różnym nasileniem objęta była pożogą cała, gęsto zabudowana część miasta" – opowiadał, oglądający to na własne oczy płk Porwit.

ZMROK PRZED ZACHODEM SŁOŃCA

Naloty ustały dopiero o zmroku, choć artyleria niemiecka wciąż zarzucała miasto gradem pocisków. Skali zniszczeń i liczby zabitych nikt nawet nie usiłował oszacować. Mjr Żórawski wspomina o ponad 500 pożarach w samym tylko ścisłym śródmieściu. Pożarach, których nikt nie był w stanie gasić, w mieście nie było bowiem wody. „Po południu całe śródmieście było morzem płomieni. Pokrył je dym tak gęsty, że zmrok nastąpił parę godzin przed zachodem słońca. Nowy Świat, Bracka, Szpitalna, Kredytowa, Wierzbowa znajdowały się w kłębowiskach czarnego dymu, nieprzejrzanego już na kilka metrów. Wiele domów na tych ulicach stało się kupami gruzów, spod których płomienie buchały pod niebo" – opowiadał major, a Porwit dodawał, że w okolicach ul. Świętokrzyskiej i Bagno musiał iść po ruinach budynków na wysokości pierwszego piętra.

Adam Czerniakow, późniejszy prezes Judenratu w getcie warszawskim, zanotował krótko: „Całą noc kanonada. Nie ma gazu, wody, elektryczności, chleba. Straszliwy dzień. Na dom, w którym mieszkamy, padły cztery bomby zapalające i szrapnel. Jaś je gasił piaskiem. Potem bomby z bombowców. Następnie pożary z wszystkich stron. Wszystkie szyby z okien wyleciały. Rodzina przeniosła się wieczorem na Wilczą, ja zostają na noc na Wspólnej".

Kazimierz Brandys był tego dnia w piwnicy swojego domu przy ul. Grójeckiej. Bomby również tam spadały gęsto.

Fot. East News, NAC

eprasa.pl 89c74f1c09

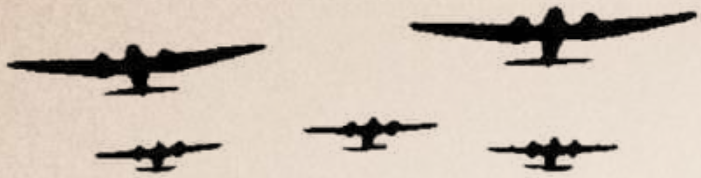

„Samoloty wciąż wracały nad miasto. Pionowe gwizdy zakołysały domem jak burtą okrętu, szukaliśmy ręką oparcia rozkraczeni pod ścianą, by wytrzymać nowy przypływ podmuchu. W kącie piwnicy przycupnęły baby wiejskie zamarłe ze strachu, chłopi mrugali z tobołów żółtymi rzęsami z tępym, żmudnym namysłem. Gwizd znów wwierca się w kręgosłup. Dym i kurz wdzierały się przez okna. Dom dostał w skraj lewego skrzydła potężny ładunek huku. Cały drżał jeszcze. Wyleciałem na podwórze, bury pył zasypał mi oczy, krzyczałem podobno czyjeś imię" – wspominał później w swoim „Mieście niepokonanym".

Zanotował również obraz miasta, który zastał następnego dnia w śródmieściu. Udał się tam na poszukiwanie dziewczyny. Być może tej samej, której imię wykrzykiwał w apokaliptycznej aurze bombardowań. Teraz zastał już obraz postapokaliptyczny.

„Śródmieście powitało mnie gryzącym pyłem, który wdzierał się w nozdrza. Grzebałem się po wyrwach od pocisków, wpadałem nagle w przepaści i doliny, plącząc się w porozrywanych drutach, kablach, szynach. Złamane latarnie leżały w poprzek jezdni obok ludzkich ciał; górą kładł się dym, dołem kurz, ludzie snuli się tędy w mętnym powietrzu jak szare widma zgięte pod ciężarami. Biegłem szybko środkiem bruku, chcąc wyminąć i zostawić za sobą tę marę złego snu, która dusiła mi gardło, idąc za mną wzdłuż dymiących ścian".

Dziewczyny nie odnalazł.

TWIERDZA WARSZAWA

Bombardowania 25 września były tak gęste, że we wspomnieniach niemal nie mówi się o jakimś poważniejszym ostrzale w ciągu następnych dni. Tymczasem ostrzał nie ustawał nawet na chwilę. Dość wspomnieć suche statystyki. Otóż, jak wyliczał Porwit, dwa korpusy 8. armii nacierające od zachodu pobierały na jeden tylko dzień walki 1 tys. ton różnych pocisków artyleryjskich. „A przecież strzelały również działa dwóch korpusów 3. armii" – zauważał pułkownik. I wszystkie one spadały na głowy mieszkańców. Co jednak najdziwniejsze – zapewne najbardziej dla Niemców – cała ta zagłada miasta nie przyniosła praktycznie żadnych wymiernych efektów strategicznych. Jedynie ośrodek oporu w Babicach uległ niemieckiemu natarciu – a i to przy oporze tak silnym, że po ustaniu walk dowodzący na tym odcinku niemiecki generał osobiście salutował walczącemu tam ze swoim batalionem mjr. Jackowi Decowskiemu.

„Hitler nie doczekał się oczekiwanego triumfu. Wiele razy w ciągu popołudnia piechota niemiecka próbowała poderwać się do ataku. Zawsze na próżno. Zmierzch zastał ją na stanowiskach wyjściowych, a noc przyniesie nasze kontrataki" – wspominał Żórawski, a Porwit potwierdzał: „Mogliśmy przedłużać walkę, dopóki starczy naboi".

Obaj jednak zdawali sobie sprawę, że nie samymi nabojami toczy się wojnę. Jeszcze w południe, dzień po nalotach, Żórawski odnotowywał dobry nastrój wśród ludności cywilnej, wieczorem wspomina już jednak, że zaczyna się wyczerpanie sił fizycznych. „Zjawiła się w dowództwie obrony delegacja obywateli miasta z przedstawieniem, że stan zaprowiantowania jest tak zły, że grozi jej głód. Sytuację pogarszał brak wody i niemożność zaradzenia temu, gdyż uszkodzenia wodociągowe są poważne" – pisał, dodając, że zarówno dowództwo, jak i cywile są zgodni, że możliwości obrony miasta osiągnęły swój punkt kulminacyjny. Że każdy kolejny niemiecki atak napotka słabszy już opór.

27 września zapadła decyzja o kapitulacji.

TRAGICZNY BILANS

Kilka lat temu prof. Tomasz Szarota zorganizował w Muzeum Karykatury wystawę poświęconą humorowi warszawskiemu pod okupacją. Warszawa zawsze się śmiała, tym swoim specyficznym, nieco wisielczym humorem, który pozwalał jakoś przetrwać najkrwawsze jatki tej wojny. Nic też dziwnego, że gdy już ugaszono pożary, pochowano zmarłych i jako tako uprzątnięto gruzowiska, warszawska ulica natychmiast ochrzciła 25 września 1939 r. „lanym poniedziałkiem".

Zniszczone były wszystkie najcenniejsze zabytki, infrastruktura miejska, większość zabudowań centrum miasta – bardzo wiele w dzielnicach peryferyjnych. Nie wiadomo, ile dokładnie zginęło ludzi – wielu spłonęło doszczętnie w burzy ognia wywołanej bombami zapalającymi, wiele ofiar stanowili anonimowi uchodźcy z prowincji, których liczby i tożsamości nikt nie odnotowywał, wielu zmarło później w wyniku odniesionych ran. Liczbę lżej lub ciężej rannych szacuje się na ok. 50 tys.

Wiadomo za to, że gdy już po kapitulacji przystąpiono do porządkowania miasta, pierwszą czynnością była likwidacja prowizorycznych cmentarzy, z których największe wyrosły na pl. Trzech Krzyży i przy Dworcu Głównym. Ale nie tylko. „Mnóstwo mogił rozsianych było na ulicach, w tym pod płytami chodnikowymi, na których rysowano krzyże. Przechodnie omijali te miejsca zygzakiem. Miasto nabrało cech nekropoli, pełnej płytko ukrytych umarłych. Na cmentarz Powązkowski również spadły bomby i tam przeciwnie, szczątki ludzkie wyrzucone zostały na powierzchnię" – pisał Błażej Brzostek.

W BURZY OGNIA

Atak z 25 września był wtedy największym nalotem dywanowym w dziejach. Ale obie walczące strony wkrótce pobiły ten ponury rekord. Dość wspomnieć o niemieckich nalotach na Rotterdam, a zwłaszcza na Londyn. Ale największych i najbardziej niszczycielskich nalotów dokonało jednak lotnictwo aliantów. W Europie najtragiczniejszy los spotkał Drezno, zbombardowane w lutym 1945 r. przez blisko 1,5 tys. bombowców, które całkowicie zniszczyły obszar 40 kmkw. i podobnie jak w Warszawie nie wiadomo dokładnie, ilu zabiło ludzi. Świadek wydarzeń, późniejszy wybitny pisarz Kurt Vonnegut, który opisał to w słynnej powieści „Rzeźnia numer pięć" – wspomina o 130 tys., ale mogło ich być nawet o 100 tys. więcej.

W skali świata z największym impetem zaatakowano z powietrza Tokio niecały miesiąc po Dreźnie. Na japońską stolicę spadło wówczas blisko 1,5 tys. więcej bomb niż na Warszawę, a wywołały one zjawisko tzw. burzy ognia, której skutki były tragiczniejsze niż zrzucenie bomby atomowej na Hiroszimę zaledwie parę miesięcy później. „To było znacznie gorsze niż Hiroszima" – pisał Vonnegut w odniesieniu do Drezna. I specjaliści są dziś zgodni, że wcale się nie mylił.

Ale tę taktykę masowej śmierci przetestowano najpierw na Warszawie.

eprasa.pl 89c74f1c09

Amerykański sen można śnić na wiele sposobów. Czasem, by zaistnieć za oceanem, wystarczy kilka minut. Innym razem trwa to o wiele dłużej. Przekonali się o tym ostatnio Sara James i...
Piotr Adamczyk

Polski American Dream

Fot. fot sara_james_music/instagram

eprasa.pl 89c74f1c09

JOLANTA GAJDA–ZADWORNA

Współczesne globalno-medialne igrzyska: „America's Got Talent". A na nich 14-letnia Sara James, która przyjechała z Polski. Zaśpiewany na żywo przebój „Rocket Man" Eltona Johna zapewnił jej przejście do finału 17. edycji show, którego zasięg daleko wykracza poza granice USA.

JAKBY BYŁ TWÓJ

Zarówno wykonanie, jak i własna interpretacja utworu spotkały się z żywiołowym przyjęciem widowni. Opublikowany na YouTube występ Sary przez dobę zebrał ponad 1,3 mln wyświetleń.

Spektakularnie przebiegło też pierwsze spotkanie z jurorami amerykańskiego show. 14-latka zachwyciła ich wykonaniem piosenki „Lovely" Billie Eilish. Przewodniczący jury Simon Cowell wcisnął złoty przycisk.

W półfinale znów był pod wrażeniem: „Wzruszyłem się, bo wiem, jak dużo ten występ dla ciebie znaczy. Wybór piosenki był genialny. Sprawiłaś, że ten utwór brzmiał, jakby był twój" – zapewniał.

W drugiej części tej oceny okazał się bardzo bliski zdaniu wokalisty, rockmana i trenera „The Voice of Poland", którego poprosiliśmy o opinię na temat Sary i jej American Dream.

Marek Piekarczyk przede wszystkim podkreślił wagę podążania własną ścieżką. Także w utworach najbardziej, jak by się wydawało, odległych od swoich możliwości i doświadczeń. Stąd jego propozycja, by wokalistki szlifowały warsztat i wrażliwość na utworach „męskich", a wokaliści – tych wykonywanych w oryginale przez kobiety. – Chodzi o odnalezienie w takiej interpretacji własnego tonu, a nie dążenie do idealnego naśladownictwa. Nie imitować, nie porównywać się, lecz odnaleźć siebie. I zaśpiewać swoją barwą głosu. Do tego też dążę podczas warsztatów w „The Voice Poland" – zapewnia Piekarczyk.

CZARUJĄCA DZIEWCZYNA

O Sarze, z którą zamienił raptem parę zdań, mówi „czarująca dziewczyna". O jej talencie: Pan Bóg ją wylosował, ale też dodaje, że się trochę o nią martwi: – Jest taka młoda, a będzie musiała tyrać jak dorosła.

Szkoda mu też jej dzieciństwa: czasu i przestrzeni potrzebnych na własny rozwój, budowanie osobowości.

Piekarczyk zauważa też, że młodym ludziom wchodzącym w show-biznes porażki czasem lepiej służą niż sukcesy. Na szczęście Sara przerobiła i to, o włos przegrywając Eurowizję Junior.

Jaką piosenkę dałby jej do wykonania? Któryś z utworów Magdy Umer, Ewy Bem, a przede wszystkim Ewy Demarczyk. Np. „Jaki śmieszny jesteś pod oknem" albo „Groszki i róże", a na poważne zadanie: „Grande Valse Brillante".

Kadr z filmu „Hawkeye"

– Chodzi o to, żeby na etapie uczenia się, szlifowania wokalu, śpiewać, śpiewać i jeszcze raz śpiewać, ale „po kontrze" – podkreśla Piekarczyk – wybierać piosenki „przeciwko sobie", bo to jest przygoda, która kształtuje osobowość i głos.

ZE SŁUBIC DO USA

Urodzona w Słubicach (i uczęszczająca w tym mieście do szkoły muzycznej I stopnia) Sara James zwyciężyła w czwartej edycji programu „The Voice Kids". W tym samym 2021 r. reprezentowała też Polskę w 19. Konkursie Piosenki Eurowizji dla Dzieci. Jest córką Polki Arlety Dancewicz i Nigeryjczyka Johna Egwu-Jamesa. To pasja i determinacja ojca (również piosenkarza, uczestnika m.in. programu „X Factor"), który od najmłodszych lat szlifował jej talent i umiejętności, doprowadziły Sarę do kolejnych sukcesów. Zasługą obojga rodziców wydaje się mądre prowadzenie nastolatki przez świat show-biznesu.

WROBIONY W MARZENIE

Na zupełnie innym etapie – zawodowym i prywatnym – amerykański sen przeżywa też aktor doświadczony, doceniony i – wydawałoby się – spełniony.

Piotr Adamczyk, bo o nim mowa, na początku sierpnia pojawił się na światowej premierze obrazu „Bullet Train" (z Bradem Pittem w głównej roli), by po dwóch tygodniach wziąć udział w warszawskiej premierze filmu „Wrobiony", gdzie zagrał jedną z głównych ról.

Na czerwonym dywanie w Los Angeles towarzyszyła mu żona, również aktorka. Za oceanem Piotr Adamczyk trafił do uniwersum Marvela, grając rolę Tomasa w serialu „Hawkeye". Karolina Szymczak znalazła się w obsadzie kolejnej produkcji z Bradem Pittem – filmu „Babylon" w reż. Damiena Chazelle (obraz będzie miał światową premierę w grudniu br.).

Wypowiadając się dla amerykańskiej stacji telewizyjnej, Piotr Adamczyk stwierdził, że rola w „Hawkeye" jest dla niego nowym doświadczeniem: „W Polsce grałem Jana Pawła II czy Chopina. Rola członka mafii... to jak dar".

W najnowszej rozmowie – z Onetem – stwierdził, że chciałby móc pracować w kraju „bo przecież ojczysty język daje szansę na najgłębsze dojście do wiarygodności i prawdy", ale odnajduje się też w Stanach, m.in. dlatego, że w wielonarodowych ekipach nikt się nie wyróżnia, „każdy jest skądś".

Fot. Disney+

eprasa.pl 89c74f1c09

ZAREMBA PRZED TELEWIZOREM

„Ranczo", czyli zaprzeszła epoka

Przyznam się do wakacyjnej słabości. Dzięki kanałowi TVP Seriale z uporem maniaka wracam do serialu „Ranczo". Potrafię każdego dnia fundować sobie jeden, dwa odcinki, znane mi na pamięć. Kiedyś dogryzałem temu serialowi. Jest w nim jednak coś, co każe do niego wracać.

Przypomnę, Wojciech Adamczyk nakręcił 10 sezonów między 2006 i 2016 r. Rzecz działa się w podlaskiej wsi Wilkowyje, do której sprowadziła się Amerykanka polskiego pochodzenia Lucy, przejmując zdewastowany dworek. Przyszło jej się borykać z dybiącym na posiadłość wójtem i z nieufnymi mieszkańcami. Z czasem tak weszła w społeczność, że została nowym wójtem i poślubiła miejscowego artystę Kusego. A poprzedni wójt zrobił wielką karierę polityczną. Jest jeszcze jego brat bliźniak, ksiądz, który zostaje biskupem.

Serial bił rekordy popularności, powstawały internetowe fora wielbicieli, nakręcono mniej udany, pojedynczy film fabularny. Pod presją fanów dodawano kolejne sezony. Kluczem było coś, co udało się w Polsce jeszcze kilka razy, choćby przed wielu laty w serialu bardziej serio: „Dom". Wykreowano własny, wielowątkowy, barwny świat, z którego poszczególnymi elementami Polak mógł się utożsamiać.

Owszem, śmieszyła mnie dydaktyczność niektórych wątków: propagowanie korzyści z unijnych pieniędzy, nawoływanie do walki z domową przemocą czy apele o zreformowanie polskiej szkoły. Nie, żebym z tymi celami chciał walczyć, ale było to tak natrętnie poprawne, że zmieniało się we własną karykaturę. Choć były i kierunki mniej poprawne, choćby ciepły portret Kościoła. Owszem, proboszcz, a potem biskup też podlega różnym reedukacjom, ale zasadniczo chce lepiej od brata wójta. Zdecydowanie to niedzisiejsze, choć tak niedawne.

Pod koniec irytował mnie też coraz bardziej księżycowy wątek polityczny. Nie żądałem portretu rzeczywistości w skali 1 : 1. Ale przekonywanie, że można wygrać wybory prezydenckie niemal nie ruszając się z rodzinnej wsi, tak kolidowało z tym, co wiemy o polskiej polityce, że „Ranczo" zaczęło tracić status czegoś „życiowego". Za to zachwycające były wątki poboczne, najbardziej nieoczywiste. Choćby ten z Klaudią, córką wójta, zmieniającą tożsamości jak rękawiczki, zawsze z jednakową egzaltacją.

Myślę, że patrząc po raz któryś, coraz lepiej odkrywam mocne strony serialu. Po pierwsze, historie mogą być absurdalne, ale dialogi są żywe, paradoksalne, czasem dowcipne (Robert Brutter, Jerzy Niemczuk). Po drugie, ten serial to wielki pomnik możliwości polskiego aktorstwa. Cezary Żak (wójt i ksiądz) stworzył dwie, nie jedną, wspaniałe kreacje. Obok naprawdę kapitalni: Artur Barciś (Czerepach), Magdalena Kuta (Lodzia), Violetta Arlak (żona wójta), Sylwester Maciejewski (Solejuk), Katarzyna Żak (Solejukowa), Wojciech Wysocki (doktor), Marta Chodorowska (Klaudia), Grzegorz Wons (Więcławski), Dorota Chotecka (Więcławska), Arkadiusz Nader (posterunkowy), Franciszek Pieczka (Japycz), Marta Lipińska (Michałowa), Mateusz Rusin (ksiądz Maciej). Ten zastęp ról jest kilka razy dłuższy.

Jest i coś jeszcze. Mamy tu niby sporo satyry, a mimo to nie był on tworzony jednostronnie za kimś czy przeciw komuś (mimo dydaktycznych smrodków). I dlatego tak nie pasuje do dzisiejszego czasu. Co jakiś czas pojawiają się rozważania, czy go nie wznowić. Zmarł Paweł Królikowski, kapitalny jako Kusy. Ciężko by też było pokazywać wielką politykę – wójt zmieniony w ostatnim odcinku w prezydenta nie mógłby urzędować w Wilkowyjach. Ale główny powód, dla którego kontynuacja byłaby operacją karkołomną, jest ten, że to jakby świadectwo zaprzeszłej epoki.

Piotr Zaremba

eprasa.pl 8004f1c09

Polski wirtuoz skrzypiec w Edynburgu

Refleksje nie tylko artystyczne budzi trwająca od czerwca do października 2022 r. w Edynburgu wystawa „Muzyka i migracja w georgiańskim Edynburgu: historia Feliksa Janiewicza". Kim był ten zapomniany w Polsce artysta, ale też twórca życia kulturalnego Londynu, Liverpoolu i Edynburga?

ADAM CIESIELSKI
Z EDYNBURGA

Kameralna, efektownie skomponowana przez Josie Dixon, praprapraprawnuczkę bohatera, ekspozycja w salach muzeum Georgian House przybliża postać podziwianego w Europie polskiego wirtuoza skrzypiec i kompozytora przełomu XVIII i XIX w. Artysty, który uciekając ze zrewoltowanej Francji, nie wrócił do wstrząsanej rozbiorami ojczyzny, ale osiadł w Anglii. Obdarzony talentem emigrant współtworzył życie muzyczne Londynu, Liverpoolu, Edynburga. W ostatnim z tych miast był w 1815 r. jednym z założycieli legendarnego festiwalu muzycznego, do którego tradycji nawiązują animatorzy organizowanych od 1947 r. słynnych w świecie sztuki międzynarodowych festiwali edynburskich.

BIAŁE PLAMY I TAJEMNICZE AWANSE

Janiewicz, który ma w dorobku m.in. pięć koncertów skrzypcowych, koncert fortepianowy (jego sześć triów smyczkowych zainspirowało w latach 40. XX w. Andrzeja Panufnika do napisania własnego utworu – Divertimento), nie jest w Polsce postacią nieznaną. Wbrew tytułowi książki Mieczysława Szlezera „Feliks Janiewicz: polski skrzypek zapomniany przez swoich, doceniony przez obcych" (Kraków, 2017) bywa – nieczęsto, ale jednak – wykonywany, nagrywany, opisywany. Jego spuściznę bada muzykolog Andrzej Sitarz, który też dla wydawnictwa Musica Iagellonica opracowuje jego dorobek. Ukazały się już dwa tomy jego dzieł. Wszakże jego życiorys ma białe plamy nawet dla doświadczonych badaczy.

Wiadomo, że urodził się w Wilnie w 1762 r., ale dokładnie kiedy, nie wiadomo. Nic też nie wiadomo o jego rodzinie. W Anglii był uważany za szlachcica, czy był nim rzeczywiście, to też pytanie bez odpowiedzi. Szkół muzycznych w XVIII w. nie było, panował system uczenia się od mistrza, najczęściej doświadczonego instrumentalisty. Mógł być uczniem któregoś ze skrzypków kapeli dworskiej Radziwiłłów czy innych magnatów litewskich.

Obok zdolności oraz instrumentu młodzian musiał mieć też nie lada protekcję, skoro w wieku 15 lat podobno udało mu się dostać na audiencję u króla Stanisława Augusta, który zwykł osobiście przesłuchiwać kandydatów do swojej orkiestry teatralno-operowej. W tym 30-osobowym zespole być może grał na skrzypcach Stradivariusa, zakupionych dla orkiestry jeszcze w czasach Augusta II. Z bliska, bo z pozycji członka zespołu, obserwował popisy znakomitych skrzypków włoskich, zapraszanych na koncerty na warszawskim dworze.

Z WARSZAWY W ŚWIAT

W 1784 r. król Stanisław August z własnej szkatuły funduje Janiewiczowi stypendium zagraniczne, w czym zawistna plotka uliczna upatruje promocji nieślubnego syna za publiczne pieniądze. Plotka ta nie ma wiarygodnego potwierdzenia, ale – co ciekawe – nie była to ostatnia wizyta młodziana u monarchy. Janiewicz po rocznym pobycie w Nancy przeniósł się do Wiednia, uczył się kompozycji u Josepha Haydna, poznał Mozarta, który pod wrażeniem gry Polaka we wspólnym koncercie miał mu ponoć zadedykować Andante A-dur na skrzypce i orkiestrę. Młody Polak koncertował często, zyskując duże uznanie, a swoje występy zwykł kończyć polonezem.

W 1785 r. artysta zostaje w Neapolu przedstawiony księżnie Izabeli Lubomirskiej z domu Czartoryskiej. Ta zaproponowała mu dalszy pobyt w Italii i pokrycie kosztów nauki u wybitnych miejscowych wirtuozów. Pod nowym mecenatem Janiewicz pisze dwa pierwsze ze swoich koncertów skrzypcowych, po przeniesieniu się do Francji dochodzą dalsze, ich zapisy nutowe zostają wydane w dwóch znanych oficynach paryskich. Dzięki przychylności bogatych i wpływowych dam francuskiego dworu Polak zyskuje intratną posadę w orkiestrze brata królewskiego, Ludwika Filipa Orleańskiego.

Uznanie i zarobki są kuszące, jednak sytuacja w zrewoltowanej Francji staje się coraz niebezpieczniejsza. Z dnia na

eprasa.pl 89c74f1c09

dzień znikają chętni do słuchania muzyki. Książę orleański wstrzymuje wypłatę pensji dla muzyków. Wystraszony arystokrata próbuje ratować skórę, przyjmuje rewolucyjne nazwisko Égalité, udziela się wśród jakobinów, podczas procesu Ludwika XVI popiera wyrok na parę królewską, wkrótce jednak i on zostaje zgilotynowany. Ucieka, kto może.

Fot. rts.org.uk

W BEZPIECZNEJ ANGLII

W 1792 r. na zaproszenie poznanego we Włoszech rzutkiego niemieckiego skrzypka, impresaria i dyrygenta Johanna Petera Salomona Feliks Janiewicz przybywa do Londynu, gdzie – być może – jest już znany z wcześniejszych występów. Wraz z innymi europejskimi gwiazdami udziela się na słynnych wieczorach Salomona. Swój koncert (prawdopodobnie nr 1) zagrał pod batutą Haydna. „Wielki skrzypek Yaniewicz zasłużył na nasze największe uznanie [...]. Osiągnął nadzwyczajny poziom pewnego, nośnego tonu, prowadzenie smyczka, które daje nadzwyczajny efekt wspaniałego wykonania, przeplatającego w pięknych frazach prostotę i pasję. Adaggio przyniosło wiele radości wszystkim obecnym, a rondo doprowadziło panie na szczyty muzycznego poruszenia" – relacjonował „The Times".

Po entuzjastycznym początku ciąg dalszy też był pomyślny. Janiewicz (rychło z lekka zanglicyzował pisownię nazwiska na Yaniewicz) brylował nie tylko jako wirtuoz skrzypiec, ale także dyrygent, aranżer, nauczyciel muzyki. Z czasem także, gdy słynny Salomon zaczął wycofywać się z biznesu, Feliks powiększył wachlarz swoich możliwości na agencję koncertową.

Animującą wydarzenia artystyczne i sprowadzającą na nie najgłośniejsze gwiazdy lokalne i europejskie, takie jak skrzypek Niccolò Paganini czy jego rodaczka, najlepsza sopranistka swojej ery, Angelica Catalani. Ta sama, którą w Warszawie oklaskiwał nastoletni Fryderyk Chopin, a ona młodego polskiego geniusza fortepianu promowała potem w Europie. Doszła do tego jeszcze aktywność handlowa Janiewicza – prowadzone wraz ze wspólnikami m.in. w Londynie i Liverpoolu magazyny sprzedające instrumenty renomowanych pracowni, nuty z repertuarem salonowym i poważnym. Dziś taka wszechstronność nie jest praktykowana, w tamtych czasach była częstym zjawiskiem. Dość wspomnieć aktywność Pleyela czy Clementiego, a przecież i Paganiniemu zdarzało się sprzedawać bilety na swoje koncerty.

ŻYCIE RODZINNE

Pomyślność zawodowa zachęcała do myśli o stabilizacji rodzinnej. Janiewicz żeni się w Liverpoolu z Elizą Breeze. Dwoje dzieci z tego związku zmarło w niemowlęctwie, trzecie – chłopiec obdarzony imieniem Felix oczywiście – wyrósł i wykształcił się na stomatologa i chirurga szczękowego. Jego dwie siostry: starsza, Felicity, była pianistką i śpiewaczką, młodsza, Pauline – harfistką. Obie nierzadko występowały z ojcem.

Janiewicz jest w latach 1813–1815 jednym z założycieli Philharmonic Society of London, nowo powstałą orkiestrę filharmoniczną prowadził jako dyrygent i koncertmistrz. Sława polskiego muzyka sprawiła, że w 1815 r. Edynburg (do tego miasta artysta przeprowadził się wraz z rodziną na resztę życia) złożył mu propozycję prowadzenia od pulpitu dyrygenckiego pierwszego festiwalu edynburskiego. Janiewicz współtworzył także dwie następne edycje imprezy, do której nawiązują współcześni organizatorzy festiwali edynburskich. Słynął jako znakomity muzyk, organizator i nowator. Wypromował np. programy złożone wyłącznie z utworów instrumentalnych w czasach, gdy nie wyobrażano sobie koncertu bez popisów wokalnych. W koncertach prowadzonych przez siebie, a także w swoich wydawnictwach nutowych zwykle umieszczał akcenty polskie – własne kompozycje w typie polonezów czy mazurków, a także m.in. polonezy Ogińskiego.

ODKRYCIA PRAPRAPRAPRAWNUCZKI

Kompozytor zmarł w 1848 r., kilka dni temu w Edynburgu odwiedziłem grób Yaniewiczów na starym cmentarzu Warriston. Zdaniem brytyjskiego muzykologa Adriana Thomasa, specjalizującego się w historii muzyki polskiej, V koncert skrzypcowy Janiewicza „zdaje się antycypować nie tylko Mendelssohna, lecz i słowiańskich kompozytorów końca XIX w., takich jak Dworzak". To trafna obserwacja, wszakże do niedawna pamięć o polsko-litewsko-brytyjskim artyście sprzed dwóch i pół wieku była w Szkocji znikoma. Tę sytuację na

eprasa.pl 89c74f1c09

Stołowy fortepian firmy Yaniewicz & Green

Fot. Adam Ciesielski

naszych oczach zmienia prapraprapra-wnuczka Janiewicza – Josie Dixon.

Wykształcona w Cambridge i Oksfordzie, doświadczona w pracy wydawniczej, prowadzi dziś firmę doradzającą w sprawach publishingu. Jej rodzice byli muzykami, ona też amatorsko muzykuje. O swoim przodku czasem coś w młodości słyszała, zwłaszcza od babki, która miała w salonie portret owalny Janiewicza i kilka innych jego drobiazgów. Trzy lata temu przypadkowa rozmowa ze studentką o skrzypcach Stradivariusa przypomniała jej rodzinne opowieści i zabytkowy podwójny pusty futerał, mieszczący niegdyś dwa cenne instrumenty praprzodka – skrzypce renomowanych firm: Amatiego i Stradivariusa właśnie. Na ślad tych skrzypiec nie natrafiła do dziś, za to w internecie w 2019 r. natknęła się na zaoferowany do sprzedaży stołowy fortepian firmy Yaniewicz & Green.

– Okazało się, że to autentyczny instrument ze sklepu mojego słynnego prapraprapradziadka – opowiada Josie Dixon. – Znawca i restaurator starych instrumentów klawiszowych Douglas Hollick kupił go przed laty w Walii w stanie niemal kompletnej ruiny i stopniowo doprowadził do idealnego stanu pierwotnego. Mało tego, opublikował artykuł o historii starego fortepianu oraz o Felixie Yaniewiczu, z którego sama się bardzo dużo dowiedziałam. Wiedziałam już, że trzeba to wszystko pokazać i opowiedzieć. Tak zrodził się pomysł wystawy, na której obok zakupionego zabytkowego fortepianu jest lira-gitara firmy Yaniewicz & Co., wspaniale intarsjowany podwójny futerał na skrzypce, w którym były kiedyś instrumenty Stradivariusa i Amatiego. Także owalny portret Janiewicza pędzla de Longstare'a, sztambuchy, korespondencja ze sławnymi artystami, wypożyczone od różnych gałęzi rodziny rzeczy osobiste, tabakiera, srebrne sztućce. Ponadto pieczęci z wygrawerowanym napisem „Pro Lithuania", wyrażającym niegasnącą miłość do nieistniejącej wówczas na mapie Rzeczypospolitej Obojga Narodów – rekomenduje Josie. I dodaje: – Uderza mnie podobieństwo między czasami Janiewicza i naszymi. Mój przodek był uchodźcą z rozebranej przez sąsiadów Polski, uciekinierem z ogarniętej rewolucją Francji. Szukał bezpieczeństwa dla życia swojego i rodziny, także dla swojej twórczości. I znalazł je w Anglii. A wszak i dziś z podobnymi nadziejami szukają bezpiecznego miejsca miliony nowych uchodźców.

* * *

W zdobyciu środków na zakup fortepianu stołowego Yaniewicz & Green i organizację ekspozycji pomogła Josie Dixon fundacja The Friends of Felix Yaniewicz, National Trust for Scotland, Instytut Adama Mickiewicza, Konsulat Generalny RP w Edynburgu, hojność środowiska Polaków w Szkocji, darowizny z wielu krajów. Przybycie do Edynburga zakupionego instrumentu jesienią 2021 r. uświetniły recitale Stevena Devine'a, znanego w Polsce wybitnego solisty Orkiestry Wieku Oświecenia, oraz polskiego pianisty Pawła Siwczaka. Teraz, do 20 października 2022 r., instrument rozbrzmiewa podczas ilustrowanych muzyką prelekcji towarzyszących wystawie, a po jej zakończeniu wróci na stałe miejsce do imponująco odnowionego Domu Stowarzyszenia Polskich Kombatantów przy Drummond Place.

Wystawa jeszcze trwa, tymczasem zauważalny jest powrót utworów Janiewicza do repertuaru koncertowego różnych zespołów: w maju Zbigniew Pilch z kwartetem The Violin Consort w edynburskiej katedrze św. Idziego zagrał kameralne wersje jego koncertów, za kilka tygodni z kolei Scottish Chamber Orchestra wystąpi w stolicy Szkocji z trzema koncertami skrzypcowymi Janiewicza.

Reklama | 12/0822/F

eprasa.pl 89c74f1c09

DOSTĘPNY Z TYGODNIKIEM

niedziela

TYGODNIK KATOLICKI OD 1926

OD 4 WRZEŚNIA

NOWY TYGODNIK

BLIŻEJ ŻYCIA z wiarą

ludzkie historie

przepisy kulinarne

cuda i łaski

rodzina

rozrywka

podróże

kącik dla dzieci

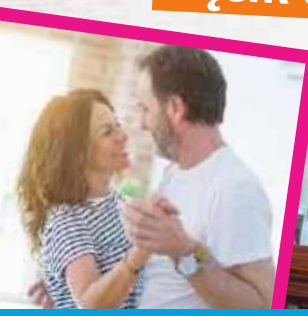

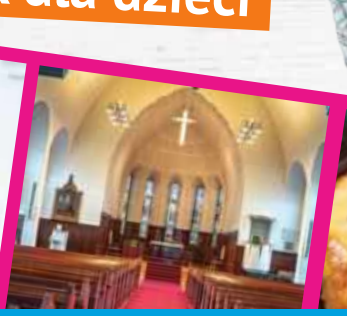

blizejzycia.pl

eprasa.pl 89c74f1c09

3 MIŁOŚCI

Uśmiechnięta rozpacz

ROBERT TEKIELI

Ekspertka gender z Bostońskiego Szpitala Dziecięcego tłumaczy na TikToku, jak rozpoznać, czy niemowlak jest transseksualistą. Szpital oferuje pełny zestaw opcji „leczenia" dzieci w celu bezproblemowej zmiany płci: usuwanie piersi, macicy i kształtowanie sztucznego penisa u dziewczynek, a także formowanie pochwy u chłopców. Komentarz na Twitterze: rodzice poddający dzieci hormonalnej i chirurgicznej tranzycji są na poziomie prymitywnych ludów Afryki, przyzwalających na rytualną infibulację. To jest ten sam poziom zdziczenia. Zdziczenia, które powinno być napiętnowane nie mniej niż afrykańskie okaleczanie dzieci.

„Umiałbym zaakceptować kazirodztwo" – czytam na Onecie. „Biologia rejestruje podobne zachowania seksualne u niemal wszystkich gatunków zwierząt. Otwórzmy się na seks matki z synem".

Victor Madrigal-Borloz, ekspert ONZ do spraw promocji LGBT+, wzywa rządy państw członkowskich do karania duchownych za wypowiedzi, które nie popierają praw lesbijek, gejów, biseksualistów i transseksualistów, ponieważ niepopieranie jest podżeganiem do przemocy.

W Holandii rozpoczęły się eutanazje alkoholików. Dołączyli do chorych psychicznie i osób z depresją. Holenderski Sąd Najwyższy orzekł, że można zabić człowieka, również gdy pacjent nie jest w stanie wyrazić swojej woli.

Szwedzcy naukowcy apelują o akceptację kanibalizmu jako remedium na zmiany klimatyczne na Ziemi. Gazprom zapłacił 192 mln dol. Fundacji Klimatycznej Meklemburgii za wsparcie budowy Nord Stream 2. UNESCO na 74. sesji Zgromadzenia Ogólnego ONZ ogłosiło, że chce przyspieszenia realizacji depopulacyjnej Agendy 2030 przez obowiązkowe lekcje w szkołach wszystkich państw świata z dziedziny gender studies i zrównoważonego środowiska – czyli walki ze wzrostem gospodarczym. Klaus Schwab ze Światowego Forum Ekonomicznego i sekretarz generalny ONZ António Guterres podpisali porozumienie o przyspieszeniu Agendy 2030. Tajwański chemik, prof. Yuan Tseh Lee, laureat Nagrody Nobla z Harvardu, katolik, oświadczył w trakcie seminarium Papieskiej Akademii Nauk, że kluczowe dla walki z ociepleniem klimatu jest zmniejszenie do 2050 r. liczby ludności na świecie o połowę. Chodzi o to, by ułatwić przejście światowej gospodarki na energię odnawialną. Jak można w ciągu 20 lat tak zmniejszyć populację? Wchodzi w rachubę tylko ludobójstwo.

Nowa Zelandia ogłasza plany nałożenia podatku ekologicznego na właścicieli zwierząt gospodarskich, by przeciwdziałać zmianom klimatu. W Holandii państwo próbuje zlikwidować jedną trzecią gospodarstw rolnych, chroniąc świat przed związkami amoniaku.

Na tiktokowym profilu „Tylko dla fanów aborcji", na którym można zobaczyć, jak rozrywane dziecko wyciąga się z waginy, rozmowa dwóch aborcjonistek. Jedna wspomina, jak zabiła dziecko w 21. tygodniu ciąży i chciała widzieć, jak wyciągane są jego „krwawe flaki". Druga promuje aborcyjne porno.

Amerykanka z pokolenia milenialsów pozwała swoich rodziców za to, że urodzili ją bez jej zgody i wygrała proces. Rodzice odwołali się i nie muszą jej płacić 5 tys. dol. miesięcznie.

TVN rusza z cyklem reportaży o pracy seksualnej zatytułowanym „Kobiecy punkt widzenia". Bohaterkami filmów są prostytutki.

Miesięcznik „Zwierciadło" przekonuje, że nie ma różnic między płciami, a otyłość jest zdrowa.

James Shupe parę lat temu został uznany za pierwszą niebinarną osobę w USA. Dzisiaj mówi, że to wszystko było oszustwem.

Nowym trendem wśród transaktywistów jest ksenogender. Osoby ksenopłciowe uważają, że nie są ani mężczyznami, ani kobietami, a ich płeć to zwierzęta lub rzeczy. Doggender czują powiązania z psami, dinogender z dinozaurami, a froggender z żabami.

W imigranckiej dzielnicy w Torcy pod Paryżem kilkanaścioro dzieci wieku 8–17 lat grało w piłkę małym kotkiem. Świadek horroru prosił o anonimowość z obawy przed represjami. „Byli bardzo agresywni".

Młody Boliwijczyk, Víctor Hugo Mica Álvarez, został złożony w zamkniętej trumnie jako „sullu", czyli w ofiarze bogini ziemi Pachamamie. W 2019 r., w czasie synodu biskupów dla Amazonii w Watykanie, ustawiono jej figurki w Ogrodach Watykańskich i w bazylice św. Piotra, a biskupi katoliccy oddawali im pokłon. 1 sierpnia 2022 r. w święto

eprasa.pl 89c74f1c09

bogini ziemi, na stronie argentyńskiej diecezji Venado Tuerto znalazła się modlitwa do Pachamamy.

Aktywistka aborcyjna na filmiku zatytułowanym „Zrób to sam" wyjaśnia, jak zbudować w domu ołtarz aborcyjny. Kobieta klęczy w postawie modlitewnej przed ołtarzem z pojemnikiem na szczątki dziecka po aborcji i pigułkami aborcyjnymi.

„Pedofile są najbardziej oczernianą populacją ludzi w naszej kulturze" – mówi na swoim profilu społecznościowym terapeutka seksualna używająca zaimków „ona/jej". Mężczyzna ten przekonuje, że należy o pedofilach mówić jako o „osobach, które pociągają małoletni", bowiem słowo „pedofil" jest stygmatyzujące.

Na początku sierpnia w wypadku zginęła amerykańska kongresmenka Jackie Walorski pracująca z Anne Heche przy próbie położenia kresu handlowi dziećmi zmuszanymi do uprawiania nierządu. Jackie zginęła w wypadku samochodowym tydzień wcześniej niż Anne Heche, która wypowiadała się na temat „epidemii handlu dziećmi" w Hollywood. W sieci krąży nagranie pokazujące, jak aktorka próbuje wydostać się z worka na zwłoki załadowywanego do karetki.

Jednym z nurtów subkultury gender są także tzw. osoby transwiekowe. Niektóre z nich uważają, że są wiecznymi dziećmi uwięzionymi w dorosłym ciele. Część uprawia infantylizm parafiliczny: seksualizację niemowląt.

Francja powoła ambasadora mniejszości LGBT+: „Bitwa o umysły nie jest jeszcze wygrana".

Cywilizacja pożerająca własne dzieci, cofająca się do akceptacji kazirodztwa, do usypiania staruszków. Zdemonizowane aktywistki, pogubieni biskupi, matki z wypranymi mózgami. Uśmiechnięta, rozbestwiona, rechocząca rozpacz.

WOJNA CYWILIZACJI

POPKULTURA

Warte Kiedy my doświadczamy bezczelnej dominacji sędziowskiej kasty zapewniającej sobie na każdym kroku bezkarność, popkulturową sondą, którą możemy zapuścić w amerykański system sprawiedliwości, jest serial paradokumentalny „Sędzia Judy". Nie warto w ogóle pisać o podobnych polskich produkcjach, takich jak „Sąd rodzinny" czy „Sędzia Anna Maria Wesołowska", bo to byłoby porównywanie filmów z Clintem Eastwoodem z „07 zgłoś się".

Błyskotliwość i zdecydowanie tytułowej bohaterki serii budzi podziw – gwiazdą 25 sezonów tego reality show (po 260 odcinków w sezonie!) jest była sędzia sądu rodzinnego na Manhattanie Judith Sheindlin, uznawana aż do zakończenia sądowej kariery za jednego z najtwardszych sędziów sądu rodzinnego w kraju.

Co ciekawe, dotykamy prawdziwego życia, bowiem przed postępowaniem wszystkie zaangażowane strony podpisały umowy arbitrażowe, zgadzając się z orzeczeniem Sheindlin, a są tu rozpatrywane rzeczywiste spory. Niespłacone pożyczki, naruszenia umów, wypadki samochodowe, los wspólnie nabytego sprzętu AGD, drobne uszkodzenia mienia, naruszenie nietykalności osobistej, spory byłych kochanków, przyjaciół czy wreszcie konflikty rodzinne i sąsiedzkie, wszystkie te sprawy są rozstrzygane z żelazną logiką, szybko i sprawiedliwe.

Poznajemy życie zwyczajnych Amerykanów. Sztuczny świat atrakcyjnych i szczupłych, kreowany przez Hollywood, ma dzięki temu kontrapunkt. Ta „prawdziwa Ameryka" sądowych reality show jest gruba tak samo jak w paradokumentach policyjnych czy serialach, których akcja toczy się w lombardach. „Sędzia Judy" to absolutnie pierwsza liga. Jednym z dowodów są trzy nagrody Emmy.

Podobną estymą obdarzam brytyjską serię „Katastrofy lotnicze". Ten program dokumentalny ukazuje rekonstrukcje różnego typu wypadków lotniczych, czasami widzianych oczami osób ocalałych i naocznych świadków, a zawsze ekspertów lotniczych i śledczych. Mamy wygenerowane komputerowo inscenizacje katastrof i szczegółowe nagrania z kokpitów. Widzimy prawdziwe ludzkie dramaty. Niektóre z rozmów nigdy nie były publikowane, niektóre słowa padają po raz pierwszy. Ocaleli piloci mierzą się z konsekwencjami własnych decyzji, nie zawsze szczęśliwych. Mamy też rozmowy z prawdziwymi bohaterami, których profesjonalizm ratował życie.

Dla mnie istotne jest również to, w jaki sposób katastrofy zmieniają lotnictwo. Ulepszone modele samolotów, precyzyjniejsze procedury, nowe systemy antykolizyjne i efektywniejsze systemy ewakuacji pasażerów. Fascynuje mnie też rzetelność większości dochodzeń. Czasami do momentu odkrycia przyczyny wypadku mija 20–30 lat. Determinacja śledczych uratowała życie wielu z nas. Dzięki pracy ludzi zaangażowanych w potężny projekt, jakim jest lotnictwo, dziś lata się bezpieczniej. To pocieszające.

***Robert Tekieli**, Polskie Radio*

eprasa.pl 89c74f1c09

Wojciech Stanisławski

Dwie smutne siostry

W zwięzłych, energetycznych minipowieściach Barysa i Bieżuńskiej uderza pokrewieństwo wyrastające z doświadczeń pokoleniowych, z nowych idei i wrażliwości, które pojawiają się niepowstrzymanie jak przybór rzeki, fala upałów

Dwie okładki, projekt typograficzny (bardzo dobry) spod jednej ręki, grafika (niezła) już nie, dwie bohaterki, starsza i młodsza, pierwsza stale niedojadająca, druga zapasiona przez babcię i zajadająca stres. Dwa miasta powiatowe, jedno nazwane (Pabianice), ale i tak ubaśniowione, drugie nienazwane, ale z czytelnym układem zrujnowanych poniemieckich kamienic i zwilgłych peerelowskich blokowisk, to mógłby być Gorzów czy Ostróda.

Jedna dziewczyna całkiem z lower class, gdzie są dojadane przeterminowane, pocące się hydrolizatem szynki z sieciówki, druga z lower-middle class, aspirującej, a jakże, gdzie wysyła się dziecko na lekcje pianina i krawcowa upina na komunię brzydką suknię z poliestru, a rosołu i wódki na obiedzie nie braknie. Jedna obrażona na księdza, ale odmawiająca modlitwy i druga (ta młodsza) wypłukana z wszelkiej metafizyki, ale z Maryjami „za szkłem wśród kryształów" i koszmarnym stempelkiem „Spowiedź zdana" w zeszycie od religii. Najważniejsze: obie bez imienia, pierwsza to (może?) Ula, druga zupełny „no name", pseudo-Sylwia. Pierwsza magiczna, druga satyryczna, pierwsza stoicka, druga rozpaczliwa. Co miałbym o nich napisać? „Boomer wyprawia się na przechadzkę w poszukiwaniu »młodej literatury« i spotyka dwie siostry, po czym wraca do pensjonatu, zdegustowany, bo..."?

Nie, nie napiszę w te słowa, choć w zwięzłych, energetycznych minipowieściach Barysa i Bieżuńskiej uderza pokrewieństwo, wyrastające z doświadczeń pokoleniowych, ale i – jakby rzec – z Zeitgeistu, z nowych idei i wrażliwości, które pojawiają się niepowstrzymanie jak przybór rzeki, fala upałów. Nie ma sensu umniejszać ich uszczypliwym terminem „moda", nawet jeśli jest to pierwsze słowo, które nasuwa się obserwatorowi życia społecznego: nagle pojawiają się bicykle i młode damy bez kapeluszy, brody i oporniki, tindery i hulajnogi elektryczne. Wszystko to przychodzi znikąd, przez chwilę gorszy lub trwoży – po czym staje się jedną z niezliczonych warstw kultury, po drodze nieco wietrzejąc. „I Jakub Jasiński porozumiewa się jak umie z Lilian Gish, gwiazdą filmu" – jak ujął to autor, który doświadczył w życiu trochę przemian w Wilnie i gdzie indziej.

Oczywiście w obu tekstach są nuty tak znajome, tak powracające w pisaniu ostatnich lat, że można by złośliwie odptaszkowywać w kolejnych rubrykach znajome, a w niektórych konkursach literackich obowiązkowe może motywy. Nieobecna w polskiej pamięci zbiorowej Zagłada – jest. Schyłek antropocenu, nadciągająca katastrofa ekologiczna – jest. Pamięć o brutalności epoki przemysłowej, retoryka robotnic i fabrykantów, skompromitowana przez PRL i wracająca w nowej historiografii – jest (te trzy przede wszystkim u Barysa). Ukryta przemoc w rodzinie? Jest. Obleśny wujek? Jest. Samookaleczanie się nastolatek z nadwagą? Jest. Alkoholizm i strategie jego ukrywania przed sąsiadami, światem i sobą? Jest, jest, jest.

Motyw księdza, który przychodzi po kolędzie, inkasuje kopertę i nie ma nic do powiedzenia? – jest, a jakże, to u obojga autorów, hojniej u Bieżuńskiej, u której szkolne przygotowania do sakramentu pojednania i komunii puchną w cierpką, bluźniercą niemal groteskę. Tyle że, znając trochę rodzicielskich relacji, wiem, że naprawdę może się tak dziać, że połączenie przemocowości i powierzchowności stłoczonych w klasie dzieciaków ze szkolną rutyną i duchem rywalizacji może być jednym z najgorszych, jakie można sobie wyobrazić, podłoży dla takich przygotowań. Nie chodzi zresztą o epizod z księdzem i kopertą (nieznośnie banalny, tyle razy ogrywany i w powieści, i w satyrze, że Barys mógłby poszukać czegoś mniej oczywistego) ani o koszmarny performance pani Jabłońskiej, katechetki („i dopiero jak ksiądz zastuka, o tak, Jabłońska stuka trzy razy w blat biurka, możecie odejść. To bardzo ważne. Jak trzy razy zastuka, nie wcześniej"). Nie ma w tych książkach antyklerykalnej obsesji Orbitowskiego, Veleza czy Szpili, nie ma furii: jest – dotkliwszy pewnie – chłód, spojrzenie na dziwne rytuały bez wzruszenia, bez bodaj zachwytu etnografa, lecz z rzeczowością

eprasa.pl 89c74f1c09

naturalisty („Jabłońska robi ruch w kierunku jego twarzy, jakby wsuwała bilet do kasownika"). To literackie świadectwo – by przywołać głośną i w moim przekonaniu celną diagnozę Marcina Kędzierskiego – „rozpadu imaginarium", w którym rosła większość z nas i kilkadziesiąt poprzednich pokoleń. Owszem, to rozpad bardzo bolesny. Również wówczas, gdy doświadczany jest przez lekturę.

Co nie znaczy, że nie razi brutalność, dosłowność i dwuwymiarowość tej kreski, która bywa jak maziaje Basquiata na niderlandzkich płótnach: ostatecznie demaskowanie rodzinnej obłudy jest wdzięcznym zajęciem powieści od co najmniej 200 lat, również o alkoholizmie napisano kilka niezłych książek, również o chłodnych, nieumiejących kochać rodzicach, również o rozpaczliwym życiu między pracą na kasie a włączonym na okrągło telewizorem, również o pustce i niezrośnięciu się poniemieckich i pożydowskich miast na Ziemiach Odzyskanych. Austen, Lowry i Huelle potrafili się tym zajmować w taki sposób, by odptaszkowanie motywów było trochę trudniejsze niż w bryku („Powieść o: a) późnym kapitalizmie, b) relacjach podporządkowania, c) alienacji"). Uderza mnie nagromadzenie tych motywów w prozie autorów Cyranki, chciałbym wiedzieć, czy to wrażliwość nowego pokolenia, czy nieumiejętność ukrycia motywów (tak by powieść była mniej zgrzebnie utkana), czy niechęć do ich ukrycia, ot, nowy modernizm, w którym stalowych belek nośnych nie trzeba już chować pod tapetami i stiukami, czy jednak lekkie podkręcenie motywów, które są w tych latach en vogue. Nie wiem. Muszę jeszcze poczytać, doczekać choćby drugich powieści tej dwójki.

Tyle że to dopiero początek przygody z „Kośćmi..." i „Przechodząc...". Jak bowiem na modnych postapokaliptycznych grafikach stalowe żebra pałaców kultury i blokowisk obrasta triumfująca, puchnąca zieleń (iluż znam krytyków, którzy w tym miejscu ochoczo napisaliby o „nawłoci epoki postantropocenu" – ale ja nie z takich) – tak motywy obecne w historiografii, reportażu, czasem po prostu publicznym dialogu ostatnich lat, od postindustrialu Pabianic do przemocy w rodzinie, u Barysa i Bieżuńskiej obrastają tkanką literatury: słowami, ożywionymi wyobraźnią i wrażliwością.

I znowu, wypada się cofnąć o pół kroku i zastrzec, zanim zrobi to ktoś z krytyków młodej prozy: tak, doświadczenie złego dzieciństwa i nastoletniości, przeżywanych w samotności, w ubóstwie, w odrzuceniu, w kręgu brutalnych rówieśników może być jednym z doświadczeń najgorszych – i jako takie bywa eksploatowane przez literaturę. „Świeże groby zawsze wzruszą, niezależnie, gdzie kopane" – i zawsze wzruszy dziewczynka na placu zabaw przypominającym plac tortur, gdzie z żeliwnych huśtawkowych rurek opadają liszaje żółtej farby, a rówieśnicy, plując lepką śliną, opowiadają o ruchaniu.

Łukasz Barys, „Kości, które nosisz w kieszeni", Wydawnictwo Cyranka, 2021
Wiktoria Bieżuńska, „Przechodząc przez próg, zagwiżdżę", Wydawnictwo Cyranka, 2022

I dobrze, że wzruszy! Spójna brzydota i okrucieństwo uniwersum opisanego przez Bieżuńską, ubóstwo, smród i śmiecie uliczek Barysa są prawdą i oskarżeniem. Oskarżeniem pozapolitycznym – nie chodzi o rozliczanie transformacji, od kilku lat modne, od 30 potrzebne. Balkony, na które „bezustannie ktoś wychodzi zajarać – kochanek z owłosioną klatą, poskręcana babcia w potrzasku, 12-letni dzieciak z zapadniętą klatką piersiową" – wisiałyby nad ulicą niezależnie od Balcerowicza. To nagromadzenie szpetoty jest niemal nie do zniesienia: ośrodki sportu i rekreacji, gdzie gołe dzieciaki chlapią się w wodzie z sinicami (Barys), a dno fontann jest pokryte szlamem (Bieżuńska), gdzie na brudnej baumie szeleszczą sterty patyczków po lodach, torebek po chipsach i słonecznikowych łusek. Wszystko niczym rynsztoki z „Ludzi bezdomnych" upgrade'owane o 130 lat. Tyle że w tej prozie szeleszczą również słowa, „bardzo ładnie, cmoka matka. Ładnie i skromnie", „Tam stań, mówi ojciec, żeby ołtarz było widać", „Macie tę gazetę? – wrzeszczy Wacia – Baranowskich Fabian się powiesił!". Zdania i formy relacji międzyludzkich, wśród których wyrastają bohaterki, są jak torebki po chipsach: jaskrawe, niezniszczalne śmiecie.

A jednak nawet w tym – to nie ma być krzepiąca pointa, te powieści są rozpaczliwie smutne – ciągle pojawia się możliwość nazwania. „Gdy wychodzimy z tunelu drzew na słońce, czuję, jakby [ojciec] przeszedł wilgocią spod świerku i rozmiękł nieco". „Powietrze rwało się jak cukrowa wata pod naciskiem jej paznokci". Słowo, ostre i prawdziwe, przeciwko pani Jabłońskiej i chipsom.

eprasa.pl 89c74f1c09

Wielkie Polki *Elżbieta Rakuszanka*

Matka królów

Zasiadała na polskim tronie ponad 50 lat, a drugie tyle – jej kolejni synowie. To z wyjątkowo udanego małżeństwa Kazimierza Jagiellończyka z Elżbietą Rakuszanką narodziła się dynastia Jagiellonów, panująca wówczas nie tylko w Polsce, ale też na Litwie, w Czechach i na Węgrzech

Jan Kapistran miał zupełnie wyjątkowy talent. Potrafił mianowicie nawet trzy razy dziennie wygłaszać kazania tak płomienne i porywające, że słuchacze na granicy ekstazy rozpalali ogniska i ciskali w nie różne luksusowe przedmioty, ślubowali ascezę czy po prostu skłaniali się ku skromnemu, pobożnemu życiu. Ogromna sława wyprzedzała go, dokądkolwiek się udał – a Europę wciągu swojego długiego życia zjeździł wielokrotnie wzdłuż i wszerz. W 1454 r. miał już 68 lat i jeszcze tylko dwa dzieliły go od śmierci. Nie przeszkodziło mu to jednak w dalszym podróżowaniu i przemawianiu do tłumów. „Obdarzony był takim rozsądkiem, wymową i wiedzą, że wydawało się, iż mówi z rozwagą i językiem niebiańskim. Jego kazanie przez następne dwie godziny powtarzano również w języku ludu. W ten sposób każdego dnia kazanie trwało cztery godziny" – wspominał przysłuchujący się wielkiemu kaznodziei Jan Długosz.

W lutym tego roku zrobił jednak rzecz jak na siebie zupełnie niecodzienną. Przebywając w Krakowie, włączył się mianowicie w spór między hierarchami polskiego Kościoła. Zasadniczo nie stronił od polityki, dotyczyło to jednak raczej polityki globalnej, nie zaś tak bardzo lokalnej. Tym razem jednak sprawa była nietypowa. Otóż prymas Jan Sporowski wykłócał się z kardynałem Zbigniewem Oleśnickim o to, któremu z nich przysługuje przywilej pobłogosławienia małżeństwa króla Kazimierza Jagiellończyka z Elżbietą Rakuszanką. Jan Kapistran przez chwilę badał sytuację, wysłuchał stron, podobno skłaniał się ku Oleśnickiemu, ale ostatecznie przyznał ten przywilej sam sobie.

I jego błogosławieństwo okazało się co najmniej równie skuteczne jak kazania. Królewska para doczekała się 13 dzieci, z których czterej synowie zostali królami, córki zaś przez związki małżeńskie spowinowaciły Jagiellonów z większością dynastii europejskich.

Brzydka królowa

Elżbieta miała wówczas lat 18, lekką skłonność do otyłości, przekrzywioną po przebytej w dzieciństwie gruźlicy kości sylwetkę, a przy okazji poważną wadę zgryzu. Wspominały o tym przekazy współczesnych jej kronikarzy, dodając zazwyczaj plotkę, jakoby Kazimierz Jagiellończyk miał na jej widok uciec – zazwyczaj traktowano to jednak jako zwykłą złośliwość. Gdy jednak w 1973 r. otwarto jej grobowiec mieszczący się w kaplicy Świętokrzyskiej na Wawelu, wszystko to jednak okazało się całkowitą prawdą. Młoda królewna miała jednak kilka zasadniczych przymiotów, które mimo niezbyt okazałego wyglądu mogły czynić ją bardzo atrakcyjną. Była córką króla niemieckiego i węgierskiego Albrechta Habsburga, dzięki matce, Elżbiecie Luksemburskiej, płynęła w niej również krew Piastów – konkretnie Kazimierza Wielkiego, a jej dziadek od strony matki był nawet cesarzem. Mało tego. Zaledwie trzy lata po ślubie jej notowania znacznie wzrosły, gdy po śmierci brata, Władysława Pogrobowca, została spadkobierczynią tronów Węgier i Czech.

Tak naprawdę jednak Elżbiecie Kazimierz Jagiellończyk mógł się wydawać całkiem dosłownie księciem z bajki. Po pierwsze, był

Fot. BE&W

eprasa.pl 89c74f1c09

mężczyzną młodym – miał wówczas zaledwie 27 lat – przystojnym, w typie charyzmatycznego monarchy, którym istotnie się okazał. Po drugie zaś, pozycja Polski w europejskich rankingach gwałtownie rosła i koniunktura ta miała się utrzymać jeszcze przez kilka kolejnych dziesięcioleci. Na Wawel przenikały już od dawna strumienie myśli i sztuki renesansowej, co dla wykształconej, sprawnie posługującej się kilkoma językami królewny nie było bez znaczenia. Mało tego. Skarbiec Kazimierza ociekał złotem. „Od wielu lat nie słyszano, aby jakikolwiek z królów świata z takim przepychem i okazałością w złocie oraz kamieniach w kosztownych szatach kiedykolwiek się ukazał" – jak odnotowano wówczas po wizycie dworu we Wrocławiu. O tym zaś, że była w Polsce szczęśliwa, świadczy już choćby to, że błyskawicznie nauczyła się również polskiego i w nim właśnie porozumiewała się z małżonkiem i dworem. Nie trzeba nawet dodawać, że zaskarbiła tym sobie sporą sympatię poddanych, choć podobno bywała osobą dość wyniosłą.

I z pewnością samego Kazimierza. „Być może przyciągała go najpierw jej inteligencja i energia. A potem niezwykła płodność i zrozumienie. Okazało się bowiem, co rzadkie wśród koronowanych par, że lubią z sobą przebywać! [...] Kazimierz zabierał żonę we wszystkie podróże: zwiedziła z nim całą Polskę, ponad 30 razy była na Litwie, z większych miast imperium polskiego nie zobaczyła jedynie najludniejszego miasta Korony Polskiej –Gdańska i Morza Bałtyckiego" – pisał Jerzy Besala. A Małgorzata Duczmal twierdziła stanowczo, że małżeństwo to „było jednym z najbardziej przykładnych – może nawet najprzykładniejszym – z królewskich małżeństw w naszych dziejach".

I istotnie wiele na to wskazuje: przetrwało 38 lat.

Miłość i ambicje

Początkowo niewiele na to wszystko wskazywało. Już podczas podróży do Krakowa przyszłą królową prześladował wyjątkowy pech. „W tym bowiem roku przedłużały się dokuczliwe mrozy zimowe do 6 lutego, a bardzo głębokie śniegi pozasypywały wszystkie drogi i zamknęły dostęp do zaopatrzonych w paszę miejsc nie tylko zwierzętom domowym, ale i leśnej zwierzynie. Zginęło wiele stad koni, a na Podolu wiele wsi odcięły wielkie śnieżyce" – odnotował Jan Długosz. Wszystko to sprawiało, że przygotowania do ślubu, wesela i koronacji Elżbiety opóźniałysię nieznośnie, a jej orszak – z polecenia króla – był nieustannie zatrzymywany w mijanych miejscowościach. Wzbudzało to zresztą obawy, że Kazimierz rozmyślił się... „Ale na rozkaz króla nowa narzeczona zatrzymywała się ze swym orszakiem przez trzy dni w Skawinie nie bez rozgoryczenia tych, którzy towarzyszyli królowej, a którzy się wówczas obawiali, że król rozżalony doprowadzi do zerwania umowy" – przyznawał dalej kronikarz.

Pech nie opuszczał jej jednak nawet wówczas, gdy dojechała do Krakowa. Mrozy co prawda minęły, rozpoczęły się jednak wiosenne ulewy. „Pogoda nie sprzyjała królewskiemu wjazdowi, bowiem od rana do nocy lał obfity deszcz. Z tego też powodu wspaniałe szaty szlachty skąpane w wodzie deszczowej w większości uległy zniszczeniu. Na spotkanie królowej wyszły procesje wszystkich kościołów i wszystkich stanów i porządków, ale wskutek padającego deszczu nikt nie mógł zachować swojego miejsca i wszyscy musieli jak najszybciej wrócić do domów" – opowiadał Długosz, który nawiasem mówiąc, wkrótce został wychowawcą rozrastającego się grona potomków królewskiej pary. Bo istotnie po pechowym przyjeździe do Polski dalej wszystko układało się już doskonale. „Żonę swoją, królową Elżbietę gorąco miłował" – oceniał pożycie królewskiej pary Maciej z Miechowa. Pierwsze owoce tego pożycia pojawiły się już dwa lata po ślubie, by później kolejne dzieci rodziły się niemal rok po roku, później zaś co dwa lata. Przy ułomnościach fizycznych królowej jej siły i zdrowie w tym względzie wydają się wręcz nadzwyczajne. Ale nie tylko płodnością wykazywała się Elżbieta. „Podczas gdy król dławił w ostatniej długotrwałej wojnie 13-letniej zakon krzyżacki, rozciągając Polskę od Morza Bałtyckiego po Morze Czarne, królowa rodziła i dbała o wychowanie dzieci, koncentrując uwagę na sprawach dynastycznych" – zauważał Besala. A to ostatnie było nie mniej ważne niż pokonanie Krzyżaków i rozwój terytorialny Polski. Elżbieta miała bowiem ogromne możliwości, by rozciągnąć panowanie Jagiellonów daleko na zachód, tworząc jedną z najpotężniejszych dynastii Europy.

Imperium Jagiellonów

I była w tym bardzo skuteczna. Pierwszym efektem jej zabiegów była koronacja najstarszego syna, Władysława, na króla Czech –co nastąpiło w 1471 r. Cztery lata później przyszła kolej na córkę Jadwigę, która została wówczas władczynią Bawarii. Nawiasem mówiąc, było to jedno z najbogatszych wesel tamtych czasów, a jego rozmach przeszedł do legendy. Odbywający się do dziś festiwal w Landshut jest właśnie próbą rekonstrukcji wesela polskiej królewny z Jerzym Wittelsbachem. Dobrą partią okazało się również małżeństwo młodszej córki, Zofii, z elektorem brandenburskim Fryderykiem Hohenzollernem – choć w dalszej perspektywie okaże się to dla Polski fatalne, bo owocem tego związku był ostatni mistrz krzyżacki i pierwszy książę zsekularyzowanych Prus, Albrecht Hohenzollern. Wtedy jednak nikt nie miał jeszcze pojęcia, że jego następcy dokonają rozbiorów Polski. Jeśli dodać do tego, że kolejne córki Elżbiety: Anna i Barbara, zostały władczyniami, odpowiednio: Pomorza i Saksonii – obraz ziem będących pod koniec XV w. pod panowaniem jagiellońskim, będzie imponujący.

Tym bardziej że Władysław zaraz potem został również władcą Węgier – choć musiał o to wojować m.in. z młodszym bratem, Janem Olbrachtem. Ten ostatni przegrał, na otarcie łez został jednak kolejnym królem Polski, po śmierci Kazimierza, w 1492 r. Od tego momentu, przez dobrze ponad 50 lat, królami Rzeczypospolitej będą kolejni synowie Elżbiety: Aleksander Jagiellończyk i Zygmunt Stary. Elżbieta nie doczekała jego koronacji, która odbyła się w 1507 r. Zmarła jednak zaledwie dwa lata wcześniej, w sędziwym jak na tamte czasy wieku ok. 70 lat. Zważywszy na to, jak wiele z jej dzieci i wnuków nosiło na swoich głowach korony, określenie „matka królów" – którego używano jeszcze za jej życia – nie jest ani trochę przesadzone. ●

Wojciech Lada

Cykl powstał dzięki
LINK4
POLSKIEJ FIRMIE UBEZPIECZENIOWEJ

Tekst powstał we współpracy z partnerem komercyjnym | 52/0222/F

eprasa.pl 89c74f1c09

Jak to jest z tym drewnem?

Z jednej strony moda na ekologię, z drugiej rosnące ceny energii skierowały uwagę Polaków na drewno. Wielu na nowo odkryło ten znakomity, odnawialny surowiec. Ale przy okazji narosło też wiele mitów

Pierwszy, powtarzany od dłuższego czasu mit, to masowy eksport polskiego drewna do Chin, za który wini się Lasy Państwowe.

W LASACH PAŃSTWOWYCH NIE KUPUJĄ CHIŃCZYCY

Tymczasem Lasy Państwowe nie są eksporterem drewna. W ofercie Lasów Państwowych nie wyodrębnia się drewna na eksport. Instytucja nie zabiega o zagranicznych klientów. Drewno jest sprzedawane wszystkim legalnie działającym podmiotom gospodarczym, które zarejestrują się w bezstronnym, elektronicznym systemie sprzedaży.

Fakty są takie, że ok. 97 proc. drewna Lasy Państwowe sprzedają polskim nabywcom, tj. osobom indywidualnym i ok. 6200 przedsiębiorstwom zarejestrowanym w Polsce. W tym roku firm zarejestrowanych za granicą było tylko... 29, a udział zakupów przez klientów zagranicznych spadł do poziomu ledwie 3,4 proc.

– Bezpośrednio z Lasów Państwowych nie kupiła drewna żadna firma zarejestrowana w Chinach. Co więcej – wśród 29 zagranicznych firm nie było też żadnej spoza Unii Europejskiej – wyjaśnia Józef Kubica, p.o. dyrektor generalny Lasów Państwowych.

KTO CHCE KUPOWAĆ DROGO?

Owszem, polskie drewno jest eksportowane do Chin, ale nie przez Lasy Państwowe, tylko przez prywatnych, polskich przedsiębiorców. Firmy po prostu kalkulują: jeśli kurs dolara i euro jest wysoki, to zamiast przerabiać surowiec na miejscu, wolą go odsprzedać.

– Skoro prywatni polscy przedsiębiorcy są w stanie sprzedawać drewno zagranicznym nabywcom, to znaczy, że jest to korzystne dla obu stron tych transakcji. Czy klienci spoza Polski kupowaliby nasze drewno, gdyby było drogie? – pyta retorycznie dyrektor Kubica. I dodaje: – A gdyby było najdroższe w Europie? Tym bardziej nie!

A właśnie taką opinię, jakoby polskie drewno było najdroższe, rozpowszechniają niektóre organizacje branży drzewnej. To o tyle zaskakujące, że te same głosy mówią o bardzo wysokim poziomie eksportu drewna z Polski. Tworzy się w ten sposób narrację, która jest absolutnie pozbawiona logiki.

STABILNE ZASADY SPRZEDAŻY

Zasady sprzedaży drewna w Lasach Państwowych funkcjonują od 2009 r. zasadniczo w stałej i niezmienionej formie. W ubiegłym roku zmieniły się nieznacznie proporcje, w jakich drewno jest kierowane do sprzedaży w portalu leśno-drzewnym (70 proc.) i aukcjach systemowych (30 proc.). To dwa kanały dystrybucji dla firm. Portal leśno-drzewny promuje stałych nabywców i jest dostępny tylko dla nich. Na aukcjach systemowych kupuje każdy, i stali nabywcy, i ci, którzy dopiero zaczynają drzewny biznes.

Zwiększenie puli na aukcje systemowe wpływa na poprawę konkurencyjności na rynku. To konieczny warunek, by umożliwić wejście na niego nowym krajowym nabywcom i tym, którzy chcą rozwijać swoją działalność. Działanie to jest zgodne z wytycznymi UOKiK, w oparciu o wyrok sądu.

Więcej drewna na portalu to mniej drewna dla nowych nabywców, a przez to mniejsza konkurencyjność takich podmio-

eprasa.pl 89c74f1c09

Fot. Shutterstock

tów. – Jako Lasy Państwowe troszczymy się o wszystkie gałęzie przemysłu drzewnego, a nie o wybrane zakłady reprezentowane ostatnio dosyć aktywnie przez wielu lobbystów – komentuje dyrektor generalny Lasów Państwowych.

CENY WINDUJĄ NABYWCY

Do listy zarzutów wobec Lasów Państwowych dochodzi i ten, że... windują ceny na aukcjach! – Ostateczne ceny drewna to kwoty, jakie chcą za nie zapłacić przedsiębiorcy. Ceny drewna zostały więc wykreowane przez samych przedstawicieli przemysłu drzewnego, którzy biorą udział w procedurach aukcyjnych, a następnie narzekają na ich wysoki poziom – argumentuje Kubica.

Lasy Państwowe nie odpowiadają za wysokość cen aukcyjnych. Mimo wzrostu cen drewna na rynkach światowych ceny ofertowe nadleśnictw pozostają niskie. Od wielu lat utrzymują się praktycznie na stałym poziomie.

Leśnicy uważają, że wskazywanie na nich jako winnych wzrostu cen to odwracanie uwagi od podwyżek cen wyrobów z drewna i próba uwiarygodnienia w oczach opinii publicznej wzrostu cen towarów. Tak było np. z płytami OSB. W sklepach podrożały o kilkadziesiąt procent, mimo że cena drewna do ich produkcji wzrosła raptem o kilka punktów procentowych. – Od lat wmawia się Polakom, że przemysł drzewny stoi na krawędzi upadku. I tak samo od lat polskie firmy meblują całą Europę, bo jako kraj jesteśmy liderem produkcji i eksportu mebli, okien drewnianych, domów z drewna – obnaża nieszczerą narrację Józef Kubica.

CZYM FAKTYCZNIE JEST CHRUST

Taka nazwa nieoczekiwanie przylgnęła parę miesięcy temu do drewna opałowego, które Lasy Państwowe sprzedają nieprzerwanie od lat. – Nie sprzedajemy chrustu, lecz tzw. drobnicę gałęziową. To gałęzie, wierzchołki drzew, cienkie pnie o grubości do 7 cm – wyjaśnia Józef Kubica.

Metr sześcienny takiego drewna kosztuje w nadleśnictwach ok. 30 zł w sytuacji, gdy sam nabywca gotowy jest przygotować takie drewno (ułożyć je w stos do pomiaru). Metr sześcienny to sporej wielkości stos, którego objętość razem z pustymi przestrzeniami jest cztery razy większy (cztery metry przestrzenne).

– Oprócz drobnicy opałowej w Lasach Państwowych indywidualne osoby mogą też kupić grubsze drewno na opał, przygotowane staraniem nadleśnictw. Cena jest wyższa, ale wciąż bardzo konkurencyjna w stosunku do innych nośników energii – dodaje szef Lasów Państwowych. Drewno opałowe w stosach, o którym mówi rzecznik kosztuje sto kilkadziesiąt zł za metr sześcienny i co ważne – od zeszłego roku podrożało ledwie o kilka procent.

KTO WIDZIAŁ TE KOLEJKI?

Podobnie jak niektóre media wykreowały „chrust", tak i wytworem fantazji są kolejki po niego. – Odnosimy wrażenie, że część dziennikarzy i mieszkańców miast dokonała odkrycia, że drewno służy też do ogrzewania mieszkań. Stąd niezrozumienie pewnych kwestii związanych ze sprzedażą drewna, jego zastosowaniem – mówi Gzowski.

Rzekome kolejki, sugerujące niedostępność drewna opałowego, to rzecz całkowicie normalna. – Przywykliśmy już do sprzedaży w supermarketach i e-commerce, gdzie zmagazynowany towar jest dostępny natychmiast. My nie prowadzimy magazynów drewna, z których możemy od ręki sprzedawać je zainteresowanym. Drewno opałowe w nadleśnictwach pojawia się sukcesywnie, wraz z postępującymi pracami leśnymi. Stąd chętni na zakup zawsze oczekiwali na moment, kiedy w danej lokalizacji zakończy się pozyskanie drewna użytkowego – tłumaczy Michał Gzowski. Tak jak nie ma kolejek po opał, tak też nie ma limitu zakupów drewna.

NIKT NIE WYKUPI DREWNA POLAKOM

I wreszcie ostatnio gruchnęła kolejna wyssana z palca sensacja: niemieckie firmy wykupują drewno opałowe, którego zabraknie Polakom. – To jeden z większych absurdów. Drewno opałowe sprzedajemy na rynku detalicznym, bezpośrednio w nadleśnictwach. Czerwcowa decyzja dyrektora generalnego Lasów Państwowych zdecydowanie ustawiła priorytety: pierwszeństwo w zakupach ma zawsze klient indywidualny – przypomina Gzowski.

Jak widać, nie ma absolutnie możliwości, by drewno opałowe podbierały Polakom jakiekolwiek firmy, nie tylko niemieckie. Zasada, o której mówi rzecznik LP, została wprowadzona, ponieważ leśnicy zaobserwowali, że zainteresowanie drewnem opałowym wśród Polaków wzrosło o blisko 30 proc. w stosunku do zeszłego roku.

eprasa.pl 89c74f1c09

Fot. Shutterstock

Rzeczpospolita grzybiarzy

Prawdziwki, kozaki, maślaki, gołąbki, gąski. Te słowa każdej jesieni rozpalają emocje Polaków. Niewiele rzeczy w kraju wywołuje takie drżenie jak informacja: „Już są!". Nie dziwi więc, że na kilka tygodni grzybobranie staje się polskim sportem narodowym

Już w latach 50. ub.w. Robert Gordon Wasson, twórca etnomykologii, podzielił narody na grzybowstrętne i grzybolubne. Amerykanin wraz ze swoją pochodzącą z Rosji żoną uważał, że „grzybowa" linia demarkacyjna rozdziela mykofobicznych mieszkańców obrzeża Morza Północnego od mykofilnej reszty Europy.

Do tej grzybolubnej części kontynentu są zaliczani Polacy, co potwierdzają badania. Ponad trzy czwarte rodaków przynajmniej raz w życiu ulega „grzybowemu szaleństwu" – wynika z ankiety przeprowadzonej przez Centrum Badań Opinii Społecznej. Okazuje się, że 67 proc. respondentów podczas sezonu bywało na grzybach co najmniej dwa, trzy razy w miesiącu, przy czym dwie piąte (40 proc.) uczestniczyło w grzybobraniach nie rzadziej niż raz w tygodniu. I choć badanie przeprowadzono cztery lata temu, to z całą pewnością w tym sezonie odpowiedzi rozłożą się podobnie. Przy takiej popularności grzybobrania aż trudno uwierzyć, że w koszykach lądują grzyby zaledwie kilku najpospolitszych gatunków. Tym bardziej to dziwi, że w polskich lasach znajdziemy ponad 1300 jadalnych gatunków grzybów, a zaledwie 200 gatunków grzybów trujących (z czego tylko kilka śmiertelnie trujących). Nawet w rozporządzeniu Ministra Zdrowia do obrotu jest dopuszczonych obecnie 47 gatunków grzybów jadalnych, choć znaczenie gospodarcze ma zaledwie kilkanaście.

Warto wyjaśnić, że potocznie używane słowo „grzyb" oznacza owocniki, czyli zwartą i zbitą tkankę grzybni, powstałą z plechy, której celem jest wytworzenie zarodników płciowych i ich rozsianie.

Gdy deszcze występują dość obficie, najpospolitsze gatunki grzybów pojawiają się już w lipcu. Odpowiada to okresowi, gdy występują dwucyfrowe dobowe temperatury. Wówczas grzyby pojawiają się w regularnych interwałach (tzw. wysypach) po każdym większym deszczu, który stymuluje grzybnię do szybszego rozwoju i wytwarzania owocników oraz zmiękcza glebę i ułatwia ich wzrost.

Jeśli zaś w okresie wegetacyjnym występuje długotrwały okres suszy, grzybnia przechodzi w stan uśpienia i nie wytwarza owocników, a przynajmniej nie tak licznie, jak byśmy oczekiwali. By wyrwać ją z tego stanu, potrzeba bodźca, a nim właśnie jest większa wilgotność. Zwykle po okresie suszy i obfitym opadzie większy wysyp pojawia się po dwóch, trzech tygodniach.

Czas wzrostu owocników zależy od gatunku grzyba. Na przykład maślaki w ciągu jednej doby mogą wykształcić owocnik wielkości dwuzłotówki i szybko przyrastać. Jednak borowik czy podgrzybek szczególnie w pierwszej fazie, potrzebują więcej czasu. Ogólnie im grzyb „twardszy" w swojej strukturze owocnika, tym wolniej przyrasta.

Grzyby, także te wielkoowocnikowe, są organizmami wszędobylskimi, rosną we wszystkich typach i fazach rozwojowych lasów, choć nie wszędzie równie obficie. Są jednak pewne prawidłowości, które pomagają być skutecznym grzybiarzem. Owocniki grzybów, które zbieramy najczęściej, pojawiają się często w miejscach wczesnego stadium sukcesji lasu. Grzyby są jednymi z organizmów najwcześniej kolonizujących nowe siedlisko. Takim właśnie miejscem jest droga leśna, która co jakiś czas ma naruszaną strukturę przez koła sprzętu zrywkowego. Dodatkowo do gleby trafia tam więcej światła (a więc i ciepła) oraz wilgoci, a to sprzyja powstawaniu owocników grzybów.

To, gdzie dany gatunek grzyba rośnie, w dużej mierze wynika ze składu gatunkowego lasu. Większość grzybów, które zbieramy w lesie, to gatunki mikoryzowe. By zapewnić sobie substancje odżywcze, tworzą związki symbiotyczne z niektórymi gatunkami drzew czy paproci. Dobrze jest więc wiedzieć, który grzyb z którym gatunkiem drzewa tworzy związek. I tak borowiki szlachetne można zebrać zarówno pod sosnami, dębami, bukami, jak i pod jodłami czy grabami. Koźlarze preferują brzozy i graby, maślaki – sosny i modrzewie, kurki gustują w sosnach i dębach, a rydze w sosnach i świerkach.

***Paweł Kosin**, Nadleśnictwo Daleszyce*

Tekst powstał we współpracy z partnerem komercyjnym | 36/0822/F

eprasa.pl 89c74f1c09

Dział przygotowywany we współpracy z miesięcznikiem
GAZETA BANKOWA
NAJSTARSZY MAGAZYN EKONOMICZNY W POLSCE

Polska ma historyczną szansę tworzyć nową wizję Europy

Czas, gdy byliśmy nastawieni na imitację, na przeszczepianie na polski grunt rozwiązań, planów i projektów z Zachodu, dobiega końca. W Europie rośnie konkurencja dla naszych zachodnich partnerów. Będziemy konkurować – mówi *Zygmunt Berdychowski*, przewodniczący Rady Programowej Forum Ekonomicznego w Karpaczu, w rozmowie z Maciejem Wośką i Stanisławem Koczotem

Fot. Andrzej Wiktor

Jednym z głównych tematów tegorocznego XXXI Forum Ekonomicznego w Karpaczu będzie sytuacja na Ukrainie. Jak pan ocenia potencjał polskiego biznesu w odbudowie gospodarki tego państwa po zakończeniu wojny z Rosją? Czy mamy wystarczające zasoby kapitałowe, by podjąć się tego zadania? Czy możemy stać się centrum pomocowym dla Ukrainy?

Zygmunt Berdychowski: Będziemy mogli, będziemy musieli, ale na samym początku – będziemy chcieli. Po raz pierwszy od kilkuset lat bowiem pojawia się przed nami historyczna szansa, realna szansa dla Polski i Polaków, by wspólnie z Ukraińcami, a także ze

eprasa.pl 89c74f1c09

Słowakami, z Węgrami, Czechami, krajami bałtyckimi budować alternatywną, konkurencyjną wobec sowieckiej czy rosyjskiej wizję Europy. Wizję opartą na współpracy, poszanowaniu praw tych narodów, które w tej części kontynentu, choć prowadziły różne spory, od zawsze szukały sposobu na to, by ułożyć relacje między sobą w sposób pokojowy. Myślenie o zapewnieniu pokoju w tej części Europy osadzało się przecież na tym, że te narody wspólnie będą potrafiły oprzeć się rosyjskiemu imperializmowi. Zatem – będziemy chcieli. Bo możemy i jesteśmy w stanie to osiągnąć.

Fot. Archiwum Fratria

Oprócz tego będzie nam się to opłacać. Bo gdy rozmawiamy o procesie integracji Europy, warto przytoczyć przykład z nieodległej przeszłości – z integracji Polski z Europą Zachodnią. Dziś wiemy już, że ta determinacja naszych sąsiadów z Zachodu, przede wszystkim Niemców, zmierzająca do tego, żeby Polska była członkiem Unii Europejskiej, była również oparta na prostym założeniu, że dla ich gospodarek otwiera się nowy ogromny rynek zbytu, który będzie też mógł dostarczyć wykształconą, chętną do pracy siłę roboczą. Tam już takich pracowników po prostu zaczęło brakować. Wydaje się, że gospodarczy sukces naszych zachodnich sąsiadów nie byłby możliwy, gdyby nie proces integracji z naszą częścią kontynentu, a mówiąc inaczej – gdyby nie przemyślany i konsekwentnie prowadzony na przestrzeni kilkudziesięciu lat proces budowy Mitteleuropy, zapoczątkowany jeszcze w połowie lat 90. ub.w. Dzięki temu właśnie wzrosła konkurencyjność gospodarki niemieckiej na rynkach globalnych.

Jadąc co roku do Karpacza, mijamy na Dolnym Śląsku długi sznur ciężarówek kursujących między polskimi i niemieckimi firmami, zakładami, fabrykami.

Proszę zauważyć, że to odległość kilku godzin jazdy, więc niemieckie fabryki nie czekają na tańsze półprodukty i podzespoły wytworzone w Polsce. Kierowca dużej ciężarówki nie musi nawet robić przerwy. Nasi partnerzy doskonale wiedzieli, że integracja pozwoli zlokalizować w nowych, superatrakcyjnych miejscach część łańcucha produkcyjnego. To, co w tej transakcji było dla Niemców szczególnie istotne, to fakt, że środki inwestowane w Polsce – bo byliśmy przecież beneficjentami ogromnej pomocy finansowej – wracały na Zachód. W przypadku Polski z każdego euro wydawanego przez naszych partnerów na integrację europejską do niemieckiej gospodarki wracało 1,20 euro. To są wyliczenia, których nikt już nie kwestionuje. Zatem uważam, że to naturalne, iż w pierwszej kolejności beneficjantami otwarcia gigantycz-

eprasa.pl 89c74f1c09

nego rynku ukraińskiego nie będą małe i średnie firmy niemieckie, dla nich odległość od granicy jest za duża.

Łatwiej nam porozumieć się z Ukraińcami. To kwestia języka, a także wspólnej historii.

To nie jest przypadek, że na każdej niemal uroczystości weselnej w Polsce śpiewamy „Hej, sokoły". Kulturowo jesteśmy sobie bardzo bliscy. My ich rozumiemy i oni wiedzą, jak z nami rozmawiać. My wiemy, kiedy mówią nieprawdę, jak odczytać intencje – to w biznesie jest niezwykle ważne. To nie jest świat, ludzie, sposób pracy i prowadzenia biznesu, który dla nas, Polaków, byłby zaskoczeniem. A to buduje mocny fundament pod współpracę gospodarczą. Do tego małe i średnie firmy, a tych przecież jest najwięcej w Polsce, mają na Ukrainę po prostu bardzo blisko.

Jestem przekonany, że będziemy obserwatorami podobnego procesu, który widzieliśmy po 2004 r. w przypadku Polski. Proszę zwrócić uwagę, że my już dziś jesteśmy beneficjentami otwarcia na Ukrainę. Przed wojną mieliśmy ponad 1 mln ludzi pracujących w Polsce. Po wybuchu wojny doszło kolejne 1,5 mln. I – uwaga – mamy najniższe w Europie bezrobocie. To oznacza, że większość tych osób pracuje, ma umowy o pracę, płaci podatki. Dzięki temu ZUS, któremu jeszcze nie tak dawno wieszczono katastrofę finansową – pan premier Tusk musiał przekazać mu oszczędności z funduszy emerytalnych – jest dziś w doskonałej kondycji finansowej. Konsumpcja wewnętrzna jest zaś obecnie podstawą niebywałego wzrostu jak na europejskie standardy XXI w.

Choć krytycy wciąż widzą tę pustą połowę szklanki – spadek PKB do poprzedniego kwartału, wzrost inflacji.

Niezależnie od tego, warto pamiętać, że dzięki Ukraińcom nasza gospodarka ma się po prostu lepiej. Mamy 2 mln pracowników, którzy są silnie zdeterminowani, mamy więcej konsumentów, rynek wewnętrzny się rozwija. Rośnie radykalnie nasza konkurencyjność gospodarcza, wzrasta konkurencyjność polskich produktów, rośnie eksport, który bije historyczne rekordy. I to są fakty.

Czy współpraca nad odbudową Ukrainy powinna dokonywać się w trójkącie Polska–USA–Wielka Brytania? Te trzy kraje najlepiej sprawdziły się w czasie napaści Rosji na Ukrainę. Brakuje w tym procesie Berlina, Unii...

Przez ostatnich kilkadziesiąt lat wiele wydarzeń wskazywało, że Europa, a zwłaszcza nasi partnerzy w Niemczech, jest przekonana o tym, że można pozycję gospodarki europejskiej i niemieckiej budować co prawda pod amerykańskim parasolem bezpieczeństwa, ale tak naprawdę w oparciu o sojusz z Rosjanami. Sojusz, który dawał dostęp do tanich surowców, a w związku z tym pozwalał zwiększać konkurencyjność niemieckiej gospodarki. Dzisiaj nasi partnerzy doszli pod tym względem do ściany. Projekcja zakładająca, że w przyszłości Niemcy, Rosjanie, Francuzi i te rosyjskie surowce oraz innowacyjna technologia Zachodu będą w stanie stworzyć podwaliny europejskiej niezależności, prysła na naszych oczach. Dziś nikt poważny, rozumny wśród europejskich polityków nie może zakładać powrotu do tej koncepcji. Ona właśnie zbankrutowała.

Choć kanclerz Olaf Scholz mówił w marcu br., że „bezpieczeństwo w Europie na dłuższą metę nie jest możliwe w opozycji do Rosji".

Nie wolno mieć żadnych złudzeń – największym zagrożeniem dla wspólnoty europejskiej jest Rosja. Nasze historyczne doświadczenie jest inne niż naszych zachodnich sąsiadów. I nauczyło nas myślenia o Rosji w nieco innych kategoriach niż Niemców. Przecież pierwsza inicjatywa konsolidowania się wobec zagrożenia ze wschodu to druga połowa XIV w. Nikt Litwinów i Polaków nie zmuszał do zawarcia unii. Tak jak wtedy, tak i dzisiaj Polacy zaczynają rozmawiać z narodami, które są położone w Europie Środkowo-Wschodniej, o takim zorganizowaniu się, by uniknąć zagrożenia. Zachód był przekonany, że ten spór o historię już się dawno zakończył, że trzeba działać inaczej. Dzień 24 lutego 2022 r. pokazał, że nie. Okazało się, że w tym sporze Polacy, środkowi Europejczycy, mieli po prostu rację.

Choć wciąż brzmią w uszach te sformułowania, że Rosja to też Europa. Pamiętamy projekt paneuropejski – budowania takiego kontynentalnego, politycznego aliansu aż po Moskwę.

A czymże różniło się to od postawy Niemiec z lat 20. czy 30. XX w.? No niczym. Pierwsze próby porozumienia niemiecko-ruskiego widzimy już w XI w. Nikt w Europie nie może być zdziwiony faktem, że Polacy szczególnie są uwrażliwieni na kwestie związane ze współpracą Niemiec i Rosji. W ostatnich latach ta współpraca odbywała się z pominięciem apeli formułowanych bardzo często ze strony polskiej i przyniosła Niemcom ogromne korzyści. Mówiliśmy: nie róbcie, nie wchodźcie, nie bagatelizujcie, nie pomijajcie, nie milczcie. Ale nad naszymi obawami Zachód przechodził do porządku dziennego, uznając, że jesteśmy przewrażliwieni i antyrosyjscy.

Wracając do tego sporu z Europą. Polityka energetyczna Polski od kilku lat mocno podkreślała potrzebę dywersyfikacji dostaw surowców. Europa stara się budować swoją niezależność energetyczną dopiero teraz, w reakcji na wojnę.

Bardzo niewielu komentatorów w Polsce zwróciło uwagę na realne znaczenie pewnego wydarzenia. Oto największy światowy koncern paliwowy notowany na giełdzie, Saudi Aramco, nie inwestuje w Holandii, choć porty Morza Północnego są najbliżej. Największy globalny koncern petrochemiczny nie inwestuje w Niemczech, nie rozmawia z firmami we Francji, które wydaje się, że mają potężny potencjał rozwojowy. Saudi Aramco inwestuje w Polsce. Trudno w to uwierzyć. Jak to możliwe?

Polska gospodarka zaczyna konkurować na europejskim rynku. Nasi partnerzy z Niemiec muszą pogodzić się z faktem, że lata, gdy Polacy cieszyli się, że budowano drogi – odchodzą do przeszłości. Możemy dzięki tego rodzaju decyzjom i aliansom budować niezależność energetyczną Europy Środkowo-Wschodniej.

eprasa.pl 89c74f1c09

Czy spodziewa się pan odwrotu od projektu Fit for 55, czy raczej jego zmodyfikowania?

Zawsze gdy jesteśmy świadkami takich deklaracji składanych jako historyczne, wyjątkowe, nadzwyczajne, powinniśmy zachować pewną ostrożność i przyglądać się im z pewną podejrzliwością. Deklaracja „Pakietu dla 55 proc." została złożona 14 lipca. Nieprzypadkowo. Jesteśmy rewolucjonistami, dokonujemy epokowej zmiany. Ponieważ Polacy przeżyli niejedną rewolucję, wiedzą, że rewolucja nic dobrego z sobą nie przyniesie.

Stąd nasz opór wobec projektu Fit for 55?

24 lutego pokazał, jak katastrofalne mogą być skutki takiego zachłyśnięcia się rewolucjonistów swoją mocą sprawczą. Możemy wszystko! Nagle okazuje się jednak, że nie mamy gazu. I nie możemy budować w taki sposób konkurencyjności niemieckiej gospodarki. Gaz to tylko początek problemu. Wszyscy, którzy przyglądają się temu pakietowi, widzą plan – mamy produkować dużo energii ze źródeł odnawialnych. Najlepiej na morzu, przy użyciu wiatraków, a jeszcze lepiej fotowoltaiki. W oparciu o co mamy budować OZE? W oparciu o metale ziem rzadkich – wydobywane i rafinowane w przeważającej mierze w Chinach. Pytam zatem, czy Europa w momencie, gdy tak ważne staje się jej bezpieczeństwo, może tak bez refleksji powierzać je krajowi, który jest rządzony autokratycznie?

Kolejna wątpliwość. Zarówno epidemia, jak i fala ostatnich upałów (na co nikt z europejskich rewolucjonistów nie chce zwracać uwagi) pokazały, że zerwanie łańcuchów dostaw może nastąpić nie dlatego, że rząd Chińskiej Republiki Ludowej będzie chciał nałożyć jakieś sankcje. Po prostu w trosce o zdrowie i bezpieczeństwo swoich obywateli zamknie port w Szanghaju. Ceny litu – metalu fundamentalnie ważnego dla produkcji baterii do samochodów elektrycznych – w ciągu roku wzrosły czterokrotnie. A Parlament Europejski ogłasza, że chce zakazać rejestracji samochodów spalinowych. Co taka decyzja oznacza dla europejskich producentów samochodów, lepiej nie myśleć. A przecież nowoczesny przemysł samochodowy to jeden z filarów europejskiej gospodarki.

Nasi partnerzy w Unii założyli, że można dokonać rewolucji, oprzeć bezpieczeństwo energetyczne i politykę klimatyczną na współpracy z dwoma autokratycznymi reżimami. To musi dziwić.

> Rozmawiamy w Europie o papierowych słomkach, o czterodniowym tygodniu pracy, a przegapiliśmy innowacyjność platform cyfrowych. Konkurencyjność europejskiej gospodarki na globalnym rynku spada, a my dyskutujemy o zakazie rejestracji samochodów spalinowych

Ale walczymy przecież o przyszłość planety.

Tak, mamy pić z papierowych słomek i równocześnie ekscytować się losami tej wielkiej góry śmieci pływającej po Pacyfiku. Nie zadając sobie pytania, jak rozwiązać ten problem. Przecież nie przez słomkę w Europie. Może trzeba kupować żywność od tych lub dla tych, wyrzucających te plastiki do wody, która wpływa do Pacyfiku. Pomagajmy Bangladeszowi. Pomagajmy Afryce. Pomagajmy najbiedniejszym krajom na świecie. Nie pomagamy. Fundujemy sobie taką ideologię, by produkować jak najmniej śmieci, dbać o środowisko, oszczędzać energię. Ale równocześnie nie zbliżamy się nawet przez moment do rozwiązania problemu. Słomka z papieru ma być substytutem naszego zaangażowania w sprawę, ma być takim samousprawiedliwieniem, ale w żadnym wypadku nie jest rozwiązaniem.

Można też powiedzieć, że Polska musi dekarbonizować gospodarkę i zamknąć kopalnie.

Węgiel to kolejny element pakietu, który budzi wątpliwości. Niemcy, w związku z agresją Rosji, podjęli decyzję o ponownym uruchomieniu elektrowni węglowych, żeby uzupełnić potrzeby, gdy zabraknie gazu. To pokazuje, że dopóki dało się budować tę opowieść na iluzji, tworzono coraz bardziej wymyślne plany. Bardzo łatwo mówić, ile Polacy muszą jeszcze zrobić w kwestii dekarbonizacji, gdy dostawało się gaz o połowę taniej. Podstawą opowieści o koniecznej zmianie, o transformacji do 2030–2035 r. była iluzja, że można w nieskończoność opierać się na rozsądku autokratów, którzy będą sprzyjać europejskim demokracjom w ich drodze do przebudowania modelu gospodarczego. Nie będą sprzyjać. Teraz to widać. Może będą chcieli więcej zarabiać? Może uzależnią polityków europejskich jeszcze bardziej? Trzeba oczywiście transformować europejską gospodarkę. Pytanie tylko, w jakim tempie i w jaki sposób, bo tak szumnie ogłaszana i pozbawiona racjonalności rewolucja musiała ponieść fiasko.

Debaty pod hasłem „Rewolucja, której nie było" na tegorocznym forum będą temu poświęcone?

Zadekretowana 14 lipca zielona rewolucja po siedmiu miesiącach od ogłoszenia, w lutym 2022 r., pokazała swoje bankructwo. W tym momencie pozwolę sobie na taką historyczną paralelę. Bolszewicy, gdy już na początku lat 20. XX w. zdobyli pełnię władzy, uznali, że rewolucja się nie udaje, bo za mało jest „rewolucji w rewolucji" (rzecz dotyczyła MŚP). Zatem dla jej dobra musimy być bardziej rewolucyjni (czyli musimy upaństwowić wszystkie firmy, te małe również). Mamy dziś problem z tym, żeby technologicznie przygotować się do transformacji, europejska gospodarka jest niekonkurencyjna wobec gospodarki amerykań-

eprasa.pl 89c74f1c09

skiej, azjatyckiej, mamy coraz większe trudności, żeby sprostać gospodarce indyjskiej – i pojawia się postulat: nakażemy wszystkim korzystanie z bardzo drogich samochodów elektrycznych. A na świecie są dwa miejsca, w których wydobywa się i rafinuje lit do baterii do tych samochodów – to Chiny – 40 proc., i Demokratyczna Republika Konga – ponad 40 proc. światowego wydobycia. Notabene obecne są tam, a jakże – chińskie koncerny wydobywcze. Jak w takiej sytuacji zrozumieć postulat oparcia produkcji samochodów na licie? Nieporozumienie.

Polska wykazała się dużą przewidywalnością w energetyce, konsekwencją w polityce zagranicznej. Te wartości są dostrzegane w naszym regionie Europy? Jednoczą środkowych Europejczyków, mogą integrować wokół bezpieczeństwa, dywersyfikacji, niezależności energetycznej?

Port Północny zbudowaliśmy już za Gierka. Podstawy naszej niezależności paliwowo-energetycznej budowaliśmy zatem w latach 70. ub.w. Ta tradycja myślenia o niezależności jest znacznie dłuższa. Nie mieliśmy ani nie mamy innego wyjścia. I z tego punktu widzenia wybór Polski przez największy globalny koncern paliwowo-energetyczny jest kluczowy. Przekonujemy się dziś, jak dużym sukcesem jest gazoport w Świnoujściu. Ma strategiczne znaczenie dla naszej pozycji wobec Rosji. Tak realizowana jest polska racja stanu. To podwaliny naszej niezależności i suwerenności. Polacy potrafią to zrobić, bo jesteśmy zdeterminowani i budujemy nasze bezpieczeństwo, nie oglądając się na nikogo. Czas, gdy byliśmy nastawieni tylko na imitację, na przeszczepianie na polski grunt rozwiązań, planów i projektów z Zachodu, dobiega końca. W Europie rośnie konkurencja. Będziemy i musimy konkurować. I jeśli znów ktoś przeprowadzi przez Parlament Europejski dyrektywę ograniczającą tę konkurencję, tak jak to było w sprawie pracowników delegowanych – to nie Polska przegra. Będzie przegrywać Europa, która będzie się stawać coraz mniej konkurencyjna w związku z rosnącymi kosztami.

Mówił pan o budowaniu alternatywy wobec rosyjskiego imperializmu. Trójmorze ma szansę stać się takim projektem alternatywnym? Także wobec Berlina i Brukseli?

George Friedman w książce „Następne 100 lat" zakładał, że Europa Środkowa będzie się integrowała, a jej siła będzie istotnie wzrastała. Ta siła ma wynikać choćby z tego, że zwłaszcza Polacy są mocno zdeterminowani, żeby dużo pracować na sukces, nasza pozycja w tej części Europy będzie w związku z tym też znacząco wzrastała. Ale to jest szansa. Nikt nie przyniesie nam nic w prezencie. Nikt nie będzie przyglądał się temu z zewnątrz i powie: „Tak, rozwijajcie się, konkurujcie". To nie jest tak, że Rosja zamilknie, a Europa Zachodnia powie, że to jest czas dla Polski, więc odda nam rynki. Mimo to jestem przekonany, że nie ma Polski poza projektem europejskim, a naszą racją stanu jest to, by częścią Unii stała się Ukraina. To w krótkim i długim okresie niesie rozwój i bezpieczeństwo. Jeśli mamy do tego dojść przez Trójmorze, przez ściślejszą współpracę tych krajów unijnych, to jest to bardzo dobra droga. To też pokazuje, że coraz częściej kraje Trójmorza będą miały wspólne cele i w wielu sprawach będziemy sojusznikami.

Ta część Europy, która wyszła z socjalizmu, wcale nie chce pracować cztery dni w tygodniu. Wiemy, że droga do dobrobytu prowadzi przez pracę pięć dni w tygodniu. Oprócz tego wiemy, że przez zadłużanie się, zaciąganie długów nic trwałego nie osiągniemy. I wreszcie – doskonale rozumiemy sytuację, w której nasi sąsiedzi ze wschodu mogą być dla nas ogromnym zagrożeniem. Więc musimy podejmować takie działania, które nas przed tym uchronią.

> Jestem przekonany, że nie ma Polski poza projektem europejskim, a naszą racją stanu jest to, by częścią Unii stała się Ukraina. To w krótkim i długim okresie niesie rozwój i bezpieczeństwo

Trzeba jeszcze przekonać do tego naszych partnerów.

Pewnie zwróciliście uwagę, że po raz pierwszy od wielu lat niemieckie media bardzo ostro zaczęły krytykować rząd federalny w związku z postawą wobec Ukrainy. Dlaczego dokonała się taka zmiana? Tu dochodzimy do trzeciego obszaru tematycznego, wokół którego będą toczyć się debaty w Karpaczu, czyli władzy mediów społecznościowych, władzy, którą skupiły dziś wielkie platformy cyfrowe. Otóż to, co pokazały wydarzenia z 24 lutego, to nieprawdopodobny wpływ mediów społecznościowych i platform cyfrowych na funkcjonowanie społeczeństw europejskich. Stawiamy pytanie, czy niemieckie tygodniki, dzienniki mogły sobie pozwolić na narrację istotnie odbiegającą od informacji, które są dostępne dla każdego obywatela RFN średnio co 50 min, gdy patrzy w telefon. Za dobór treści na tych telefonach odpowiada już sztuczna inteligencja, a siedziby platform dostarczających tych informacji znajdują się jednak w Stanach Zjednoczonych. Trudno w to uwierzyć, ale Europa – mimo długich tradycji, ogromnych koncernów, grup wydawniczych i medialnych – nie stworzyła żadnej dużej platformy cyfrowej, nawet namiastki YouTube'a, Twittera, Facebooka, Google'a, Amazona, Alibaby. To pokazuje, jak ogromny potencjał innowacyjny jest poza Europą i – niestety – wykazuje rosnącą władzę nad społeczeństwem tych, którzy mają dostęp do tych platform. Nie doceniamy tego, nie wyciągamy wniosków, nie dostrzegamy ich znaczenia. Rozmawiamy za to, czy pracować cztery dni w tygodniu. Jak mamy zbudować konkurencyjność gospodarki, pracując mniej?

eprasa.pl 89c74f1c09

W cukrzycy to pacjent jest swoim lekarzem

Cukrzyca to jest taka choroba, że wszystko, co robimy w ciągu dnia: cieszymy się, martwimy, jemy, śpimy, biegniemy, pracujemy – cokolwiek – wpływa na stężenie cukru we krwi. I trzeba o tym pamiętać

Z prof. dr. hab. n. med. Leszkiem Czupryniakiem, kierownikiem Kliniki Diabetologii i Chorób Wewnętrznych Warszawskiego Uniwersytetu Medycznego, rozmawiała Anna Niczyperowicz

Panie profesorze, w tym roku mija 100 lat od pierwszego podania insuliny. Co przez ten wiek zmieniło się w leczeniu cukrzycy?

Leszek Czupryniak: Zmieniło się i wszystko, i nic. Nadal insulinę podajemy dokładnie tak jak wtedy, gdy zaczęto ją stosować, czyli podskórnie. Jest ona hormonem, dzięki któremu nasze komórki spalają glukozę, podstawowe źródło energii. Jest wydzielana przez trzustkę i z krwią trafia do wątroby, gdzie wywiera swoje podstawowe działanie i skąd potem rozchodzi po całym organizmie. Insulina podana podskórnie obiega cały organizm i dopiero po przejściu przez płuca trafia do wątroby. To słabość tej terapii, nie umiemy bowiem podawać insuliny w taki sposób, by zastąpić doskonały sposób, w jaki produkuje i rozprowadza ten hormon zdrowy organizm. Mimo to stosowanie insuliny jest bardzo skuteczne, szczególnie że przez te 100 lat zmieniły się podawane preparaty. Na początku była stosowana insulina zwierzęca – krótko działająca. Pacjenci musieli robić zastrzyki bardzo często. Od ponad 30 lat mamy już wiele różnorodnych preparatów insulin ludzkich. A także preparaty z poprawionej insuliny ludzkiej, które nazwano jej analogami. Tak zmodyfikowany preparat jest dostosowany do sposobu podania. Są preparaty, które działają szybko, i takie, których działanie utrzymuje się ponad dobę. Planując leczenie, łącząc z sobą różne insuliny, przy jednoczesnej dobrej edukacji pacjenta, potrafimy uzyskać prawidłowe fizjologiczne stężenie glukozy we krwi zwłaszcza u pacjentów z cukrzycą typu 1.

Czy poza podawaniem insuliny mamy dziś w cukrzycy inne nowoczesne, skuteczne i bezpieczne terapie lekowe i nielekowe?

Postęp w diabetologii jak w całej medycynie jest nieubłagany. Jest widoczny zwłaszcza w leczeniu cukrzycy typu 2. Przez wiele lat stosowaliśmy jedynie dwie grupy leków doustnych: metforminę i pochodne sulfonylomocznika oraz insuliny – te w bardziej zaawansowanych etapach choroby. Od ponad 10 lat dysponujemy nowymi grupami leków, czyli inhibitorami SGLT-2 (flozynami) i analogami GLP-1, które nie tylko obniżają poziom cukru, ale też jednocześnie zmniejszają występowanie ryzyka sercowo-naczyniowego i rozwoju niewydolności nerek. Dziś, gdy mamy już udowodnione ich działanie, te leki stają się preferowanymi w leczeniu cukrzycy typu 2. Takie są zalecenia globalne i lokalne, w tym Polskiego Towarzystwa Diabetologicznego, by sięgać po te leki jak najwcześniej. I w naszym kraju stało się to możliwe dzięki

Fot. Fotomed WUM

eprasa.pl 89c74f1c09

przełomowi w refundacji, który nastąpił trzy lata temu i od tego czasu w kolejnych krokach Ministerstwo Zdrowia obejmuje finansowaniem coraz więcej leków i grup pacjentów z cukrzycą. Za tę otwartość ze strony resortu jesteśmy bardzo wdzięczni. Już niedługo – od września – będziemy mieli rozszerzoną refundację na flozyny i GLP-1. A więc szansa dla pacjentów, którzy zyskają lepszą jakość życia i mniejsze ryzyko powikłań naczyniowych. To również korzyści dla całego społeczeństwa: pacjent będzie rzadziej trafiał do szpitala, będzie mniej zawałów, udarów. Pozwoli na oszczędności w systemie ochrony zdrowia, które mogą być przeznaczone na leczenie.

Czyli minister Maciej Miłkowski oszczędza, inwestując?

To bardzo mądre podejście! Przez lata brakowało nam takiego spojrzenia na cukrzycę, poprzedni ministrowie zdrowia, a zwłaszcza z ekipy obecnej opozycji, w ogóle nie brali pod uwagę cukrzycy jako istotnego problemu zdrowotnego. Zainwestowanie dziś w nowe leki przeciwcukrzycowe przyniesie efekty takie, że za 10 lat pacjent będzie dużo zdrowszy, niż byłby bez tych terapii. Jeślibyśmy go zaniedbali, to za tę dekadę byłby wielkim obciążeniem systemu zdrowia – byłoby potrzebne kosztowne, długotrwałe leczenie, a także społeczeństwa, które musiałoby pokrywać koszty inwalidztwa, utraty pracy itp.

Cieszy nas, że po onkologii czy kardiologii przyszedł dobry czas dla diabetologii. Na listę refundacyjną trafiły również leki, o które nie śmieliśmy zabiegać: inhibitory DPP-4, które w innych krajach są obok metforminy podstawowym lekiem w terapii cukrzycy typu 2, w praktyce zastąpiły pochodne sulfonylomocznika. Ich wielką zaletą – podobnie jak flozyn i analogów GLP-1 – jest to, że nie dają niedocukrzeń. Możemy nimi leczyć pacjentów bez ryzyka narażenia ich na zbyt niskie stężenie glukozy we krwi. Granica między prawidłowym (70–110 mg/dl), a za niskim (<70 mg/dl) poziomem cukru we krwi jest bardzo cienka i bardzo łatwo jest przedobrzyć. Dlatego stawiamy na leki, przy których nie ma takiego ryzyka.

Czy rozwiązaniem problemu wahań cukru we krwi nie jest stały monitoring pacjenta z cukrzycą?

Pierwsze systemy do ciągłego monitorowania glikemii w postaci elektrody pojawiły się mniej więcej 20 lat temu. Z tego sensora płynie informacja do odbiornika: jaki jest w danej chwili poziom cukru pacjenta. To może być odrębny czytnik, ale w tej chwili coraz częściej jest to telefon komórkowy. Kilka lat temu pojawił się system, w którym odczyty poziomu cukru nie są wysyłane aktywnie, lecz robi się je, przesuwając smartfonem nad sensorem umieszczonym na skórze tylnej powierzchni ramienia – jest to rozwiązanie bardzo wygodne dla pacjenta.

Systemów ciągłego monitorowania glikemii jest więcej i są one w różnych cenach, niestety nie są to rozwiązania bardzo tanie. Tutaj również cieszy fakt, że ministerstwo dostrzega, że dla pacjenta jest lepiej, by stale monitorował, co dzieje się z jego organizmem i na bieżąco podejmował decyzje o dawce insuliny, potrzebie ruchu, wyborze posiłku, niż kłuł się kilkakrotnie w ciągu dnia w palec i miał te pojedyncze odczyty z glukometru. Ponadto z badań naukowych dowiadujemy się, że samo noszenie takiego systemu i fakt, że pracuje on nieustannie, przekłada się na lepsze wyrównanie metaboliczne u pacjenta, bo on sam często podświadomie, wiedząc, jaki ma cukier i jaki jest trend jego poziomu glikemii (a to też system pokazuje), zachowuje się tak, by mieć jak najlepszy poziom cukru. Pacjent dzięki ciągłemu monitorowaniu glikemii otwiera oczy na przebieg cukrzycy. Gdyby nie cena, te sensory zakładalibyśmy każdemu choremu, który potrafiłby je interpretować.

Dotychczas system monitorowania był refundowany w populacji pediatrycznej, do 18. roku życia. Od 1 grudnia refundacja obejmie także dorosłych pacjentów, przynajmniej tych najbardziej potrzebujących, leczonych kilkoma wstrzyknięciami insuliny dziennie, a także osoby niedowidzące i kobiety w ciąży.

Czy w takim razie dzięki stałemu monitorowaniu poziomu glukozy we krwi pacjent może sam utrzymać się w dobrym stanie?

W cukrzycy to pacjent jest swoim lekarzem. Cukrzyca to jest taka choroba, że wszystko, co robimy w ciągu dnia: cieszymy się, martwimy, jemy, śpimy, biegniemy, pracujemy – cokolwiek – wpływa na stężenie cukru we krwi. Zdrowy człowiek dzięki grze hormonalnej ma poziom cukru idealnie wyrównany, jest u niego linią płaską i waha się między 60 a 110–120 mg/dl. Z kolei u pacjenta z cukrzycą ta regulacja nie działa i musi sam powiązać trzy elementy: jedzenie, które podnosi poziom cukru, oraz wysiłek fizyczny i leki, które go obniżają. Niektórzy się uczą tego łatwo, inni nie chcą się tego nauczyć, bo odmawiają przyjęcia do wiadomości, że chorują. Jeżeli pacjent odmawia bycia przynajmniej w jakimś stopniu swoim lekarzem – dobrze nie będzie. Dzień do dnia nie jest podobny, nawet jeśli pacjent je codziennie to samo, to jest w innym stanie emocjonalnym, każdy stres podnosi poziom cukru. I to wyposażenie pacjenta to jego cała wiedza o swojej chorobie.

Zatem jeśli polski pacjent będzie miał ułatwiony dostęp do całościowego leczenia – stałego monitorowania glikemii w połączeniu z nowoczesnymi terapiami lekowymi – to pojawia się dla niego szansa na normalne życie?

To ogromna jakościowa zmiana leczenia cukrzycy.

Ważna również dla pacjentów, u których dopiero rozpoznano chorobę?

Nowi pacjenci – z cukrzycą typu 2 – zwykle dowiadują się, że chorują od lekarza POZ, ale są przez nas, diabetologów, konsultowani. W tej chwili dostępność nowych leków będzie przesunięta na wcześniejsze etapy. Będzie łatwiej, gdyż dotychczas, by podawać np. flozyny lub analogi GLP-1, najpierw trzeba było pół roku leczyć pacjenta lekami tradycyjnymi i musiał mieć on bardzo wysokie poziomy cukru, a w przypadku analogów GLP-1 musiał też być bardzo otyły (BMI>35 kg/mkw.). Teraz nie trzeba będzie pół roku czekać z leczeniem, a refundowane analogi GLP-1 otrzymają też pacjenci już na progu rozpoznania otyłości, czyli od BMI>30 kg/mkw.

eprasa.pl 89c74f1c09

ANDRZEJ GRABARCZYK AKTOR

Z ojca na syna

Od początku, czyli od 25 lat, związany z serialowym „Klanem". Blisko dekadę temu opowiedział nam o jednej ze swoich pasji: gotowaniu. Podobnie jak do zawodu i wędkowania także do kulinariów przekonał go ojciec, Wincenty Grabarczyk, również aktor. Przez jakiś czas panowie spotykali się na planie „Klanu" – najdłużej realizowanej polskiej telenoweli, obchodzącej w tym roku ćwierćwiecze powstania.

Kiedy rozmawialiśmy o sekretach kuchni, Andrzej Grabarczyk jako pierwsze wymienił popisowe danie ojca. Genialne, jak zapewniał. Z pastą chilli i czosnkiem. Bazą i podstawą była w nim najlepszej jakości słonina.

Gdy udało się już rozklepać ją na miazgę, trafiał na nią farsz (w którym główne role grają czosnek, chilli i parę innych przypraw). Całość była formowana w roladę, zawijana w folię i mrożona przez dwa tygodnie. Efekt? Ponoć niebo w ustach.

Wincenty Grabarczyk słynął również z rosołu (przygotowywanego z różnych gatunków mięsa). Z kolei jego syn podbijał podniebienia m.in. tatarem z łososia. Przy czym prawdziwie popisowym jego daniem był... prosiak z ogniska. Pieczony w całości przez kilka godzin. Wypełniony kaszą gryczaną zmieszaną z podgardlem i wątróbką.

Aktor przyznawał też, że bardzo lubi ryby – i łowić, i jeść. – Taki np. pstrąg z wody, z dodatkiem czosnku i cytryny. Na małej ilości wody z masłem. I tylko trochę szczypiorku. Genialny – zapewniał.

I dziś, gdy docierają do nas kolejne doniesienia znad Odry, smak takiego dania jeszcze bardziej się docenia.

Do ryby aktor chętnie dodawał... boczku. Jego zdaniem bardzo dobrze się to komponuje. Choćby łosoś – owinięty wędzonymi plastrami i usmażony ogromnie zyskuje. Ryby lubią też grzyby. Żadna wigilia w rodzinie Grabarczyków nie mogła się obejść bez pierogów z sandaczem i prawdziwkami. – Można taki farsz przygotować i z kurkami, ale prawdziwek nadaje inną konsystencję i zapach – stwierdzał Andrzej Grabarczyk.

A co dla nieoczekiwanych gości? Makaron. – Zawsze w lodówce mam jakieś sosy własnej roboty. Nauczyłem się podczas podróży na południe Europy, że im prościej w przypadku potraw z makaronu, tym lepiej – opowiadał aktor. – Niech on wygląda, jakby to były same kluchy, ale ta smakowa nuta, którą dodamy, zrobi swoje.

Z dzieciństwa zapamiętał specjały serwowane przez babcię – świetną, zresztą zawodową, kucharkę. Robiła genialne półfrancuskie obwarzanki z cukrem i sama kręciła lody. Najlepsze były jagodowe. Zamrażane w bryłach lodu przechowywanych w ziemiance, w słomie. Nie sposób dziś odtworzyć tamtych smaków i „technologii", ale wspomina się je, jak zapewniał aktor, z rozrzewnieniem.

Jolanta Gajda-Zadworna

PSTRĄG Z WODY

Składniki: pstrąg z głową, boczek, 3 ząbki czosnku, cytryna, masło, szczypiorek

Wykonanie: Na patelnię lejemy centymetr wody, dodajemy łyżkę masła, trochę soku z cytryny i czosnek. Do brzucha ryby wkładamy odrobinę boczku, rybę kładziemy na patelnię, przykrywamy, podkręcamy gaz, żeby doprowadzić wodę do wrzenia, po czym minimalizujemy ogień, ale tak, by na patelni stale bulgotało, i obserwujemy rybie oko (po to potrzebowaliśmy pstrąga z głową). Dosłownie po siedmiu minutach, gdy oko stanie się mętne, białe, odwracamy rybę na drugą stronę i kładziemy na nią kawałki cytryny, polewamy sosem i gotujemy już bez przykrycia, tak żeby odparować sos. Podajemy posypaną szczypiorkiem. Całość przygotowania to maksimum kilkanaście minut. Możemy do ryby dodać przekrojone ziemniaki w mundurkach z odrobiną masła lub śmietany albo gotowane (lub przygotowane na parze) warzywa, np. brokuły czy kalafior. Marchewkę z powodu wysokiego poziomu glikemicznego w wersji gotowanej nie każdy toleruje.

Fot. Akpa, Shutterstock

eprasa.pl 89c74f1c09

SŁODKO-SŁONY

Kokosy do szkoły

ANNA MONICKA

Byłam ostatnio u rodziny na Śląsku. Rzadko się widujemy, bo wiadomo: praca, życie, dzieci w szkołach. Zresztą niewiele osób, które zapamiętałam z dzieciństwa, jeszcze żyje. Co prawda, familok, w którym żyła babcia, jeszcze się trzyma, ale całe piętro zapadło się już pod ziemię, ludzie zostali wysiedleni, a dom wystawiono na sprzedaż. Za jego plecami wyrosły nowe osiedla, a w miejscu górniczych kurników, zbitych z desek stajenek dla kóz karmicielek (popularne, bo zeżarły wszystko, nawet papier, gdy były głodne, a mleko dawały) oraz wychodów, do których dyrdało się z rolką papieru toaletowego pod pachą nawet w czasie gradobicia, wybudowano parking.

Jak wyglądała górnicza osada, można sobie obejrzeć już chyba tylko w Nikiszowcu, który zachwyca domami z czerwonej cegły, cudowną mozaiką z różami, pelargoniami na parapetach, zielenią ukrytą w podwórkach i malowanymi oknami, które patrzą ze spokojem na tabuny turystów.

Siedzieliśmy, popijaliśmy mrożoną kawę i wspominaliśmy miejsca, ludzi, smaki, zapachy. Niedzielny rosół, makaron domowej roboty, kołocki, które ciotka i babcia piekły zawsze na nasze powitanie, i oczywiście kokosanki. Smak mojego dzieciństwa i ulubione ciasteczka taty. Do dziś mam do nich słabość, chociaż trudno znaleźć w sklepach czy cukierniach podobne do tamtych, wszędzie za dużo wypełniaczy.

Wiórków kokosowych nie lubi tylko moja córka. Właściwie powinnam użyć czasu przeszłego – bo kuzynka upiekła dla niej na powitanie kokosanki, pamiętając, że nie może jeść glutenu. No i się zaczęło – dziecko zjadło kilkanaście ciastek, całkiem sporych, i zażądało przepisu. Dostałyśmy go w prezencie na pożegnanie i natychmiast po powrocie kupiłyśmy, co trzeba, i zabrałyśmy się za pieczenie. Powoli dochodzimy do wprawy, bo córka stwierdziła, że będzie zabierać kokosanki na drugie śniadanie do szkoły. Jak je robimy? Paczkę kleiku ryżowego dla dzieci mieszamy z 200-gramowym opakowaniem wiórków, łyżeczką proszku do pieczenia, małą szklaneczką cukru, trzema jajkami i kostką masła. Lepimy kulki wielkości orzecha, układamy na blasze, lekko spłaszczamy i pieczemy 30 min w 190° C. Smacznego.

Fot. Shutterstock

WILCZYM OKIEM

Złote rybki Amazonii

PRZEMYSŁAW BARSZCZ

W „Stu latach samotności" Gabriela Garcíi Márqueza płk Aureliano Buendia spędzał czas, wypełniając formy w kształcie rybek płynnym złotem. Po zastygnięciu ponownie przetapiał je, ponownie wytapiał setki nowych rybek ze złota – i tak bez końca. Realizm magiczny tej sceny przypomina badanie ryb Amazonii. Do odkrywanych gatunków dołączają nowe, później kolejne i kolejne, a w międzyczasie te pierwsze po dokładnym zbadaniu okazują się nie jednym, lecz wieloma odrębnymi gatunkami. Obecnie poznano i opisano ok. 3 tys. gatunków ryb Amazonii (ok. 50 razy więcej niż w Polsce), od 4,5-metrowej arapaim po mierzące 16 mm rybki *Phalloceros leticiae*, od węgorzy elektrycznych po płaszczki, dwudyszne ryby *Lepidosiren paradoxa*, słynne piranie, bagre o naturze filozofa oraz ryby o tak dziwnej budowie i trybie życia, że długo podejrzewano je o zdolność lotu – nie szybowania, lecz lotu aktywnego za pomocą płetw, które u tych ryb rzeczywiście pracują ponad powierzchnią wody jak skrzydła. Skąd tak wielka różnorodność ryb w Amazonii (będących przecież tylko jedną z grup gatunków organizmów żywych tego ekosystemu)?

Wystarczy przyjrzeć się danym, pamiętając, że za każdym kilometrem i za suchymi liczbami kryje się niezliczona liczba siedlisk i zróżnicowanie w skali makro i mikro, niemające sobie równych na Ziemi.

Długość Amazonki wynosi 6,7 tys. km, a zlewnia obszaru nazywanego Wielką Amazonią obejmuje powierzchnię między 7 a 8 mln km^2 na obszarze od Andów po Atlantyk i od Morza Karaibskiego po obszary Boliwii i Brazylii daleko na południe od równika.

To imponujące zróżnicowanie ryb Amazonii ma swoje źródło również w niewyobrażalnie długim czasie, podczas którego kształtował się ekosystem i jego gatunki – obecny kształt basenu Amazonki i Orinoko został ukształtowany w ciągu ostatnich 10 mln lat, podczas gdy historia ewolucji tamtejszych ryb sięga dziesiątków milionów lat wstecz. Patrząc z tej perspektywy, liczba gatunków ryb Amazonii nie wydaje się już wcale tak duża – oczywiście ta poznana, ponieważ jej rzeczywisty rozmiar jest z pewnością o wiele większy.

eprasa.pl 89c74f1c09

W ŚWIECIE LUSTER

HANNA KARP

Prawo do życia,
czyli ość w feministycznym gardle

W Polsce na początku trzeciego tysiąclecia w ożywiony sposób dawało o sobie znać środowisko nowego feminizmu. Jego przedstawicielki spotykały się i prowadziły z sobą publiczny dyskurs. Tak było np. w 2001 r. przy okazji wizyty w Warszawie Janne Haaland Matlary, profesor nauk politycznych, członka papieskiej rady ds. rodziny, ówczesnej minister spraw zagranicznych Norwegii i jednocześnie autorki wydanej także w Polsce książki pt. „Nowy feminizm. Kobieta i świat wartości".

NOWY FEMINIZM W UJĘCIU JANA PAWŁA II

Terminu „nowy feminizm" użył jako jeden z pierwszych papież Jan Paweł II, zwracając uwagę na zagrożenia, z którymi spotyka się kobieta we współczesnym świecie. Program nowego feminizmu odnajdziemy w encyklice „Evangelium vitae", a także w liście apostolskim „O godności i powołaniu kobiety" („Mulieris dignitatem"). Papież zwracał uwagę przede wszystkim na prawa przysługujące kobiecie, a wynikające ze statusu naturalnego – głównie prawa do macierzyństwa – by pracodawca uwzględniał wszelkie sytuacje z tym związane – a także do pracy, za którą winna otrzymywać godziwe wynagrodzenie, zgodne z jej kwalifikacjami i wysiłkiem.

Nowy feminizm to również zwrócenie uwagi na zachowanie godności kobiety w zachodniej kulturze konsumeryzmu. Jako główny problem jawi się tu pornografia i agresywna reklama. Norweżka Janne Haaland Matlary, jedna z ważnych postaci nowego feminizmu, przywołuje przede wszystkim doświadczenia norweskich kobiet w tej kwestii. Jako reprezentantka Stolicy Apostolskiej na forum ONZ podkreślała dobitnie, że zgromadzenia tego rodzaju nie przemawiają swoim głosem ani tym bardziej głosem swoich krajów. Brzmią jedynie tonem jednakowym, podnoszonym przez kręgi radykalnych feministek. Jej zdaniem Stolica Apostolska przez długie lata nie podlegała presji tego głosu, w każdym razie nie za pontyfikatu Jana Pawła II, ani presji Unii Europejskiej, ani USA, którym chodziło głównie o naciski ekonomiczne. Nowy feminizm nie zajmuje się sprawą kapłaństwa kobiet. Sama Matlary, podobnie jak przedstawicielki nowego feminizmu, zgodnie podkreślają, że działania na rzecz wypracowania nowego chrześcijańskiego feminizmu nie mogą obejść się bez aktywnego uczestnictwa mężczyzn.

Matlary przy okazji wizyty w Polsce zachęcała polskie kobiety do podejmowania służby na niwie publicznej. Choć zaznaczała, iż ma świadomość, że praca urzędnika państwowego czy polityka nie jest może tak bardzo frapująca, to jednak bardzo ważna. Nowy feminizm to przede wszystkim zaangażowanie w sprawy rodziny, macierzyństwo i ojcostwo z uwzględnieniem transcendencji i osobowego Boga w życiu każdego człowieka.

DRUGA FALA

Nowy feminizm, odwołujący się do rzeczywistych tradycji chrześcijańskich, nie stanowi w żadnym aspekcie synonimu tzw. feminizmu chrześcijańskiego, lansowanego przez feministki drugiej fali. Ten ostatni bowiem dzieli się na trzy rodzaje.

Pierwszy jest związany z teoriami sprzeciwiającymi się dotychczasowej teologii chrześcijańskiej, a zwłaszcza katolickiej wizji kobiety i kwestionuje – jak piszą feministki – androcentryzm, czyli męską wizję dotychczasowej tradycyjnej teologii chrześcijańskiej. Drugi rodzaj

eprasa.pl 89c74f1c09

łączy się z teoriami odrzucającymi tradycyjne prawo, przede wszystkim katolickie prawo kanoniczne, które wyklucza kobiety z ordynacji na kapłana. Kościoły protestanckie są wyjęte z tego nurtu, gdyż od tej zasady już dawno odstąpiły. I trzeci rodzaj teorii nie odrzuca wprost Kościoła katolickiego jako instytucji, ale za swój cel obiera przede wszystkim podwyższenie i zrównanie statusu kobiety ze statusem mężczyzny. I tutaj zadania kobiet, tzw. teolożek, wyznaczono głównie na polu języka. Ich rolą ma być łamanie zasad gramatyki, które w odniesieniu do Boga i Ducha Świętego używają męskich form gramatycznych.

Feministki i teolożki tego nurtu jawnie nie występują przeciwko chrześcijaństwu, zwłaszcza gdy chodzi o protestantyzm. Jednak walczą z zasadami tradycyjnej teologii, która ich zdaniem wyrugowała transcendentalne problemy biblijne i zasłoniła wrogimi wobec kobiet wyobrażeniami o ich płci. W efekcie – co już teolożek nie interesuje – prowadzi to w najlepszym razie do protestantyzacji. Skąd już tylko krok do zeświecczenia teorii, praktyk i rytuałów całej religii katolickiej. A na kolejnym etapie – do podważania świętości życia ludzkiego. Skąd już tylko krok do dyskusji o prawie do aborcji. Bowiem religia dla feministek, łącznie z feministkami chrześcijańskimi, jest przesycona androcentryzmem, seksizmem i służy wyłącznie mężczyznom. Chrześcijaństwo zaś jako religia w takim ujęciu kształtuje w kobiecie postawy sadomasochistyczne, prowadząc je do ostatecznego społecznego zniewolenia.

MIŁOŚĆ – ELEMENT SPOŁECZNEGO TRENINGU

Nie przypadkiem „Słownik teorii feminizmu" autorstwa Maggie Humm hasło „miłość" opisuje jako podstawowy element społecznego treningu, któremu „patriarchat poddaje kobiety, by myślały o erotyzmie wyłącznie w terminach heteroseksualnych związków uczuciowych". Słownik Humm pomija także hasło „życie", a zastępuje je hasłem „prokreacja". I opisuje ten temat z punktu widzenia feministek psychoanalityczek, feministek radykalnych i feministek socjalistek. Wszystkie są zgodne co do tego, że prokreacja stanowi podstawową przyczynę społecznego podporządkowania kobiet. Jednak gdyby ludzkości udało się „odejść od czysto biologicznego charakteru procesów prokreacyjnych, np. dzięki nowym technologiom, których podstawę stanowi stosowane już zapłodnienie in vitro, wtedy byłaby to rewolucja o wiele donioślejsza i radykalniejsza od wszystkich dotychczasowych transformacji procesów wytwarzania". Z tego powodu technologia in vitro pozostała do dziś głównym hasłem na sztandarach współczesnego feminizmu.

Tak więc nie dziwi fakt, że podręcznik prof. Wojciecha Roszkowskiego „Historia i teraźniejszość" i sposób, w jaki autor komentuje proces pozaustrojowego zapłodnienia, spotkał się z tak gremialnym oburzeniem jawnych i ukrytych środowisk lewicowych. Dlaczego? Bo został potraktowany jako niesłychany kamień obrazy i ręka podniesiona na lewackie świętości.

> Technologia in vitro pozostaje wciąż głównym hasłem na sztandarach współczesnego lewackiego feminizmu i tzw. nowoczesnego humanizmu

Słownik Maggie Humm nie przypadkiem otwiera hasło „aborcja". Współczesny feminizm w centrum własnego zainteresowania stawia właśnie ją i prawa z nią związane. Sama aborcja jest przedstawiana jako podstawowe prawo człowieka. Humm pisze: aborcja, czyli przerwanie ciąży. I dalej objaśnia, że aborcja to „przekonanie, że kobieta ma podstawowe i niezbywalne prawo do kontrolowania swojej rozrodczości". I prawo to według Humm „należało zawsze i należy do fundamentalnych postulatów i żądań ruchu kobiecego". Są jeszcze tzw. prawa reprodukcyjne, a tworzy je swoista triada praw: do macierzyństwa, antykoncepcji i aborcji. A przyszły i teraźniejszy status kobiety i jej miejsce w społeczeństwie – jak zaznacza Humm – zależy od tego, jak zostanie ostatecznie rozwiązana sprawa kontroli nad przerywaniem ciąży.

Ta kwestia stanowi rdzeń współczesnego feminizmu i nie tylko feminizmu, ale całego tzw. nowoczesnego humanizmu. Można rzec, że od tego zależy sprawa ostatecznego zniewolenia i ostatecznych granic upadku współczesnego człowieka. Dlatego można też zrozumieć, dlaczego Polska tak bardzo przeszkadza unijnym urzędnikom. Dlaczego obecne polskie prawo o ochronie życia poczętego tkwi ością w gardłach unijnych funkcjonariuszy socjalistycznej i lewackiej Europy.

WYBRANE RODZAJE FEMINIZMU

Feminizm abolicjonistyczny (najstarszy) – zakładał, że walka kobiet o zrównanie praw przypomina uwolnienie czarnych i zniesienie niewolnictwa.

Feminizm anarchistyczny – tutaj głównym wrogiem są struktury państwowe, a państwo i patriarchat to splecione z sobą aberracje społeczne.

Feminizm czarny – główny temat dla niego stanowi imperializm białych, czarne feministki odcinają się od białych, uważając, że te drugie nie mają dostatecznej wrażliwości.

Feminizm duchowy – wiele w nim wątków New Age: elementów kultury amerykańskich Indian, arkanów magii, mistycznych doświadczeń itp.

Feminizm kulturowy – postuluje tworzenie oddzielnej kultury kobiecej z własnymi rytuałami, symbolami i nowym językiem, w duchu pacyfizmu.

Warto wspomnieć jeszcze o feminizmie liberalnym, marksistowskim, niezrzeszonym, radykalnym, socjalistycznym, transcendentalnym, żydowskim. Ten ostatni jest o tyle specyficzny, że w USA Żydówki uczestniczą i budują wszystkie pozostałe ruchy feministyczne, choć wcale nie podkreślają przy tym swojej tożsamości.

Autorka jest religiologiem, medioznawcą, profesorem Akademii Kultury Społecznej i Medialnej w Toruniu

eprasa.pl 89c74f1c09

Polski wrzesień 1939 r.

Alina Czerniakowska

Żywa jest tradycja wspomnień tamtych dni walki o Polskę. Cytujemy z pamięci wiersze o żołnierzach, którzy „czwórkami do nieba szli", bili się do końca, do ostatniego naboju, bo dla tamtego pokolenia Polska była największą wartością. Tak byli wychowani – patriotyzm, honor, umiłowanie ojczyzny traktowali jako naturalne przymioty każdego Polaka.

Od zawsze, jak tylko pamiętam, w moim domu rodzinnym wszyscy wspominali tamten 1 września, każdy miał swoje najważniejsze przeżycia i właśnie tego dnia powracały jak żywe. Mama była małą dziewczynką, zaczynała piątą klasę, zapamiętała piękny, słoneczny dzień, swoje uroczyste ubranie i dramatyczne słowa płaczącej nauczycielki: „Wybuchła wojna, napadli na nas Niemcy. Idźcie ostrożnie do domu, nie wiem, kiedy się zobaczymy".

Ton tym opowieściom nadawał mój ojciec, 15 lat starszy od mamy, kawalerzysta 4. Pułku Strzelców Konnych, na wojnę wyruszył razem z 11. Pułkiem Ułanów, przeszedł cały szlak bojowy, aż na kresy południowo-wschodniej Polski. Opowiadał o walkach z Niemcami, a po 17 września – z Sowietami. Zamyślał się, gdy mówił o strachu przed Ukraińcami, którzy w nocy podcinali gardła koniom, a przecież wtedy, w 1939 r., nikt się nie spodziewał, że wkrótce przyjdą te straszne rzezie ukraińskie na Polakach.

Zapamiętał dźwięk organów w Leżajsku, rozchodzący się hen o świcie, i poranne modlitwy za Polskę. Z dumą mówił o wygranych szarżach, o rozpaczliwej walce do końca z nadzieją, że sojusznicy przyjdą na pomoc. A gdy wszyscy zawiedli, bili się już o honor, który dla ludzi pokroju mojego ojca był najważniejszy.

„My w Polsce nie znamy pojęcia pokoju za wszelką cenę. Jest jedna tylko rzecz w życiu ludzi, narodów i państw, która jest bezcenna. Tą rzeczą jest honor!" – pamiętne słowa ministra Józefa Becka wypowiedziane w Sejmie 5 maja 1939 r. nie były bez pokrycia.

Od dzieciństwa z przejęciem słuchałam opowiadań mojego ojca i jego pułkowych kolegów o kolejnych dniach tamtego pamiętnego września. O tym, jak wyskoczył przez małe okienko z pociągu towarowego wiozącego go do niewoli, a zafascynowany jego odwagą kolega zrobił to samo, niestety, upadł na kamień przy torowiskach i rozwalił sobie kolano. Ojciec targał go na plecach całą noc przez lasy, pobłądził, rano okazało się, że doszedł do tego miejsca, z którego wyszedł. Po latach odszukał mojego ojca, by podziękować za ocalone życie.

Wyrastałam wśród relacji z tamtych wrześniowych dni, a potem okupacyjnej walki całej rodziny. O mojej babci miejscowi ludzie i bliscy mówili: „To prawdziwa bohaterka". Drobna, szczupła, dumna kobieta nigdy się nie uskarżała, żywiła, opierała ludzi z lasu, żołnierzy polskiego podziemia, którzy mimo obławy niemieckiej jakoś cudownie ocaleli. Nie bała się, tak trwała do końca. Przechowywała też całe rodziny żydowskie (nawet swego czasu „Gazeta Wyborcza" opublikowała tekst Renaty Seidler „Podziękowanie za życie dla rodziny Czerniakowskich"). Ludzie, wspominając, nazywali ją „nasza dobrodziejka", bo ona naprawdę żyła dla innych. Los jej nie oszczędzał, przeżyła wielkie tragedie rodzinne, śmierć młodej córki, a potem syna i męża w jednym roku, wszystko dźwigała sama, ukradkiem ocierając łzy.

Z myślą o tym wszystkim zrobiłam film dokumentalny „Ułani, ułani..." o kawalerii września, szarżach i jej najważniejszych walkach, a także losach tych pułków po 1939 r. – to dla mojego ojca i jemu podobnych ta pieśń, ten film. Kochali Polskę w sposób trudny do opowiedzenia.

„Polska wszystko pokona, będzie silna w Europie i na świecie, Polska chrześcijańska od szczepu piastowego, kolejne pokolenia będą kochać Polskę i będą dumne, że są Polakami" – tak orędował do rodaków Ignacy Jan Paderewski, a Józef Piłsudski dodawał: „W ojczyźnie, która dumy nie znała, dumnym być uczyłem".

Dzisiaj ta duma z polskości jest nam szczególnie potrzebna, żeby domagać się szanowania i egzekwowania naszych racji narodowych, bo zasłużyliśmy sobie, by mieć właściwe miejsce w Europie i na świecie. Silne poczucie własnej tożsamości oparte na znajomości faktów, chociażby z niedawnej historii, pozwoli nam zachować godność i należne miejsce wśród innych narodów. Przed nami wielkie zadania, bo Europa nie chce znać prawdy o Polsce, która obroniła świat przed bolszewizmem w 1920 r. Polska osamotniona, dopiero co powstała po wiekowej niewoli, dokonała „cudu nad Wisłą". Bogate kraje Europy i świata nie chcą wiedzieć, gdzie się zaczęła okrutna, hańbiąca II wojna światowa, kto był agresorem, kto knował za plecami, przygotowując pakt Ribbentrop–Mołotow, a kto samotnie, nieugięcie bronił się do ostatnich sił pod Kockiem. Unijnych decydentów nie obchodzi, kto był kolaborantem, kto szybko poddał się Hitlerowi, a kto stworzył największą podziemną armię świata i bił się zwycięsko na wszystkich frontach świata – od dalekiego Tobruku, przez Bliski Wschód, po Włochy, Francję, ocalając Londyn i wyzwalając inne miasta Europy.

Bogaci przywódcy Zachodu nie lubią wspominać o Katyniu, o Jałcie, której konsekwencje nadal trwają. Zdradzona Polska, ten wierny sojusznik, samotnie przez ponad pół wieku walczyła ze zbrodniarzami spod znaku NKWD, UB, KGB, straciła najdzielniejszych, najwspanialszych swoich synów, tej wyrwy nie udało się ani nie uda zapełnić. Musimy o tym wszystkim mówić głośno, bo inaczej wrogowie napiszą za nas swoją historię, zrobią z Polaków zbrodniarzy, nazistów, a światu to będzie na rękę. Polska ciągle musi walczyć, odradzać się, jak niegdyś „bękart Europy" czy po wojnie „zapluty karzeł reakcji". Polska przeszkadzająca w zbrataniu się dwóch wielkich sąsiadów musi być dumna i silna swoją niegdyś wielkością, epokowymi dokonaniami poprzednich pokoleń i naszą dzisiaj mądrością i odwagą.

Autorka jest reżyserem filmowym, scenarzystką i dziennikarką

Autopromocja

eprasa.pl 89c74f1c09

Opóźnieni w rozwoju

Piotr Cywiński

Siedmiu krasnoludków wraca po pracy do swej chatki. Jak wiadomo z bajki, po ich lesie błąkała się ścigana przez złą macochę królewna, która wcześniej weszła do domku krasnali. Trochę tam posprzątała, aż zmęczona usnęła na jednym z łóżek. Karzełki odkryły, że coś jest nie tak: „Ktoś siedział na moim krzesełku...", „Ktoś zjadł mi bułeczkę...", „A mnie warzywko..." – zaniepokoili się Apsik, Gapcio, Gburek, Wesołek i Nieśmiałek. „Ktoś ruszał mi pościel" – poskarżył się Śpioszek. Na to Mędrek, dostrzegłszy piękną królewnę w swym łóżku: „Nie gadać tyle, gasić światło!".

Kogoś bawią jeszcze bajki Grimmów i takie kawały? „Niby jesteście postępowi, a opowiadacie te pieprzone historie!" – huknął amerykański, karłowaty aktor Peter Dinklage, że to obelżywe i dyskryminujące liliputów, nieprzystające do naszych czasów. Swoje pięć groszy dorzucili też tęczowi, że klechdy preferują podział na dwie płcie, co także jest wstecznictwem, bo płci jest 56. W efekcie wytwórnia Disneya obiecała przerobić „Królewnę Śnieżkę" i „unikać wzmacniania stereotypów na przyszłość".

Jak postęp, to postęp! Za Odrą wydawnictwo Ravensburger Verlag wstrzymało pod naciskiem lewicy sprzedaż książki dla młodzieży, przygotowanej na okoliczność niedawnej premiery filmu pt. „Młody wódz Winnetou". Jak uzasadnił szef tej oficyny, prezentują one przepojony frazesami, romantyczny obraz, sprzeczny z prawdą o ucisku rdzennej ludności. Na stos z książkami Karla Maya i filmami z wodzem Apaczów, Shatterhandem i Apanaczi!

„Toż to absurd, dokąd to zmierza?!" – żachnął się chadecki poseł Bundestagu Ulrich Lange. Osioł jakiś, wszyscy wiedzą, tylko ten nie. Firma Uncle Ben's usunęła z opakowań swoich produktów twarz roześmianego Murzyna, bo czarnym niewolnikom nie było do śmiechu, lodziarnia w Saint-Raphaël na Riwierze Francuskiej wymazała z oferty lody afrykanki i chińczyki, bo też miały rasistowski posmak – wszak to niedopuszczalne, by ktoś chciał do polizania afrykankę czy zamawiał mrożonego chińczyka z bakaliami. W angielskim hrabstwie Essex (czas zmienić i tę seksistowską nazwę) pewną klientkę oburzył kolor biustonosza „tobacco", przecież wiadomo, kto tyrał na plantacjach tytoniu, a poza tym palenie szkodzi – więc sieć sklepów Marks & Spencer zmieniła etykiety tychże staników na „głęboki kasztan".

My, Polacy, też jacyś opóźnieni w rozwoju. Zupa czernina – jak można? Albo karp po żydowsku, że o jajach po benedyktyńsku nie wspomnę. A Czarna Madonna...? – o, Matko Bosko!

PRZEZ ŚWIETLIK

Wstydliwy polski

Wiktor Świetlik

Przeczytałem w „Fakcie", że syn Andrzeja Seweryna, Maximilien, nie mówi ni w ząb po polsku. Jest Francuzem, zna też kilka innych języków, nauczeniem go polskiego ojciec nie był zainteresowany. Co miłe – tego ostatniego – Seweryn junior żałuje bądź deklaruje, że żałuje. „Fakt" jak na swoje standardy albo – jak kto woli – format do sprawy odnosi się ze sporą delikatnością.

Z tekstu nie dowiadujemy się, dlaczego Andrzej Seweryn nie był zainteresowany nauczeniem syna języka polskiego, ale wygląda na to, że uznał, iż mogłoby to przeszkadzać w innej edukacji, choćby lekcjach niemieckiego czy angielskiego. Przy dziecku wielki aktor nie posługiwał się także polskim.

Szkoda, bo przecież ludzie ze zdolnościami aktorskimi z reguły są obdarzeni także słuchem muzycznym i języki łapią w mig. Nawet zakładając, że ojciec i syn mieli ograniczony kontakt z sobą, bo Seweryn przecież miał kilka kolejnych żon, a do tego był zapracowanym aktorem, to mimo wszystko jednak trzeba było się postarać, by chłopak nie poznał nawet kilku wierszyków czy podstawowych 100, może 500 słów. Szkoda jednak z jeszcze jednej przyczyny. Andrzej Seweryn od czasu do czasu udziela się w sprawach polskiej polityki i życia publicznego. Zasiadał w komitecie honorowym poparcia kandydatury prezydenta Komorowskiego, wypowiadał się – rzecz jasna – na temat opresyjnych rządów PiS itd. Mówiąc krótko: korzystał ze swojej aktorskiej sławy, kreując się na autorytet także w sprawach państwa polskiego, obywatelstwa, a nie nauczył syna nawet kilku słów po polsku. Wiem, że odgrywanie ról to zadanie aktora, ale ten rozjazd jest naprawdę spory. Niestety, dość powszechny.

Pisząc niedawno inny tekst o administracji brukselskiej, zacząłem sobie przypominać niektórych ludzi z moich roczników, którzy poszli do pracy w Brukseli, nawet czasem jeszcze przed wejściem Polski do Unii. W niektórych przypadkach dość szybko, po przemieszkaniu krótkiego czasu, kilku lat za granicą, zaczynali mówić po polsku z akcentem. Cóż, może to kwestia jakichś predyspozycji, przypadków, ale zauważyłem, że jednak szybkość tracenia płynności w porozumiewaniu się językiem jest często wprost proporcjonalna do stosunku do kraju, przyjmowania obcej logiki czy „wspólnotowego", czyli niemieckiego, spojrzenia na jego sprawy i traktowania polskiego podejścia jako niedojrzałego czy wstydliwego. Znam też w końcu takie osoby, mam ich sporo w rodzinie, które za różnymi oceanami mieszkają od pokoleń. Jedni mówią lepiej, drudzy gorzej, ale wszyscy jakoś sobie z polskim radzą. Nauczyli go ich rodzice, także czasem w trudnych sytuacjach, w wielonarodowościowych małżeństwach. Ale im zależało.

Myślę, że niektórym zależy na czymś dokładnie odwrotnym. Jako rodzice mają zapewne do tego prawo, ale korzystając z niego, jednak powinni uczciwie się z tego niespełna 40-mln towarzystwa wypisać. I pamiętać, że czasem dziecko – tak jak pan Maximilien – po latach może żałować.

Zaufanie

Lech Makowiecki

Polacy mają gdzieś w tyle głowy zakodowaną nieufność wobec władzy. Każdej władzy. Zabory, okupacja, pół wieku komuny – te opresje wykształciły w nas gen podejrzliwości i sprzeciwu wobec rządzących. Kimkolwiek by oni byli.

Po 1989 r., gdy po okrągłostołowym dogadaniu się „czerwonych" z „różowymi" odzyskaliśmy (teoretycznie) wolność, ludzie nie do końca dowierzali nowej władzy. Cóż, wychodzące na jaw dowody sprzeniewierzenia, zdrady (kazus Lecha Wałęsy: od bohatera po donosiciela) nie sprzyjały wzrostowi społecznego zaufania. Kolejne wybory Polaków oscylowały od lewa do prawa (AWS, SLD-PSL, PC, PO-PSL, PiS). Generowane odgórnie ostre podziały: polityczne (komuchy – konserwa), genderowe (heteroseksualni – LGBTQ i coś tam), religijne (wierzący – antyklerykalni), pandemiczne (szczepionkowcy – foliarze) itd., itp., podsycały nieufność do elit. Zapatrzeni w słupki poparcia spin doktorzy bazują dziś na najprostszych emocjach wyborców, kalkulując krótkoterminowo, w perspektywie najbliższych wyborów. Nie sprzyja to budowaniu silnego poparcia dla władzy – taką stabilizację mamy dziś na Węgrzech.

Tzw. pandemia nadszarpnęła wiarygodność zarówno opozycji, jak i Zjednoczonej Prawicy. Mimo presji wszystkich środowisk politycznych (z wyjątkiem Konfederacji) ok. 40 proc. rodaków nie zaszczepiło się. Widać część Polaków miała ku temu ważne powody, być może bardziej racjonalne niż wmawiane im płaskoziemstwo. Skuteczność szczepionek zweryfikowało życie: covidowe zagrożenie „unieważnił" wielomilionowy najazd uchodźców z Ukrainy. Zapowiadana na jesień groźba powrotu do pandemicznych obostrzeń powiększy grupę koronasceptyków do 70–80 proc. Mam nadzieję, że sztaby wyborcze już o tym wiedzą.

PS Zaufanie narodu buduje się latami: dbałością o jego tożsamość, dobrobyt, bezpieczeństwo, edukację, kulturę, wychowanie młodzieży. Utrata zaufania – to niska frekwencja w wyborach, słabe rządy, bieda i bunt społeczny.

eprasa.pl 89c74f1c09

Michał Korsun prezentuje:
Piotr Najsztub teraz grozi premierowi

ref. Shutterstock

Wycinki z przeszłości

W magazynie literacko-kulturalnym „Plon" z sierpnia 1934 r. znajdujemy piękny reportaż Zofii Nałkowskiej z podróży do Wielkiej Brytanii. Pisarka odwiedziła też Szkocję, o której tak opowiada: „Dziwny kraj ze starej ryciny, gaje pełne rododendronów. Zwiedzane wnętrza siedzib okolicznych są skromne i zaledwie wygodne. Ich urokiem jest dawność i trwanie, ich legitymacją pietyzm dla przeszłości. Są to siedziby rodów, których zakres życia nie zwiększył się od stuleci i wydaje się czasami, że samochód jest tu jedynym ustępstwem na rzecz dnia dzisiejszego. Jedna z pałacowych jadalni miała stare piwniczne mury niczym nieokryte tylko dlatego, że tak było 200 czy 300 lat temu. Maniery zamieszkujących te wnętrza ludzi są zbyt ugrzecznione jak na nasz smak, mają niewątpliwy urok innego wieku czy dalekiej prowincji. Zamyka się w tym hermetycznym obszarze słodycz, cisza i bezpieczeństwo".

Na zdjęciu pałac Holyrood, Szkocja. Ilustracja z albumu „Świat w Obrazach" z początku XX w.

(mk)

Pamiątka na odjezdne

Leszek Długosz

Tym przypomnieniem przyjemność czynię sobie, ale myślę i niejednym jeszcze. W podręczniku do polskiego (chyba do siódmej klasy), który przeczytałem jeszcze przed odjazdem z wakacji, był ten wiersz. To był chyba mój pierwszy Leśmian. Co tam z niego pojąłem, to inna kwestia. Ale przez tyle już lat te oczy bratków „podkute szafirowym sińcem" – jak pewnie i dziś, jakoś przed odjazdem na moje już „dłuższe wakacje" – widzę z tą samą wyrazistością i zachwyconym zdumieniem. Jak zobaczyłem i wtedy, w tamtej książce. Ach, panie Bolesławie, pan to wypatrzył i tak nazwał...

Bolesław Leśmian (1877–1937)

„Odjazd"

Gdym odjeżdżał na zawsze znajomym gościńcem,
Patrzyły na mnie bratków wielkie, złote oczy,
Podkute szafirowym dookoła sińcem.
Był klomb i rój motyli, i błękit przezroczy,
I rdzawienie się w słońcu dojrzałej rezedy.

A gdy byłem już w drodze, sam nie wiedząc, kiedy
I czemu – przypomniałem te oczy, przyziemnie
Śledzące mą zadumę i wpatrzone we mnie
Tym wszystkim, czym się można wpatrzeć w świat i dalej.
Co widziały te oczy, nim w tysiącu alej
Zginąłem, jedną chatę rzucając za sobą?

I czemu z szafirową zawczasu żałobą
Patrzyły w ten mój odjazd poprzez zieleń rdzawą
Rezedy, co pachniała, przytłumiona trawą?
I dlaczego te oczy były coraz łzawsze?

Czy nie wolno nic nigdy porzucać na zawsze
I zostawiać samopas kędyś – na uboczu?
Czy nie wolno odjeżdżać znajomym gościńcem
I oddalać się zbytnio od tych złotych oczu,
Podkutych dookoła szafirowym sińcem?

Zamów Prenumeratę! Według nowego cennika

CENNIK PRENUMERAT*	OKRES PRENUMERATY		
	3 miesiące	6 miesięcy	12 miesięcy
SIECI	**82** zł	**149** zł	**265** zł
wSIECI HISTORII	–	**34** zł (3 wydania)	**59** zł (6 wydań)
pakiet SIECI i wSIECI HISTORII	–	**169** zł (w tym 3 wydania wSIECI HISTORII)	**295** zł (w tym 6 wydań wSIECI HISTORII)

**dane do przelewu w stopce redakcyjnej*

pl 89c74f1c09

OD A DO ZYBERTOWICZA

Sąd ma przeczyć wiedzy naukowej?

W 2008 r. IPN opublikował książkę Sławomira Cenckiewicza i Piotra Gontarczyka „SB a Lech Wałęsa". Choć nie były wtedy dostępne teczki SB zawierające donosy osobiście podpisane przez Wałęsę, to analizując dostępne materiały, badacze wykazali, iż TW „Bolek" i przywódca Solidarności to jedna i ta sama osoba. Potem w „Wyborczej" historyk, prof. Andrzej Friszke opublikował bardzo krytyczną recenzję tej książki – przyznając zarazem, że jej w całości nie przeczytał.

NOWE MATERIAŁY Z TECZKI KISZCZAKA

Na początku 2016 r. ujawniono, wcześniej będące w posiadaniu zmarłego gen. Czesława Kiszczaka, teczki z oryginałami donosów TW „Bolka". Autentyczność tych materiałów została później potwierdzona.

Z SIEBIE IDIOTĘ ZROBIĆ!

W maju 2016 r. dziennik „Rzeczpospolita" opublikował wywiad z prof. Friszkem.

Dziennikarz pyta: **„Tak pan mówił przez lata, a dziś staje po stronie Cenckiewicza i Gontarczyka. Co się zmieniło?"**

Friszke odpowiada: „Dokumenty. Na podstawie tamtych, które mieli Cenckiewicz z Gontarczykiem, ja nie sformułowałbym tak ciężkich zarzutów, dlatego w żadnym razie nie staję po stronie Cenckiewicza. Teza, że Wałęsa zawsze był agentem, jest bezpodstawna. Z zasady jestem raczej nieufny wobec dokumentów, dopóki nie są bardzo solidne".

„Te z szafy Kiszczaka są?".

„Tak, to bardzo solidna dokumentacja".

„Przejrzał pan na oczy?".

„Mam przed oczyma dokumenty, więc tych oczu nie zamykam. Mam udawać, że tego nie ma? Musiałbym z siebie idiotę zrobić!".

Dalej w wywiadzie prof. Friszke dodaje, iż Wałęsa „z całą pewnością zgodził się na współpracę" do 1976 r.

Kiedyś złożyli oni ślubowanie doktorskie mówiące o odkrywaniu i upowszechnianiu prawdy

PROCES ZA SŁOWA

Trwa proces, który wytoczyła mi grupa 36 osób za przytoczenie słów Andrzeja Gwiazdy wskazujących na agenturalny wymiar okrągłego stołu. Wśród powodów jest grupa profesorów, m.in. R. Bugaj, J. Grzelak, A. Hall, J. Kofman, J. Kurczewski, M. Smoczyńska.

NIELOGICZNE PISMO PROCESOWE

Reprezentujący tych powodów mec. Michał Wawrykiewicz skierował do sądu pismo procesowe, które zawiera dwa uderzające – gdyż niedające się logicznie pogodzić – motywy.

Wawrykiewicz „na okoliczność [fakt] ustalenia przez Sąd, że Prezydent Lech Wałęsa [...]" nie był tajnym współpracownikiem Służby Bezpieczeństwa, przywołał wyrok Sądu Apelacyjnego z 2000 r. Tymczasem sąd bazował wtedy na niekompletnych dokumentach, tym samym nie uwzględnił istotnych faktów.

Do pisma procesowego mec. Wawrykiewicz włączył również tekst prof. Friszkego mający dowodzić, że mylę się, twierdząc, iż za kulisami okrągłego stołu miały miejsce tajne działania SB. Tego samego Andrzeja Friszkego, który przyznał, że po zapoznaniu się z nowymi dokumentami – jak to sam ujął – nie chcąc robić z siebie idioty, zmienił swoje stanowisko na temat agenturalności Wałęsy. I który w tym samym wywiadzie stwierdza, że wraz z tym, jak zapoznawał się z kolejnymi aktami, to „bywało i tak, że ludzie, których osobiście znałem i szanowałem, okazywali się agentami".

ETOS UCZONYCH

Czyżby mec. Wawrykiewicz nie dostrzegł, iż w ten sposób nie tylko popadł w rażącą sprzeczność logiczną, ale nie uwzględnił całej dostępnej wiedzy naukowej? Sięgając po opinię prof. Friszkego, uznał go za autorytet. Ale tenże autorytet w 2016 r. publicznie uznał za fakt to, że Wałęsa w pewnym okresie swojego życia tajnie współpracował z SB. Friszke rozumie, że poważny badacz nie może w obliczu jednoznacznych dokumentów mówić nieprawdy. Robiłby bowiem wtedy – to własne słowa prof. Friszkego – z siebie idiotę.

W co więc gra mec. Wawrykiewicz? Domaganie się „ustalenia przez sąd" tego, co jest fałszem, uchybia intelektowi jego klientów, wśród których są profesorowie. Kiedyś złożyli oni ślubowanie doktorskie mówiące o odkrywaniu i upowszechnianiu prawdy. Nie da się z tym pogodzić publicznego – mój proces ma charakter otwarty – fałszowania biografii ważnej historycznie postaci.

Powodowie przed sądem twierdzili, że wytoczyli mi proces, by bronić swojej godności i dobrego imienia. Potrafią to pogodzić z ignorowaniem naukowo ustalonych faktów?

A może grupa powodów, w tym profesorów, nie wie, w jakim spektaklu bierze udział?

Andrzej Zybertowicz

Autopromocja | Reklama 77/0522/F

eprasa.pl 89c74f1c09

Forum wGospodarce.pl

Zapraszamy do śledzenia relacji i wniosków
z dorocznego cyklu debat o wyzwaniach gospodarczych,
z udziałem ekspertów i liderów administracji oraz biznesu

IV edycja projektu Grupy Medialnej Fratria poświęcona jest temu

JAK STWORZYĆ WARUNKI DO BUDOWY NOWEGO PORZĄDKU SPOŁECZNO-GOSPODARCZEGO W CZASACH PRZEŁOMU WYWOŁANEGO WOJNĄ NA UKRAINIE

PATRONAT HONOROWY:

MINISTERSTWO INFRASTRUKTURY

Minister Rodziny i Polityki Społecznej
PATRONAT HONOROWY

Ministerstwo Rozwoju i Technologii

Ministerstwo Zdrowia
Patronat Honorowy Ministra Zdrowia

PARTNERZY STRATEGICZNI:

BAT POLAND

PHILIP MORRIS POLSKA

PARTNERZY GŁÓWNI:

allegro

JTI

PARTNERZY WSPIERAJĄCY:

amazon

budimex

Coca-Cola

Deloitte.

大成 DENTONS

emitel

ERBUD GROUP

LIDL

DORR

STRABAG

Więcej informacji na **www.wGospodarce.pl/sektory/forum-wgospodarce**

GAZETA BANKOWA

SIECI

wPolityce.pl

W POLSCE PL

wGospodarce.pl

eprasa.pl 89c74f1c09

ORLEN

NA WAKACJE

-30 gr/l

-40 gr/l
z KARTĄ DUŻEJ RODZINY

Miesięcznie aż 3 promocyjne tankowania z Programem VITAY. Każde do 50 litrów taniej!

Ważna karta VITAY lub Wirtualna Karta VITAY uprawnia do uzyskania rabatu na 50 l benzyny lub oleju napędowego w wysokości 30 gr/l lub 40 gr/l w przypadku posiadaczy Karty Dużej Rodziny. Każdy dodatkowy litr powyżej 50 l rozliczany jest według ceny ofertowej podanej na dystrybutorze w trakcie tankowania. Promocja nie obejmuje autogazu (LPG), nie łączy się z innymi programami rabatowymi i promocyjnymi i jest ograniczona czasowo – termin obowiązywania w Regulaminie promocji. Promocja dla Zarejestrowanych Uczestników ORLEN VITAY. Regulamin promocji oraz lista stacji uczestniczących w promocji na stronie vitay.pl/rabaty

eprasa.pl 89c74f1c09